

ileusze: Mieczysław Czajkowski · Wiktor Szwed · Jan Leończuk ·
leusz Karabowicz · Wiesław Szymański ·
asz Gireń · Janina Kozak – Pajkert · Irena Słomińska · Joanna Pisarska ·
efa Drozdowska · Anita Balejko · Małgorzata Dobkowska ·
tyna Rożko · Mirosława Niewińska · Anna Tomczyk · Józef Budziński ·
leusz Golecki · Jerzy Binkowski · Marcin Kruhlej · Anna Gniewkowska ·
ksander Miśkiewicz · Henryk Kruszyński · Barbara Antonowicz ·
rota Brańska · Krzysztof Dąbrowski · Dawid Klepadło · Ryszard
ndratowicz · Justyna Korolko · Agnieszka Kuklińska · Eugeniusz Nowik
bieta Skąpska · Marek Styliński · Dariusz Tichoniuk · Renata Blicharz ·
a-Mitkowska · Tadeusz Charnuszko · Magdalena Leśnikowska ·
styna Fiedorczyk · Wojciech Załęski · Ostap Łapski · Herman Hesse ·
rota Milanowska · Tadeusz Dawidejt · Apoloniusz Ciołkiewicz ·
zimierz Słomiński · Stanisław Ślusarek · Jadwiga Bogumiła Cichońska ·
iniaław Marian Marczuk · Lidia A. Kosk

EPEA

almanach

Białystok 2005

EPEA

ALMANACH

KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICZEGO
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU
BIAŁYSTOK 2005

Redakcja:
Jan Leończuk
Wiesław Szymański

Korekta:
Teresa Jabłońska
Marta Konopko



821.162.1-82(05)

TOM V

ISBN 83-88097-97-0

Wydawnictwo PRYMAT MARIUSZ ŚLIWOWSKI
15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7
tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304
www.prymat.stnet.pl, e-mail: prymat@stnet.pl

KP Białystok-EO-2006 11487/1

Jubileusze



50-lecie debiutu

MIECZYŚLAW CZAJKOWSKI

Poeta, prozaik, publicysta, ma w swoim dorobku kilkanaście tomów wierszy i prozy. Jest animatorem życia kulturalnego i literackiego. Debiutował 28 listopada 1955 roku na łamach „Życia Białostockiego” felietonem „Klub bez klubu”. Felieton stał się przysłowiowym kijem w mrowisku; ożywił uśpione środowisko literackie miasta, przyspieszając powstanie pierwszego po wojnie dyskusyjnego klubu literackiego w Białymstoku.

Działalność Mieczysława Czajkowskiego na polu kultury wiąże się z promocją dawnego województwa białostockiego, prowadzoną przez niego m.in. w „Kamieniu”, „Nowym Nurcie”, „Za i przeciw”, „Słowie Powszechnym”. Zamieszczał tam liczne reportaże z Białegostoku, Suwałk, Olecka, Białowieży, Drohiczyzna, Supraśla, Tykocina, Knyszyna. Współautor przewodnika turystycznego „Supraśl”, opublikowanego przez Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne w Krakowie (1972).

Mieczysław Czajkowski przez dziesięć lat publikował recenzje literackie i felietony na łamach „Kurier Porannego”. Starał się zachować od zapomnienia białostocki folklor, język i obyczaje mieszkańców starej dzielnicy Bojary, w cyklicznych audycjach Radia Białystok „Gawędy Polikarpa Mościchy”. Przez kilka lat kontynuował tę tematykę w

Kurierze Porannym, w cotygodniowych felietonach cyklu „Korespondencja własna z Bojar”.

Od dziesięciu lat Mieczysław Czajkowski promuje młode talenty poetyckie: w 1996 r. w ramach Klubu Inteligencji Katolickiej zainspirował i organizuje Konkurs Poetycki Młodych „Przekroczyć Próg Nadziei”, któremu patronuje Jan Paweł II Wielki. Uczestniczyli w nim uczniowie nie tylko z Polski, także z Litwy, Białorusi i z Zaolzia /Republika Czeska/

Dorobek literacki Mieczysława Czajkowskiego:

W słonecznym chichocie, NKL, Białystok 1988 /tomik poetycki/

Legendy supraskie, NKL, Białystok 1989.

Pejzaż liryczny, Versus, Białystok 1990 /tomik poetycki/

Białostockie ścieżki, Ośrodek Animacji Kultury, Białystok 1991 /wiersze/

Smak makucha, MIND, Białystok 1992 /powieść/

Jerozolimskie ślady, Woj. Ośrodek Animacji Kultury, Białystok 1993 /wiersze/

To wszystko pamięć, Krajowa Agencja Wydawnicza, Białystok 1994 /wiersze/

Odfrunęły ptasie uliczki, Wyd. STON-2, Kielce 1996 /zbiór gawęd w stylizowanej gwarze białostockich Bojar/

Katynski popielec, Wyd. STON-2, Kielce /zbiór wierszy/

Jerusalimskije sledy, Wydawnictwo „Kultur-Inform-Press”, Sankt Petersburg 1996 /zbiór wierszy dwujęzyczny: polski i rosyjski/. Tłum. na język polski: Eduard Karpionok

Hamlet z Davis street, Wyd. STON-2, Kielce 1998 /powieść/

Jeruzaleš pėdsakai (Jerozolimskie ślady), Aušra 1999, Puńsk /w wersji dwujęzycznej/. W tłumaczeniu na litewski Sigita Birgelisa

Powrót Smetka, Wyd. STON-2, Kielce 2001 /powieść/

Czas coraz bliższy, Wyd. STON-2, Kielce 2001 /zbiór wierszy/

Wybór wierszy, Książnica Podlaska, Białystok 2002

Legendy supraskie (wyd. 2 poszerzone i poprawione, z reprodukcją pastelii, akwarel i gwaszy autora), Oficyna Wydawnicza Woj. Ośrodka Animacji Kultury, Białystok 2003

Dom

Cztery ściany szeroko otwarte –
Mój dom najlepszy przewodnik ciepła
Nie trzeba sięgać do kontaktu
By grzał i świecił od wnętrza

Gdy przyszli ludzie stamtąd
Ściany jak ptaki frunęły w powietrze
Mój dom zamieszkał we mnie
Oświeca i rozgrzewa serce
/1986/

Leopoldowi Staffowi

Nie piszę wierszy kiedy pióro
Kłamie
Ciskam nim o stół
Aż zaiskrzy
Jak stal hartowana gdy napotka
Kamień

A kiedy chociaż jedno
Słowo
Jak cenny kruszec
Zadźwięczy
Uderzam w nie sercem
Jak w żelazo

Słowa nadęte w misternej
Oprawie
Pałace budowane
Z dmuchawców –

Zadziwiające konstrukcje
Bezżytecznych
Znaczeń

Efemerydy z pianki pojęć –
Posążki z lodu
Podświetlone
Załamany światłem
Dawno wymarłych
Gwiazd

Twory przedziwnej wyobraźni
Pomniki energii na
Jałowym biegu –
Ileż trzeba weny ażeby
Wypowiedzieć
Tyle pięknych słów
Dla samej ich
Urody!

Bursztynowy wiersz

Wszystko jest z bursztynu
Morze i brzeg
I mewy w locie nad moją
Głową
I słońce w bursztynowej
Mgle

A kiedy stąd wypłynę korabiem
Z czystego jantaru
I powrócę znowu
W mój daleki
Świat
Zatęsknię za bursztynowymi
Domami
Z bursztynowym niebem bez
Chmur

I zapłacę wtedy prawdziwymi
Łzami
A świat mój stanie się
Bezpieczną wyspą
Z bursztynowych
Snów

/Świnoujście, 1999/

Dotknięci światłem wyprzedzamy
Swoją czas –
Leniwą rzekę topiącą nurty
W trzęsawiskach

Dzień jest targowiskiem marzeń
Wybieramy błyszczące
Wymyślnie opakowane szeleszczą
Zwodniczo

Uśmiechają się do nas przymilnie
Pomiędzy brać czy dawać
Kochać czy nienawidzić – oswajają
Uśpione nadzieje

Nasze oczy są głodne
Kąpią się w barwach
Jak kolibry
W nektarze
Kwiatów
Przyjmujemy światło
Przez zamknięte powieki

Złoto nie gasi czerwieni
Czerń nie brudzi
Bieli

Szarość kryje w sobie
Wszystkie odcienie nadziei
W nich jak w lustrze
Przegląda się uciekająca
Młodość

Tylko cienie znaczą drogę
Którą ściele słońce
Czas jak mgła rozplywa się
W gwiezdny
Pyle

Urodziłem się w pełni lata
Na kwitnącej łące
Nade mną wirowały pszczoły
W miodnym tańcu
Wygrywały koncert na
Tysiące skrzypiec

Urodziłem się trochę za późno
By rozsmakować się
W wonnym nektarze plastrów
Miodu – urobku tamtego lata –
I o wiele za wcześnie by
Nie umieć odróżnić huku
Pocisków od dźwięków
Pszczelich skrzydeł
Nad moją głową
Urodziłem się w samą porę
By poznać smak

Przemijania
I może dlatego zamykam
Świat
W słowach

Zima 1981 roku

Chodziłem alejkami Zwierzyńca
Tamtą porą
Śnieg błękitniał w konarach
Akacji
Wiewiórki wtulały się
W ramiona sosen
I topoli
Miasto spało jeszcze
Tylko żubry
Patrzyły filozoficznie
Jakby chciały mnie
Przestrzec –
Ej kibicu
Niedomyślny!...

Ulicą Świętojańską – wtedy
Nowotki –
Pędziły nieprzytomnie
Milicyjne suki
Usiłowały zagłuszyć zgrzyt
Kieratu rdzewiejącej
Historii

„Wiaro malutka”

/Ks. Jan Twardowski/

Kolyszą się nade mną szeroko
Twoje ramiona wplecione
W niebo

Kolyszysz mnie do snu wiecznego
Wiaro moja malutka –
Powszedni mój chlebie

Pejzaż z gołębiami

Wystrzelają w niebo fajerwerkiem
Skrzydłami ogarniają miasto

Sędziwy prorok – Klasztor bazyliński
Czyta księgę gwiazd

Łąki nad Supraślą nabierają wody
Liczy się tylko czas nadziei

Mój dom jak wiata pusta
Spalona moja ziemia

Sam swoim jestem więźniem
Nie wierzę własnym ustom

To co jest we mnie nowe
Przeszło przez góry i przez
Chmury

To co jest we mnie stare
Uchodzi z bólem jak

Choroba
To co jest we mnie własne
Jak ćma leci do światła
To co jest we mnie czyste –
Jak kurz osiada na lustrze

Grota Zwiastowania

Schodzimy po stopniach w głąb
W czeluść wilgotną rozświetloną
Lampionami

Nie potrafimy modlić się inaczej
Blask elektrycznych żarówek
Wyszeptuje swój pacierz

Tymczasem zejść trzeba niżej
Umnieszyć się jak Miriam
Schylić we własnym cieniu

Dopiero wtedy łatwiej
Zaczerpnąć wodę
Ze źródła

W Nazarecie

Do Bazyliki Zwiastowania
Trzeba iść pod górę
Po krętych uliczkach
Z kramikami
Gdzie dobroduszni słudzy
Allacha
Zachwalają różańce
Z drzewa oliwkowego
W Nazarecie obdarzają przyjaźnią

„Mniejszego Proroka”
I nie było potrzeby obniżyć
Wejścia do świątyni
By nie wjeżdżali końmi
W czasie nabożeństw –
Jak w Betlejem

Chrystus zapewne nie poczytał
Im tego grzechu
Teraz mruczając westchnienia
Do Stwórcy
Przesuwają w pośpiechu
Paciorki swojego różańca
Mysząc o niebie które ich czeka
Za zasłoną czasów

Ściana Placzu

Nie mogę ramion podnosić wysoko
Ni szeptać w szpary między kamieniami
Losu narodów nic nie odwróci

Stoję samotny pod ciężarem czasów
Skąd dochodzą jęki mordowanych dzieci
Wyrrywanych z rąk nieprzytomnych matek

Półnagie ciała oszalałych kobiet
Wołają o pomstę –
Tak się przesuwają piasek w klepsydrze

Starcy umierają z godnością
Oni przeżyli swój czas
Czekają na Sąd z nakrytymi głowami

Młodzieńcy życie mają za nic
Śmierć wraca im wolność

Biegną tanecznym krokiem do ściany
Z elektrycznych drutów
Słodkie jest umieranie dojrzałych
Mężczyzn
Pod ostrzem noża krew spływa z wolna
Zmywając winy skazańców i katów

Nie nam sądzić ludy Palestyny
Co krwią i potem użyźniają ziemię
Arabowie i Żydzi są bliskimi
Stąd krew bratobójcza
Słodsza jest nad życie
A umieranie – posiewem braterstwa
Dokąd półksiężyc błyszczy nad Jordanem
A gwiazda Dawida jaśniej nad miastem
I krzyż – Jerozolima łączyć będzie
Wszystkich
A dzielić narody tylko –
Zła pamięć

Pobielaly katyńskie mogiły
Lecz śnieg nie wybielił ni zbrodni
Ni winy
Wiatry ze Wschodu stare rany
Otworły

Czas zdjąć opaskę z oczu Temidy
Zanim krew jeszcze ciepłą
Krucza pamięć obmyje
Z palców Kainów

Powrót do korzeni

opowiadanie

Zawsze, kiedy sięgam pamięcią do czasów dzieciństwa, widzę stację kolejową, a przy peronie czarny parowóz buchający parą i kłębiastym dymem. Wspomnienia coraz bardziej zacierają się, przybierają mało realne kształty. Tak chciałoby się odkręcić film życia i zatrzymać wybrany kadr dłużej, przypatrzeć się mu do syta, nacieszyć dzieciństwem. Ale nie da się wejść raz jeszcze do tej samej rzeki...

Poza budynkiem dworca kolejowego w mojej rodzinnej osadzie Niechaczewo, stacja Kossów Poleski, mającą jeszcze jak we mgle pewne postaci z tamtych zamierzchłych czasów. Jest to między innymi krępy i jowialny policjant Gola, który miesząc cukiernicę w filiżance pełnej herbaty, zrobił w niej małą dziurkę, co stwierdziła z niezmiernym zdumieniem stara Antonina, nasza służąca i niania. Jej mąż, wysoki, barczysty chłop, przygotowywał nam opał na zimę, a poza tym był takim nieocenionym totumfac-kim w każdej potrzebie.

Wynurza się jeszcze z zakamarków pamięci drobny, niewysoki mężczyzna, uginający się pod ciężarem torby skórzanej, zawsze pełnej listów i gazet, filigranowy człowieczek z wesołymi, świdrującymi oczkami. Przynosił codziennie urzędową korespondencję na posterunek policji, zajmujący połowę naszego domu. Na Boże Narodzenie, przebrany za Mikołaja, wręczał nam paczki ze smakolymi, wśród których najcenniejsze były czekoladowe bombki. Można było w ich wnętrzu znaleźć niespodziankę – zawinięte w sreberko dziesięć groszy lub błyszczący, druciany pierścienek.

Mój ojciec na krótko przed opuszczeniem osady był komendantem posterunku policji państwowej. Pamiętam, jak przeprowadzano do niego aresztantów, skutych kajdankami. Podglądałem przez dziurkę od klucza, kiedy ich przesłuchiwał. Do gabinetu ojca był nam wstęp zakazany. Oglądanie ojca w takiej roli robiło na mnie zawsze duże wrażenie.

Nie do wiary! Po latach ten film odkręcił się, niejako zatrzymał w kadrze. Stało się to w początkach października w ostatniej

dekadzie dwudziestego wieku, kiedy miałem szczęście uczestniczyć w uroczystej inauguracji zrekonstruowanego dworku Adama Mickiewicza w Nowogródku. Jest tam muzeum wielkiego poety. Minąwszy po drodze Kossów Poleski, miasteczko ongiś powiatowe, teraz senne, podupadłe, przypominające raczej wieś, zatrzymaliśmy się w równie sennej kolejowej osadzie, Niechaczewo. Tam bezskutecznie wypatrywałem śladów rodzinnego domu. Niestety, wszystko tu było dalekie od zapamiętanych obrazów z dzieciństwa. Miejscowość ta wydała mi się zupełnie obca. Napisy na urządach i sklepach pisane cyrylicą i mowa zupełnie inna... Byłem zaskoczony destrukcją, której dokonał czas.

Z drżeniem serca wysiadłem z samochodu, udając się na peron stacyjny. Był pusty. Kątem oka ujrzałem kolejarkę w czerwonej czapce, która zaczęła mi się bacznie przyglądać. Kiedy próbowałem wejść do poczekalni, zatrzymała mnie w drzwiach, pytając podejrzliwie:

– A wy, kuda ?!

– Jak to „kuda”?! – zdziwiłem się ogromnie – Przecież to nie strażnica wojskowa! – dodałem po polsku.

– Nielzia! Wy inastraniec! – burknęła groźnie i jęła mi się bacznie przyglądać.

Wydawałem się jej osobą wielce podejrzaną. Straciłem więc ochotę do zetknięcia się bliższego ze stacją kolejową – miejscem tak mi dobrze znanym z dzieciństwa, gdzie z kolegami bawiliśmy się w dyżurnego ruchu czy konduktora i pasażerów...

W poszukiwaniu mego domu rodzinnego i szkoły, która mieściła się w jednym ze skrzydeł pałacu, straciliśmy dużo więcej czasu. Po naszym domu-dworku z kolumnami nie pozostało nawet śladu. O pałacu nikt nie wiedział. Oprócz szkoły była tam też kaplica, dostępna dla wiernych w niedzielę i święta. Ten okazały budynek musiał przecież zachować się w pamięci mieszkańców, sądziłem. Niestety, o pałacu tutaj nikt nie słyszał. Wreszcie ktoś zasugerował:

– Musić eto gaścinnica!...

Pojechaliśmy we wskazanym kierunku. I tu nowe rozczarowanie. Duży parterowy budynek z bramą wjazdową pośrodku robił wrażenie pozostałości jakiejś okazałej niegdyś budowli, a prze-

cież oczami wyobraźni widziałem bogaty metalowy parkan na podmurówce z ciosanego granitu z pięknie kutą bramą z orłem w koronie, a za nią, ukryte w starodrzewiu, piętrowe mury szacownej budowli o renesansowej architekturze... W głębi ogrodu były korty tenisowe, gdzie moi starsi koledzy podawali grającym białe, przyjemne w dotyku piłeczki...

To co oglądałem robiło wrażenie raczej baraku z łukiem po wjazdowej bramie w samym środku budowli. Z pałacu pozostał tylko okaleczalny parter z odpadającym tynkiem, przykryty jednospadowym dachem powleczonego niedbale papą, zwieńczoną orłem w koronie. Drzewa parkowe w pień wycięte!...

W „gościnicy” próbowałem dowiedzieć się, czy pozostali w osadzie jacyś Polacy.

– Palaki?! – zdziwiła się uśmiechnięta, korpulentna portierka.

Dopiero jakaś starsza o okrągłej, nalanej twarzy kobieta, zapewne sprzątaczką, zawołała wesoło:

– Da, da, nachodziatsja!... Jest nieskolko czelawiek...

Zaczęła sobie przypominać nazwiska, z których jedno utkwiło dobrze w jej pamięci...

– Bronek Strzygielski, pocztylion! – zawołała pewna siebie.

– A gdzie on mieszka?! – zapytałem zaintrygowany jego zawodem.

Nie umiała odpowiedzieć, więc próbowałem jej pomóc:

– Może być eta Zabiehajłówka?! – zapytałem nieoczekiwanie.

– Da, da, Zabiehajłówka! – zawołała. – Tam nachodzitsa sawchoz! – dodała po chwili.

Wiedziałem już, dokąd mamy jechać. Na Zabiegajłówce mieszkali Anton z Antoniną, nasi służący. Udaliliśmy się tam autem. Zatrzymaliśmy się przy sowchozowym bloku mieszkalnym. Na ławkach siedzieli wypoczywający emeryci. Wszyscy znali Bronka Strzygielskiego. Nie trudno było do niego trafić. Mieszkał na pierwszym piętrze, ale przy drzwiach na klatce schodowej nastąpiła trudna do pokonania przeszkoda. Chwiejąc się na nogach, stał obejmując oburącz klamkę może dwudziestoletni młodzian. Był mocno zawiany. Kiedy chciałem wejść do mieszkania, burknął

gniewnie:

– Nielzia!

– Ale ja do Bronka Strzygielskiego! – zawołałem przyjaźnie, usiłując otworzyć drzwi.

– Nielzia! – krzyknął złowrogo i zaczął ciskać pod moim adresem stekiem popularnych rosyjskich przekleństw.

Dość miałem tego i myślałem zrezygnować z odwiedzenia listonosza, ale jakaś przemożna chęć rozmowy z człowiekiem, który dobrze znał moich dawno zmarłych rodziców w końcu zwyciężyła. Spróbowałem podejść młodzieńca przemawiając do jego słowiańskiej duszy. Trąciłem go, przyjaźnie klepiąc w ramię:

– Ty ruskij?!

– Nu, da! – burknął nieufnie i zaraz zapytał – A ty, kto?!

– Ja Polak, znaczy my słowianie! – zawołałem z uśmiechem. Trafiłem w jego czuły punkt, bo puścił klamkę i krzyknąwszy: „Družba narodow!” – rzucił mi się radośnie w ramiona. Coś przy tym mówił bełkocząc, ale gdy zapytałem, czy tu mieszka Bronek Strzygielski, pocztylion – wyrwał mi się z rąk i otworzywszy szeroko drzwi, zaprowadził do środka.

Minąwszy kuchnię ciasną i ciemną, wskazał mi mały, zagrany pokój. Na rozwalonym wyrku siedział może dziewięćdziesięcioletni, zasuszony staruszek. Patrzył na mnie zdziwiony swoimi świdrującymi oczkami. Po tych oczach poznałem go od razu! Przywitałem po polsku, pytając na wszelki wypadek:

– Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Bronisławem Strzygielskim?

Na te słowa staruszek zwlókł się z łóżka i podał mi drobną rękę. Przedstawiłem się mówiąc mu, że mój ojciec był komendantem posterunku policji państwowej w Niechaczewie.

– Mieczysław, syn Mariana... Ten średni! – zaśmiał się...

Mówił dużo pięknym mazowieckim akcentem. Wreszcie zawołał:

– Pana ojciec to mój ziomek, z Kongresówki... Wziął sobie żonę z Kozienic, spod Radomia! – dodał na zakończenie.

Staruszka rozmowa zaczęła męczyć, więc zsunął się na wyko i kazał mi usiąść.

– Przynosił pan do nas pocztę na posterunek. Pamięta



pan?...

– A czemuż nie?! – przerwał mi.

Listonosz zamyślił się. Spojrzałem na fotografię za szkłem wiszącą na ścianie, przedstawiającą kobietę w sile wieku.

– To pańska córka? – zapytałem.

– Nie, to moja żona... Czwarta już! – zaśmiał się, świdrując mnie swoimi oczkami i zaraz dodał: – Trzy poprzednie już pocho-
wałem. Ta czwarta zamknie mi oczy – zaśmiał się tak jakoś smut-
no.

Obejrzałem się. Tuż obok stał ów młody człowiek, teraz już prawie trzeźwy. Próbowałem wrócić do przerwanej tematy.

– Czy pamięta pan jeszcze kogoś z policjantów?

Oczywiście, pamiętał wszystkich, nawet tych, których na-
zwiska umknęły mojej pamięci. Oprócz jowialnego Goli, który
zrobił dziurę w filiżance herbaty, także posterunkowego Kluka,
zastrzelonego przez bandytę na schodach przy tarasie z kolumna-
mi domu, w którym mieszkaliśmy. Tam mieścił się też posterunek
policji. Mówił o bandytach palących dwory, w których ginęli nie-
winni ludzie...

Nie chciałem przeciągać rozmowy, widząc, że staruszek jest
zmęczony. Pożegnałem go ciepło i ruszyłem w kierunku wyjścia.
Za mną szedł młody człowiek, mamrocząc coś pod nosem. Był
wyraźnie zadowolony. Kiedy wyszedłem na klatkę schodową, po-
żegnałem go uściskiem dłoni. Gonił za mną jego nieco ochrypły,
teraz już ciepły głos:

– Da, da, pocztylion!...

Opuszczając sowchozowy blok mieszkalny zastanawiałem
się, kim jest dla Strzygielskiego ten młody człowiek, podający się
za Rosjanina. Dopiero od emerytów siedzących na ławkach przy
stolikach dowiedziałem się, że to jego wnuk.

„Myśli i spostrzeżenia” FRAGMENTY DZIENNIKÓW 1955-1957

11 listopada 1955

*Co to jest siła woli? Ja tego nie znam zupełnie. Jest to dla mnie
frazes tak prosty, jak frazes... przyjaźń, miłość idealna*
Stefan Żeromski, *Dzienniki*

Byłem z panią Zofią u Leszka X. Wróciłem stamtąd z II tomem „Dzienników” Żeromskiego/.../ Pani Zofia powiedziała, gdy brałem tę książkę: „Nie bądź taką chorą duszą jak Żeromski, gdy poświęcisz się literaturze”. A ja przecież już chyba jestem... A jednak mimo wszystko, czuję się silniejszy/.../ i szczęśliwszy, bo mam wiarę. Dzisiaj ta wiara nie jest jakaś nieokreślona, mglista. Wierzę i wiem, w co wierzę i komu wierzę. Ale chciałbym wierzyć jak chłop, jak białoruski „muzyk”, którego dzisiaj spotkałem przy kościele św. Rocha/.../ kiedy wyszedłszy z kościoła okrążałem taras, ujrzałem przed sobą człowieka ubranego w długie, połatane kozuch, poszarpany gdzieniegdzie w niekształtne strzępy. Na nogach miał kalosze powiązane sznurkiem i podobnie jak kozuch połatanie i poszarpane spodnie. Ujrzawszy mnie/.../ zaintonował ochryplym głosem: „Jak tu zrobić, kab zajści w kaściol”.

Spojrzał na mnie smętnie a jednocześnie lękliwie i jeszcze raz zapytał z tą samą śpiewną intonacją:

- Kak zrobić, szto tam zajści?

Poprowadziłem go za sobą i niebawem byliśmy w świątyni. Widziałem jak/.../ umoczył palce w wodzie święconej i przeżegnał się po trzykroć, po czym uklękawszy na środku kościoła, dotykał czołem posadzki i żarliwie się modlił. Właściwie to robił wszystko, co ja czyniłem, ale w jakże inny sposób: z niesłychanym namaszczeniem i lękiem, a jednocześnie w swoim prawosławnym obrządku. Raz po raz wydawał cichy pomruk, gdy potem człapiąc kaloszami przemierzał świątynię od ołtarza do ołtarza, od kaplicy

do kaplicy. Spoglądał z podziwem w górę na oszkloną kopułę, na rzeźby/.../ i wzdychał, i modlił się żarliwie.

Gdy wyszliśmy z kościoła, powiedział naiwnie, nie ukrywając zachwyty: „Ładnie!” Kiedy zapytałem, czy był w kościele farynym, oświadczył, że nie. „Ale ten musi jest wyższy, bo jak zahlanął w wierzch, to aż w hołowie zakruciłoś!”

Zauroczyła mnie jego prostota, podbiła serce. Długo rozmawiałem z nim jeszcze. Mówił, że jest z Szudziałowa, a przyjechał tu z jednym katolikiem, by stawić się u prokuratora, bo „małaka i mięsa nie oddał”. Był z tym katolikiem w cerkwi. Modlili się, aby Pan Bóg tak zrządził, by obyło się bez więzienia. Kiedy zapytałem go, dlaczego modli się w naszym kościele, odrzekł:

– Ja pa swojemu małus, na szto budu abmanywać?

I zaczął wyjaśniać symbolikę krzyża, którego znak czynił. Dziwił się, że katolik, który z nim przyjechał, nie zna symboliki katolickiej żegnania się. Był tym zgorzsony.

Pożegnałem go z prawdziwym wzruszeniem. Widziałem, jak toczył się po schodach wzdłuż murów na ulicę, jak tresowany niedźwiedź: powoli, niezgrabnie, oglądając się lekliwie na wszystkie strony. Długo prowadziłem za nim wzrokiem, aż zataczając się jak pijany, zniknął w ulicznym tłumie.

12 listopada 1955

Byłem na odczycie Leona Pasternaka. Wyrobiłem sobie już o nim sąd/.../ Czytał wiersze, przeważnie satyryczne i opowiadania ze zbiorów: „Dni zapłaty”, „Sam jeden” i innych. W czytaniu był podobny do Zawieyskiego/.../ W dyskusji, zresztą bardzo głupiej, zabrało głos kilka osób. Pytali autora o sprawy intymne /.../ jak zachowuje się żona w stosunku do niego itp. Pisarz wybrnął z tego mówiąc dowcipnie, że w sprawach kobiet jest zawsze bardzo dyskretny/.../ Kupiłem zbiorów satyr: „Smutne, ale prawdziwe” z podpisem autora.

Przed kilkoma dniami udało mi się dostać w kolportażu „Nową Kulturę” z 30 października. Zbiegłem za nią pół miasta, nim wreszcie znalazłem. Chodziło mi bardzo o ten numer, gdyż zawierał opowiadanie Jerzego Zawieyskiego pt. „Odwiedziny pre-

zydenta". Przeczytałem jednym tchem i doszedłem do wniosku, że jest to bardzo oryginalne opowiadanie, chociaż trochę wyidealizowane. Pięcioletnie dziecko nazbyt rozwinięte jak na swój wiek... Pani Kubikowska to samo zauważyła, chociaż z innym rozłożeniem akcentów. Opowiadanie to wędruje z rąk do rąk/.../

23 listopada 1955

Napisałem felieton do „Życia Białostockiego”. Jest to satyryczne ujęcie zmagania z ideą powstania pierwszego po wojnie klubu literackiego w Białymstoku. Ciekaw jestem, ile wykroją z tego nożyce redaktorskie?

Krystyna Marszałkówna sugerowała, bym porozmawiał z naczelnym, to może zechce mnie przyjąć na etat, poszukuje bowiem felietonisty... Ja nie jestem aż tak naiwny. Przecież nie należą nawet do Stronnictwa Demokratycznego, jak ona, ani nawet do PAX-u. Poza tym mam trefne pochodzenie...

Weksler wysyła mnie jutro w teren, bym zebrał materiał do reportażu. Będzie okazja, by przekonał się, czy mam jakieś predyspozycje w tej dziedzinie/.../

24 listopada 1955

Wieczór literacki Hena/.../ Okazało się, że nie jest tak wierny schematowi socrealizmu jak Pasternak. Dał temu wyraz mówiąc: „Pisarz może być marksistą lub wyrazicielem nurtu idealistycznego /a jednak schemat/. Najważniejszą rzeczą jest jego filozofia osobista, stosunek do człowieka /tu się zgadzam/, cierpienia itp. Był czas, że tych rzeczy literaci zaniedbywali pod naciskiem wydawnictwa...”

Hen mówił, że posprzeczał się z Putramentem, gdy ten rzekł: „Po co więc dajecie drukować? Jeśli się wam nie podoba – głodować i nie pisać!” Wtedy Hen miał zapytać: „Co zrobić, gdy się nie podoba?” Putrament pono zamilkł. Wtedy Hen dał mu wyćcinę swojej autobiografii. Pochodził – jak się wyraził – z drobno-mieszcząństwa /które było zakałą dla partii – mój dopisek/ i pisał od wczesnej młodości. Ale w dzieciństwie nic nie przecierpiał. Dopiero gdy wybuchła wojna, wyjechał do Związku Radzieckiego /czy był wywieziony, tego nie powiedział/. Przeszedł tam nędzę,

głód i poniewierkę...

Z noweli „Wdowa po Jacyszynie” poznałem język i styl Hen-
na. Píše barwnie, plastycznie, operuje kontrastami i niedomówie-
niami. Niekiedy wulgaryzuje, hołduje naturalizmowi, o czym po-
wiedziałem w dyskusji. Przyznał mi rację, chociaż usprawiedliwił
się, że chciał wydobyć odpowiedni nastrój i podkreślić mocniej
charakter wdowy.

Dałem pisarzowi do podpisania jego książkę „Bitwa o kozi
dwór”. Wpisał się tak: „Na pamiątkę dyskusji na wieczorze autor-
skim Mieczysławowi Czajkowskiemu – Józef Hen”.

25 listopada 1955

Redaktor naczelny „Życia Białostockiego” powiedział, że
mój artykuł będzie drukowany jako niedzielny, gdyż bardzo mu się
spodobał. Dał mi też zamówienie na felieton i zachęcał do bliższej
współpracy z pismem/.../

Tymczasem w Radiu Białystok red. Szymański przyjął mnie
dosyć chłodno. Zdziwił się, że nie przyniosłem jeszcze reportażu,
choć miałem go przygotować dopiero na środę. Wydaje mi się,
że coś tam już personalny wywęszył z mego życiorysu... Hen miał
szczęście, że jego ojciec nie był policjantem, a sam nie pobierał
nauk u księży. Inaczej musiałby się wykazać pisaniem peanów na
cześć wodzów rewolucji i opluwać i tak już dostatecznie
„zapłutych karłów reakcji”...

29 listopada 1955

Mój felieton „Klub bez klubu” narobił sporo szumu w
światku dziennikarskim i nie tylko. Były ponoć na mnie donosy. I
Wekslerowi też się trochę oberwało. Słyszałem, że ma iść „na dy-
wanik” do KW. Ale nadrabia miną. Powiadomił mnie, że w czwar-
tek będzie zebranie TPPR i zachęcał, bym wziął w nim udział. Ma
być rozpatrywana sprawa klubu literackiego. Mówi, że sam nie bę-
dzie mnie wprowadzał do środowiska, lecz Krystyna. Będę się mu-
siał zdekonspirować i przedstawić, kim jestem, słowem – zdekons-
pirować mój pseudonim felietonisty.

Dałem do druku dzisiaj kolejny felieton. Weksler przeczytał
go jednym tchem, pękając od śmiechu. Obiecał mi wydać legity-

mację „Życia Warszawy”. Proponuje dwa felietony tygodniowo.

Olecko, 9 stycznia 1956

Wrażen zatłoczenia!... Wywiad z dyrektorem Zakładu Głuchoniemych, panem Hordyńskim, rozmowy z jego nauczycielami, uczniami... Wywiad w Ognisku muzycznym z kierownikiem Józefem Bajorem i małym muzykiem, Ireneuszem Siwickim. A jutro czeka mnie POM i słynny teatr lalek „Iskierka”...

Wszędzie goszczą mnie z honorami. Dyrektor Hordyński ugościł mnie kolacją i oddał swój gabinet do dyspozycji na nocny wypoczynek. Podziwiam poświęcenie pracy pedagogicznej i wychowawczej tutejszych nauczycieli. W Ognisku muzycznym popisy wychowanków. Pięknie grają na różnych instrumentach przygotowane właśnie kolędy... W Zakładzie Głuchoniemych dzieci obdarowały mnie swoimi robótkami. Piękne są ich serwetki i hafty, a także rysunki na własnoręcznie robionych kartkach świątecznych...

Dzieci głuchonieme są bardzo wrażliwe i praca z nimi trudna. Ale jaka to radość dla wychowawców i nauczycieli, kiedy głuchoniemi zaczynają mówić. Halina Kieżun, wykwalifikowana nauczycielka mówi, że dzieci przyswajają rocznie około 120 słów. Trzeba codziennie ćwiczyć, co jest bardzo żmudną pracą. Dźwięki artykułowane są dla nich jakby czwartym wymiarem, mówi. Uczą się ich za pomocą zapamiętania układu ust i drgań krtani...

Materiału prasowego zebrałem na kilka reportaży także z POM-u i PSS „Społem”. Jutro czeka mnie dłuższa rozmowa z panem Koniczkiem, dyrektorem teatru lalek „Iskierka”.

Białystok, 14 stycznia 1956

Zaniosłem do redakcji trzy artykuły i reportaż z Zakładu Głuchoniemych w Olecku, „Tam, gdzie godziny stają się minutami”. Naczelny powiedział, że jest dobry, tylko za bardzo literacki, a za mało gazetowy i kazał mi przerobić. Na pocieszenie podarował mi notes dziennikarski i przypomniał o wyjeździe do Łomży na rekonesans reporterski...

20 stycznia 1956

Naczelnny czytał mój reportaż. Powiedział, że jest bardzo dobry i dlatego nie wie, co wyciąć. A przecież musi to skrócić, bo osiem stron maszynopisu to za wiele, jak na reportaż w dzienniku. Jednocześnie zadzwonił do TWP, gdzie chciano mnie zatrudnić do wygłaszania odczytów na tematy mnie interesujące, związane z pracą reporterską. Przy okazji zapytał, czy moja przeszłość jest bez zarzutu... Tu was boli! – pomyślałem. I bez wahania powiedziałem, że wychowywałem się u księży, a maturę zdawałem w Liceum Towarzystwa Salezjańskiego w Różanymstoku. Wydaje mi się zatem, że ten numer nie przejdzie...

1 lutego 1956

Byłem u księdza Sopočki. Przyjął mnie bardzo serdecznie i ciepło. Rozmawialiśmy ze sobą krótko, lecz nawiązaliśmy bliski kontakt. /.../ Ten świątobliwy kapłan zajęty jest nieustannie. Oprócz zajęć w Seminarium i prac duszpasterskich pisze książki na tematy teologiczne, tłumaczone na obce języki. Pokazywał mi tłumaczenie swojego traktatu „O miłosierdziu Bożym” na język angielski. Kapłan ten jest apostołem Bożego Miłosierdzia. Idea ta rozchodzi się bardzo szeroko po świecie, rozlewa się jak wezbrana rzeka, niosąc ludziom tę jedną z największych pociech: „Bóg jest Miłosierny!”

/.../ Ksiądz Sopočko wypożyczył mi dwie książki: „Siostra Faustyna – szafarka Miłosierdzia Bożego”, napisaną przez siebie, oraz powieść Jerzego Grabskiego „Saga o Jarlu Broniszu”. Przy okazji otrzymałem adres tego pisarza.

21 lutego 1956

Ukazał się mój reportaż „U kurpiowskiego świątkarza” z dwoma zdjęciami mego autorstwa. Dopiero w niedzielę dowiedziałem się o tym od znajomych. Byłem ciekaw, czy nie skrócili. Niestety, w kioskach „Życia” już nie było. Pono jest tam notka moja pt. „Skandaliczne warunki łomżyńskiego PKS-u.”

7 czerwca 1956

Spotkałem się z panem Józefem Niewiakowskim, moim poprzednikiem na stanowisku st. inspektora KO w Wojew. Zw. Spółdzielczości Pracy. Rozmawialiśmy, spacerując obok kościoła farnego, do północy. Dyskutowaliśmy o niezależności w sztuce. A ta jest stale krępowana. Pan Józef znał Parandowskiego, a nawet przyjaźnił się z nim, będąc dyrektorem opery czy jakiegoś teatru we Lwowie. Parandowski był kierownikiem literackim.

„Jasio sprowadzał nam do kawiarni bogów z Olimpu – mówił pan Józef – za co byliśmy mu bardzo wdzięczni”. Później rozstali się, kiedy Niewiakowski wyjechał do Wiednia. Występował tam jako śpiewak operowy. Gdy wrócił u progu sławy i był „rozchwytywany przez publiczność”, jeszcze wznowił kontakt z pisarzem. Rozstali się dopiero, kiedy pan Józef zachorował na płucą i musiał rozstać się z operą. „Stałem się wtedy recenzentem i publicystą – mówił pan Niewiakowski – ale ciągle marzyłem o operze”. Dzisiaj zapewne przestał już marzyć o tej „królowej muz” – jak twierdzi zawsze. Tak sądziłem. Ale gdzież tam! Po chwili zdradził mi, że jednak myśli o teatrze. „Płucą mam podleczone, lekarze nie znajdują otwartych ran, więc wrócę jeszcze na scenę!” – zawołał z nadzieją w głosie.

Teraz pan Niewiakowski pisze rozprawki filozoficzne na temat sztuki i historii teatru. I niecierpliwie wygląda stosownej chwili, by wyrwać się z prowincji, która go zabija. Urzeka go szeroki świat, po którym spodziewa się jeszcze wiele.

Gdy wyrażałem żal z powodu braku szerszego życia kulturalnego w Białymstoku, pan Józef zawołał: „Niech pan wyrывa się jak najprędzej z tej dziury! Pan tu może stracić talent, zakopać nadzieję”. A za chwilę dodał: „Wybić się w sztuce można tylko w wielkim mieście, gdzie nie ma koterii. W Białym-Miasteczku rządzą kacyki, którzy popierają swoich ludzi, chociaż mają niewiele wspólnego z talentem. Tylko w mieście o dużych tradycjach artystycznych znajdzie się zawsze ktoś, kto zrozumie, poda rękę i poprowadzi na szerszy gościniec... Sztuka oparta jest na indywidualnościach, a nie na zreszzeniach. Nie ludzie tworzą sztukę, ale człowiek” – zakończył swoje wywody.

24 października 1956

Dzisiaj w Białymstoku był wielki wiec. Niesiono sztandary polskie i węgierskie. Słuchaliśmy przemówienia Gomułki, który oświadczył, że Chruszczow dał słowo, że w ciągu dwóch najbliższych dni wojska radzieckie powrócą do swych baz. Na wspomnienie tych słów szal ogarnął warszawską publiczność. Długo oklaskiwano mówcę...

Muszę wspomnieć, że przed wiecem, a ściślej, na początku wiecu, przewodniczący KW i KM odczytali deklarację ludności popierającą VIII Plenum KC PZPR, a sekretarz KM przeprowadził samokrytykę. To jednak nie zadowoliło 20-tysięcznej rzeszy białostoczan zgromadzonych na placu przed Akademią Medyczną. Kiedy oznajmiono oficjalne zakończenie wiecu, do mikrofonu podszli jacyś ludzie i zaczęli krzyczeć: „Dzisiaj zamknięto nam usta!... Nie pozwolono nam mówić...”

Kiedy się uciszyli, zaczęto domagać się odsunięcia przywódców Komitetu Wojew. PZPR, gdyż zajęli postawę wyczekiwania wobec nadchodzących przemian. Jeden z demonstrantów mówił niewyraźnie, krztusząc się, co robiło nieprzyjemne wrażenie. Ludziom jednak to się podobało i nagrodzili go gromkimi brawami. Wtem rozległy się okrzyki: „Precz ze starym Komitetem Wojewódzkim!... Zdaje się im, że Stalin jeszcze żyje... Patrzcie, jak nami tu komenderowali!...” itp.

W pewnej chwili zabrał głos jakiś student. Mówił krótko, rzeczowo/.../ Domagał się uchwalenia nowej rezolucji, w której by uwzględniono przemianowanie ulicy Marszałka Rokosowskiego na Akademicką. Tłum przywitał to hucznymi brawami. Po czym zaczęły się spory. Do mikrofonu podchodzili coraz to nowi mówcy i zaczęli się usprawiedliwiać. Byli to ludzie z Komitetu Miejskiego i bodajże z KW PZPR. Nie dano im jednak dłużej mówić. Po stanowiono powołać przewodniczącego wiecu. Ale wszystko spełzło na niczym. Ludzie kłócili się, krzyczeli. Wreszcie dorwał się do mikrofonu redaktor Łoziński, sekretarz „Gazety Białostockiej”: „Słuchajcie mnie! – wołał – jestem dziennikarzem. Dajcie mi mówić. Posłuchajcie!...”

Ale nikt go nie słuchał. Padały pod jego adresem najprzeróżniejsze epitet, dotyczące prasy. Starał się zatem usprawiedli-

wiać: „Słuchajcie mnie! – wołał wciąż coraz głośniejszym głosem – napisałem artykuł na temat VIII Plenum. To moja postawa. Solidaryzuje się!... Artykuł jest w dzisiejszej gazecie!...”

Głos redaktora zamilkł. Widocznie odsunięto go od mikrofonu. Teraz ktoś inny przemawiał. Krzyczał, wymachiwał rękami. Był to istny sejmik szlachecki, który mógłby przerodzić się w anarchię. Zniechęcony udałem się do prokatedry...

Przed chwilą słuchając Radia Białostok dowiedziałem się, że I Sekretarz KW zrezygnował ze stanowiska. Mówiono, że rzucano hasła demagogiczne. Było to chyba pod adresem studenta, który domagał się zmiany nazwy ul. Rokosowskiego na Akademicką...

6 lutego 1957

Prawdopodobnie otrzymam wypowiedzenie z pracy pod koniec miesiąca... Rozmawiałem z red. Hofman w Rozgłośni Radia Białostok. Zachęca mnie do pisania audycji na tematy kultury. Wspomniałem jej o zaproszeniu mnie przez Związek Spółdzielców Czeskich do Czechosłowacji; prosiła o napisanie audycji na temat Polaków za Olzą...

Piszę reportaż o powstaniu Szkoły Wychowania Estetycznego w Supraślu. Dam tytuł: „Podlaski Krzemieniec”...

20 grudnia 1957

Rozmawiałem z p. Zawieyskim po spotkaniu autorskim. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył.

- A co pan tu robi? – zapytał na przywitanie.

Kiedy odprowadziłem go do szatni mówił, że odpisał na mój list... Wieczór Zawieyskiego był nadzwyczaj udany. Zrobił wspaniałe wrażenie nawet na ateistach. Mówił otwarcie i z prostotą o swojej wierze. Odpowiadał na każde pytanie szczerze. Był naturalny i taktowny. Myślę, że nie uraził nikogo, chociaż sądy wydawał niekiedy surowe, zwłaszcza o współczesnej literaturze i jej „mecenasach” w Polsce. Mówił, że jeszcze nigdy w dziejach historii nie planowano upadku kultury. A miało to dopiero miejsce u

nas przed polskim październikiem...

Spotkanie rozpoczął Zawieyski odczytaniem swego opowiadania „Odwiedziny prezydenta”. Potem była dyskusja, a w trakcie niej wspomniane już wyznania autora... Zawieyski także powiedział, że nie robi z tego tajemnicy, że przed wojną był rewolucjonistą. „Chodziłem z czerwonym sztandarem” – mówił. Wspomniał też o aresztowaniach, które przeżył „dla socjalizmu”. Doszedł jednak do przekonania, że wąska idea materializmu nie może zamknąć jego życia myślowego. Ten światopogląd wydał mu się zbyt ubogi i niekonsekwentny. Musiał szukać innego. I znalazł go. „Teraz jestem szczęśliwy; że mogę tworzyć i żyć dla nowej idei. Zresztą nie potrafię nie tworzyć w tym duchu. Czuję potrzebę tego tworzenia, mus wewnątrzny... I dlatego, chociaż nie będą mnie wydawać, będę pisał. Zresztą utwory moje znów ujrzą światło dzienne, którego dnia. Głęboko w to wierzę!” – mówił wzruszony.

O pisarzach marksistowskich wyrażał się dobrze, jeśli ich twórczość była humanistyczna, ludzka... Bronił Rudnickiego przed Sandauerem, przed jego artykułem drukowanym w „Kulturze” paryskiej: „Bez taryfy ulgowej”.

Publiczność białostocka ujrzała Zawieyskiego - humanistę, Zawieyskiego - człowieka o szerokim sercu, o głębokiej myśli. Bardzo mi się podobał ten moment, kiedy red. Borowski ze „Słowa Powszechnego” mówił o znaczeniu sztuki dla „koegzystencji”, o zbliżaniu się światów na tej płaszczyźnie. Zawieyskiego to wzruszyło. Powiedział: „Chciałbym pana ucałować za te słowa!”

Kiedy żegnałem się z Jerzym Zawieyskim, powiedział, żeby pisać do niego. Odpowie na pewno/.../

Z opinii i recenzji

Waldemar Smaszcz

Z twórczością Mieczysława Czajkowskiego zetknąłem się przed ponad dwudziestu laty, gdy autor przyniósł mi do lektury swoje powieści, które z różnych względów nie mogły ukazać się drukiem. Próbowałem mu pomóc w kontaktach z wydawnictwami, ponieważ byłem przekonany, że jego utwory w pełni zasługują na publikację. *Smak makucha*, bardzo interesująca powieść o dojrzewaniu, której akcja dzieje się w jakże historycznym podbiałostockim Supraślu, była już o przysłowiowy krok od wydania, ale nastał stan wojenny i najpierw rzecz cała odsunęła się w czasie, a później, po zmianie redaktora, wydawnictwo wycofało się z wcześniejszych ustaleń.

Dopiero po roku 1989 zaczęły ukazywać się kolejne książki pisarza; jakby próbując nadrobić stracony czas, Mieczysław Czajkowski wydawał niekiedy po dwa tomy w ciągu roku. Zdobywał wiele nagród w konkursach literackich, a jeden z jego zbiorów – *Jerozolimskie ślady* – został uhonorowany prestiżową nagrodą Prezydenta Białegostoku, jako najlepsza książka roku, co okazało się bardzo trafnym werdyktem, gdyż tom był potem tłumaczony na rosyjski i litewski, a omawiany m.in. w „Tygodniku Powszechnym”. Dużym sukcesem artystycznym okazał się też zbiór *Katyński popielec*, co tym bardziej zasługuje na podkreślenie, że sam temat był niezwykle trudny, wręcz nie do udźwignięcia. Autor zaś sprostął wyzwaniu dzięki wielkiej dyskrekcji i wykorzystaniu autentycznych listów ze Starobielska. Prawykonanie tych tekstów z muzyką Tadeusza Trojanowskiego, w Filharmonii Białostockiej w obecności Ryszarda Kaczorowskiego, ostatniego Prezydenta RP na Obczyźnie i licznych rodzin rozstrzelanych oficerów, stało się prawdziwym wydarzeniem.

Zawsze imponowała mi pasja, z jaką pisarz pokonywał wielorakie trudności. Nie uległ okolicznościom i po latach zrealizował swoje zamierzenia; okazał się zarówno człowiekiem utalentowanym, jak i traktującym talent nie tylko jako dar, lecz przede wszystkim zadanie.

Józef Szczypka, o Mieczysławie Czajkowskiego „Smak makucha”, z recenzji wydawniczej, PAX, 24.02.1986 r.

Wielka, radująca niespodzianka! Jest to dobra, jak najbardziej godna druku proza i to właśnie godna druku u nas. Autor prezentuje niemałą sprawność literacką. Zrobił niewielką powieść psychologiczno-obyczajową i kilku subtelnie potraktowanych wątkach, znając nie-
źle realia czasu i miejsca, ale kładąc nacisk na portret wewnętrzny bohatera /.../ I zachowując powściągliwość w odwoływaniu się do bezpośrednich spraw wojny. W jego powieści występują księża, mówi się też o Bogu i modlitwie. I znowu jest to czynione raczej „cienko”, znowu trudno byłoby tutaj cokolwiek zarzucić autorowi, nie korzysta z kolorów pastelowych, i nie chce być budujący na siłę...

Piszę to wszystko z przyjemnością i z dużym zaciekawieniem, jeśli chodzi o osobę autora. Kim jest? Czy i co pisywał dotąd? Trzeba oczywiście nawiązać z nim szybko kontakt, a „Smak makucha” być może włączyć do planu 1987.

... „Smak makucha” to po prostu dobra, bezpretensjonalna proza o rodowodzie /mało-realistycznym/, jest trochę scen z przytułką, jest tak rzadki w naszej literaturze Białystok, który też może zainteresować...

*

Jarosław Łaski – „Gazeta Współczesna” 29.09.1993 – recenzja z tomu „Białostockie ścieżki”

/.../ Poezje Mieczysława Czajkowskiego zebrane w tomie „Białostockie ścieżki” oświetlają z poetyckiej strony losy człowieka, który ma swój dom, swą świętą przestrzeń domu i miasta, archetypiczne gniazdo, z wyobrażeniem którego podąża może wszędzie. I chociaż poeta nie urodził się w mieście nad Białą, jego białostockie światy to obraz malej Arkadii, krainy szczęśliwości zaznanej dzięki dzieciństwu, krainy, która pogrąża się wciąż w przeszłości - przemieniając się z wolna w kraj wzruszeń. Miasto Czajkowskiego to nie labirynt, lecz przestrzeń jasna i określona, powracająca dzięki wskrzeszającej wręcz sile pamięci/.../

*

*„kon” /kryptonim Krystyn Koneckiej/
„Gazeta Współczesna” z 1998 r.*

Najpierw poznaliśmy talent literacki Mieczysława Czajkowskiego poprzez jego wiersze, zawarte w zbiorze „Jerozolimskie ślady” i „Katyński popielec”. Później poeta objawił się jako prozaik – w de-

biutanckiej powieści „Smak makucha” i zbiorze gawęd „Odfrunęły ptasie uliczki...” Ostatnią z licznych książek dojrzałego pisarza jest „Hamlet z Davis street”. Ta powieść powstała przed ćwierćwieczem, jednak jej druk był niemożliwy z powodów cenzuralnych. Bohaterem „Hamleta...” jest Antoni Kęsy, człowiek z osobowością, który nie przystaje do modelu typowego polskiego emigranta, coraz bardziej wtapia się jednak w amerykańską codzienność, nie mogąc się od niej oderwać. Powrót do ojczyzny stoi pod znakiem zapytania, bo inteligent o sprecyzowanych poglądach może mieć do czynienia ze Służbą Bezpieczeństwa. Realia same pokierują losem Antoniego.

Dorobek Mieczysława Czajkowskiego oceniany jest przez krytykę życzliwie. Zapewne i najnowsza proza, charakteryzująca się żywą narracją, nagromadzeniem konkretów i odrobiną psychologii, zyska dobre oceny i zjedna autorowi czytelników.

*

Jan Leończuk – z posłowania do „Odfrunęły ptasie uliczki”

Książka Mieczysława Czajkowskiego /.../ zauroczyła mnie światem, który odszedł już za swoje horyzonty, umarł wraz z tymi, którzy wrastali w mentalność miasta, uczyli się jego mowy, prostowali wiejskie nawyki – próbując pogodzić ze sobą dwa światy. Niektóre teksty zamieszczone w tym zbiorze przed wielu laty gościły na łamach prasy regionalnej i na antenie Polskiego Radia w Białymstoku /.../ Teraz w gawędach pióra Mieczysława Czajkowskiego miniony czas, strzępy zasłyszanych dialogów powracają na karty tej książki, dotyczącej dnia powszedniego. I nagle uświadamiamy sobie, że jesteśmy świadkami jakiegoś innego wymiaru, a najzwyczajsze wydarzenia stają się świątecznym tłem. I w tym tkwi „wina”, mówiąc inaczej – talentu Mieczysława Czajkowskiego, który pozwala z codzienności uczynić świętowanie.

*

Piotr Rakowski – Dodatek Literacki Głosu Nauczycielskiego, 1993

„To miasto jak z obrazu Chagalla / Anioły fruwały nad Komitem / Wiatr im się spowiada” – napisał o Białymstoku Czajkowski. „Miasto jak z obrazu Chagalla” – to nie porównanie. Poeta dokonuje

kreacji świata metodą retrospektywną, przywołuje z pamięci to, co umarło /.../ Podobnie jak u Chagalla, w obrazach Czajkowskiego pojawia się ekspresja, symbolika, surrealizm; zanika naiwny realizm, indywidualny styl poetycki posługuje się językiem metafory, czerpanej ze wspomnień młodości /.../

Ta poezja jest próbą ocalenia tego, co odrębne, wyjścia na po-

wierzchnię, osiągnięcia sfery wartości, uchronienia świata umarłego przed zniszczeniem, przed zanegowaniem go i zanegowaniem tego, co nas otacza, przed katastrofą obojętności.

*

Krystyna Konecka – „*Gazeta Współczesna*”, 22-24.11.1996

„W »Jerozolimskich śladach« – pisze Waldemar Smaszcz – potwierdziła się słuszność wyborów poetyckich Mieczysława Czajkowskiego, który jakby na przekór wielu tendencjom poezji współczesnej zbudował swój kosmos poetycki z elementów niezwykle oszczędnych, jakby ostentacyjnie odrzucając bogactwo tego świata”. Zapewne dlatego /.../ spotkanie z okazji 40-lecia pracy twórczej Mieczysława Czajkowskiego odbyło się na Bojarach, w sali teatralnej Domu Dziecka /.../, gdzie niegdyś ten poeta i prozaik mieszkał. O jego dorobku mówił Waldemar Smaszcz, o „Ptasich uliczkach” czytał z książki, w sobie tylko właściwy, malowniczy sposób – sam Wojciech Siemion /.../, rosyjską wersję „Jerozolimskich śladów” /.../ przywiózł z Sankt Petersburga jej tłumacz, Edward Karpionok /.../ Jubileusz minął, ale przed Mieczysławem Czajkowskim wiele jeszcze pejszaży, ścieżek, śladów /.../

*

Józefa Hennelowa – „*Tygodnik Powszechny*” nr 4 z 20.01.2000

/.../ W „Jerozolimskich śladach” Mieczysława Czajkowskiego niejeden wiersz bardzo mi się podobał. Ale o co innego chodzi: ten tomik jako dwujęzyczny z litewskimi przekładami wydała jesienią ubiegłego roku litewska „Aušra” w Puńsku, najsilniejszej enklawie litewskiej mniejszości w Polsce. I nie tylko wydała, ale zaprezentowała w miejscowym kościele z udziałem swego konsula, a potem w Suwałkach /.../ Jedna mała rzecz, jedna rzecz dobra. Właśnie dlatego między innymi, że tym razem już nie spory o pisownię nazwisk, tyle przyczyniającą zlej krwi Polakom na Litwie /nb. w litewskim przekładzie „Jerozolimskich śladów” imię i nazwisko autora pozostaje w swoim autentycznym brzmieniu!... Coś, co może tylko cieszyć i zbliżać. I co zostanie, jak każda książka, mówiąca o rzeczach bliskich sercu, rodzących uczucia jednoczące ludzi, wartych przechowania, składających się – znowu – na wspólne dziedzictwo. Dla wilnianki, jak ja – po prostu dar. Więc dziękuję!

*

Zdzisław Łączkowski – „*Słowo Powszechne*” z 2.11.1993

Godne polecenia są też Mieczysława Czajkowskiego „Jerozolimskie ślady” /Białystok/. To twórca już dojrzały. Jego

„Jerozolimskie ślady” są tomem liryki religijnej, a właściwie poetyckim reportażem, zapisem z Ziemi Świętej.

*

Waldemar Smaszcz – „Czas Miłosierdzia” nr 4, 2000
„Jerozolimskie ślady Mieczysława Czajkowskiego”

Poeta bardzo oszczędnie dobiera słowa, jest jak najdalszy od pokusy opowiadania o wszystkim, a w niektórych miejscach najchętniej zachowałby milczenie:

Nie umiem modlić się inaczej

Jak trwać w milczeniu

Przy ramionach krzyża

W innym jednak wierszu zdobywa się zaś na takie, jakie tylko liryka potrafi wydobyć z zasobów języka. *Tulę się w Twoje ramiona – pisze – jak do wiosennego słońca.* To właśnie z tej tonacji, rzadko wprawdzie ujawnianej, ale przecież obecnej w całym zbiorze, wyrasta najpiękniejsza modlitwa, która zapewne kiedyś toczyć będzie najzupełniej samodzielny żywot, jak to zazwyczaj bywa z podobnymi tekstami. Tracą wówczas autorstwo, stają się anonimowe niby najwcześniejsze, średniowieczne pieśni, ale za to zyskują nieogarnięte wręcz rzesze odbiorców. Naprawdę możemy się modlić powtarzając za poetą:

Mówiono mi że Ciebie

Nie ma

Że jestem iskrą spadłą

Z gwiazd

Mówiono mi że tylko

Brać

Bo tyle mego

Co zagarnę /.../

I trwałem tak

W niewiedzy ślepej

Szukając po omacku

Prawd –

Jak iskra co z kosmosu

Spadła

Tęskniąca do

Niewygasłych gwiazd

Ten niezbyt obszerny zbiorek łączy dwa na pozór nie do pogodzenia nurty – rodzaj poetyckiego pamiętnika z pielgrzymki z czystym modlitewnym zamyśleniem, pozwalającym głębiej przeżywać prawdę miejsc świętych.

*

/Jer/ - Mieczysław Czajkowski „To wszystko pamięć”, „Kurier Poranny”, 6 marca 1995

...Wiara w moc sprawczą słowa poetyckiego /.../ nie umarła, lecz realizuje się w odmienny sposób. Poeta współczesny z demiurga stał się Syzyfem, który niesie „słowa puste i nadęte”, „buduje domy z kart” z niesłabnącą nadzieją, że „przecież kiedyś / może zabrzmi inaczej / to jedno słowo - człowiek”.

Objawem i deklaracją takiej wiary wydaje się być najnowszy tomik znanego białostockiego poety, Mieczysława Czajkowskiego, noszący znamienity tytuł „To wszystko pamięć”.

Zebrane w nim utwory nie pochodzą z jakiegoś konkretnego okresu – tym, co je łączy, jest nostalgia, świadomość przemijania /.../

Taka postawa nie przeszkadza jednak poecie dostrzegać również wspaniałości otaczającego go życia, rejestrować zachodzące w świecie zmiany i chwytąć przelotne, nietrwałe zachwyty nad jakimś fragmentem rzeczywistości...



Jubileusz w Galerii Slendzinskich. Mieczysław Czajkowski
i Waldemar Smaszcz, Białystok 8.XII.2005

Z listu Gustawa Morcinka do Mieczysława Czajkowskiego:

Skoczów, 13 czerwca 1954 r.

Szanowny Panie!

Dziękuję uprzejmie za tak wiele zaufania, wyrażonego mi w swym liście i za miłe słowa.

Prace Pana przeczytałem i doszedłem do takich wniosków: mam wrażenie, że Pan posiada to, co zwykliśmy nazywać talentem. Pierwsze opowiadanie jest „nikłe”. Jest to raczej ledwie zarysowany szkic mało mówiący. Za to drugie opowiadanie jest o wiele lepsze. Podejrzany bowiem przestaje być podejrzanym pod koniec opowiadania, a kunszt tworzenia takich opowiadań polega między innymi i na tym, że czytelnik wciąż nie wie, aż do końca, jakie będzie zakończenie /.../

Niech Pan próbuje nadal pisać. A przede wszystkim niech Pan dużo czyta najlepszych pisarzy, jak Sienkiewicz, Prus, Żeromski, z nowszych przede wszystkim Parandowski /:świetny stylista:/ i Iwaszkiewicz. Proszę podpatrywać ich technikę i sposób pisania, jakich używali porównań, jak budowali zdania /:znowu Parandowski:/.

Jeżeli owo pragnienie pisania będzie pasją, Pan przez ustawiczne dążenie do coraz większej doskonałości stanie się pisarzem. Chodzi o to, by Pan zawsze był takim Sokratesem, który powiedział, że wie, iż nic nie wie. To znaczy, trzeba wciąż i wciąż pracować nad sobą. Dobrym środkiem są krytyki dzieł, zamieszczone np. w „Twórczości” i w innych pismach literackich. Czytam książkę, a potem czytam jedną i drugą krytykę czy recenzję i wtedy dużo się dowiaduję.

Niech Pan pracuje nad sobą i pisze!

Serdecznie pozdrawiam
Gustaw Morcinek

„Paradoks twórczości”

*fragmenty wywiadu Jerzego Nachilo z Mieczysławem Czajkowskim
„Kurier Poranny” z grudnia 1994 r.*

/.../ – Każdy poeta ma swoją definicję poezji. Czym ona jest dla pana?

– Muszę wyznać, że nigdy nie uważałem się za poetę. Wiersze to dla mnie coś bardzo intymnego, więc krępowałem się wyjść z nimi w świat. Sądzę, że człowiek w poezji nigdy nie potrafi wypowiedzieć się do końca. W moim przypadku poezja jest odreagowaniem pewnych stanów, autoterapią. Potrzebę pisania wierszy czułem od dziecka, ale chętniej wypowiadałem się w prozie. Pisałem dramaty, o których przychylnie wypowiadał się Jerzy Zawieyski. Jeden z nich, „Wysłstwo Boże” był wystawiany przed laty w Białostockim Seminarium Duchownym/.../ W końcu doszedłem do poezji. Po kilku nagrodach w konkursach poetyckich, gdy wiersze zostały zweryfikowane przez innych, zacząłem je publikować.

– Jakże ma pan wzory poetyckie, jakich poetów ceni?

– Najbardziej bliski mi jest Jerzy Liebert, którego wiersze towarzyszyły mi od dziecka, cenię poezję Anny Kamieńskiej, Romana Brandstaettera. Miłosz jak na mój gust, poza wczesnymi wierszami jest zbyt suchy, anglosaski. Z poezji obcej przemawia do mnie rosyjska, Mandelsztam, Brodski, cenię ją bardziej niż poezję anglojęzyczną.

– I Liebert, i Kamieńska, i Brandstaetter to twórcy, w których twórczości problemem centralnym była wiara...

– Nie ma ludzi niewierzących, nawet ci, którym wydaje się, że nie wierzą, wierzą w głębi ducha. Nie ma ludzi niewierzących, tylko są tacy, co poszukują. Nawet ci poeci, którzy stoją daleko od Boga, pytają o początek, o sens życia. Twórczość bardzo głęboko wiąże się z wiarą.

– Napisał pan w ostatnim tomie: „Nie pora na wiersze / Kiedy dzieci płaczą / A matki noszą serca / W torbach na zakupy”. A mimo to pisze pan wiersze. Czy to jest paradoks?

– Tak, to jest paradoks wszelkiej twórczości, a nawet życia.



w 80-lecie urodzin

WIKTOR SZWED

Urodził się na Białostocczyźnie, we wsi Morze. W 2005 r. ukończył 80 lat. Cytując prof. Aleksego Pietkiewicza „... jest poetą nie tylko z łaski Boga, lecz także poetą niezmiernie białoruskim. Uformował się w regionie, gdzie silnie krzyżują się wyznania, języki, upodobania i poglądy różnych narodów (...) W tym skrzyżowaniu wypracował swoją najukochańszą drogę do ojcowskich zagród i mogił dziadków i uczynił ją poetycką świątynią białoruskiej literatury w Polsce. I to wyróżnia go spośród innych, nadaje jego twórczości wyraźne rysy indywidualne...”

Wiktor Szwed jest absolwentem Akademii Nauk Politycznych w Warszawie, dziennikarstwa i filologii białoruskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował w 1957 r. na łamach „Niwy”. Pisze w języku białoruskim. Jest autorem zbiorów poezji:

Życiowyja ścieżki (1967), *Dziaciństwa prystań* (1975), *Družba* (1976), *Maja zialonaja Zubrowija* (1990), *Rodny schou* (1991), *Wiasiolka* (1991), *Wiersze wybrane* (w tłumaczeniu na język polski, 1997), *Wierszy Natalcy* (1998), *Lata wiatr skrzydlaty, Śmiech nie grzech* (w tłumaczeniu na język polski, 2000), *Wybranyja wierszy* (2000), *Maje Ajczyny* (2003) oraz współautorem podręczników do nauki języka białoruskiego. Zajmuje się również przekładami.

W jego tłumaczeniu na język polski ukazały się m.in. książki:

I. Szubitydze *Opowieści poleskie* (1973), A. Twardowski *Wiersze* (1985), a na język białoruski tom poezji A. Szewiełło *Supraskiej duszy śpiewanie* (2003) oraz setki wierszy polskich poetów.

Ważne miejsce w dorobku poety zajmuje twórczość dla dzieci /.../ Można się z nią spotkać co tydzień w „Zorce”, dodatku dla dzieci w „Niwie”/.../

Wiersze Wiktora Szweda mają znaczenie poznawcze, dokumentalne

i kronikarskie. Poświadczają różnorodne przejawy życia białoruskiego w Polsce. Twórczość poety – refleksyjna, liryczna, a często dowcipna, wyrosła z głębokiej świadomości własnych korzeni i źródeł, spotyka się z dużym zainteresowaniem tak w środowisku białoruskim, jak i polskim.

Wiktor Szwed od 1977 r. jest członkiem Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, a od 1988 r. Oddziału Białostockiego ZLP oraz Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”.

z: http://www.wrotapodlasia.pl/pl/region/ludzie_podlasia/szwed.htm

A jednak się kręci

Tyle tragicznych zdarzeń na świecie,
Strzelają w niebo niebieskie luny.
Minęły właśnie cztery stulecia –
Splonął na stosie Giordano Bruno.

Ból wielki moje serce przenika,
Że tak okrutne rzeczy się dzieją
Za to, że poparł on Kopernika
Astronomiczne słuszne idee.

Inkwizytorzy przeróżni w Rzymie
I w innych miastach, pomimo chęci,
Nie potrafili Ziemi powstrzymać.
Rzekł Galileusz: „A jednak się kręci”.

Cygański tabor

W łąkach wyblakłe namioty
Na długich w wozach drabinach,
Ognisko na łące za płotem –
Często w swym życiu wspominam.

I pieśni pod bęben pękaty,
I smutną grę na gitarze,
Co nucił Cygan brodaty
Z płomieniem owiniętą twarzą.

I te, wystrojone jak pawie,
Z małymi dziećmi Cyganki,
Siedząc przy ognisku na trawie
Wróżyły szczęście do ranka.

Ten widok niezapomniany –
Odjazd taboru – obozu,
Z nim puste wiaderko blaszane
Wciąż się huśtało pod wozem.

Moje kolejne obywatelstwa

Prosiłem Ciebie, miły Boże,
Tak bez żadnego marzycielstwa,
Że pragnę swoje życie dożyć
Bez nowych zmian obywatelstwa.

A miałem pięć ich poza sobą
Myśląc, że już nie będzie więcej.
Jednak psikusa życie robi,
Znowu znalazłem się w urzędzie.

Zmian się odbywa u nas wiele,
Sejm postanowił nam na Wiejskiej,
Że będę też obywatelem
Unii Europejskiej.

Aż skórą mi przechodzą dreszcze,
Z pomysłem Prezydent nas wita:
Będę obywatelem jeszcze
Czwartej Rzeczypospolitej.

Nasze życie

Na świat przychodzi każdy człek
Paradoksalnie – aby umrzeć.
I on przez cały ziemski wiek
Rozmyśla wciąż o własnej trumnie.

Na trzy etapy akurat
Można podzielić ludzkie męki.
Trzydzieści poświęcamy lat
Na gry, zabawy, szkół udręki.

Drugie trzydzieści – zajęć stos
Na swej rodziny utrzymanie,
Rodziców swych poprawiać los,
Zająć się dzieci wychowaniem.

Ta część ostatnia życia nam –
To czas rozmyślań naszych o tym,
Że już musimy odejść tam,
Skąd nie będziemy mieć powrotu.

Len

I
Pod plon nowy orał znowu
Ojciec w kroplach potu.
I siał ręką lnu ziarenka
Błyszczące i złote.

I len bury piał się w górę,
Zakwitł w błękitcie.
Cieszył oczy len uroczy
Jak chaberki w życie.

Len dojrzały wrywała
Mama na zagonach.
I przez słońce wciąż gorące
Został wysuszony.

I na kołach do stodoły
Len ten dostarczono.
Mama rankiem mu kijanką
Obtłukła nasiona.

Później w stawie tydzień prawie
Mókl on przepisowo.
I na łące znów na słońcu
Suszył się od nowa.

Len międlila z całej siły
Matuła wspaniała,
I trzepaczką biła chwacko
Na kadłubku małym.

II

Przędzie, przędzie nie z kądzieli
Równiutką matuła,
A z jej ręki nic się ściele
Na kołowrotka szpulę.

Na snowadle mama snuje
Wielkim i skrzydlatym,
A snowadło podskakuje
I krąży z nim chata.

Tam i nazad, tam i nazad
Węduje czółenko.
Mama płótno тка, od razu
Rośnie jej pod ręką.
Szła na łąkę ze mną rano
Bielić płótno mama,
Biegłem po tej wstędze lnianej
Bosymi nogami.

Kradnie lata czas okrutny...
Droga ma matuła
Z ręcznie wytkanego płótna
Szyla nam koszule.



35-lecie
poetyckiego debiutu

JAN LEŃCZUK

Poeta, prozaik, tłumacz; urodził się 24 czerwca 1950 r. w Łubni-
kach, na Białostocczyźnie. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego;
studiował filologię polską i historię.

Debiut poetycki w „Kontrastach”. Miesięczniku społeczno –
literackim, 1970 nr 11, w „Poczcie literackiej” prowadzonej przez Wie-
sława Kozaneckiego.

Opublikował tomiki poetyckie, m.in.:

Rachunek (1973), ***Żalnik*** (1979), ***Duszna noc*** (1980),
Biała sukienka (1986), ***Za horyzontem*** (1986), ***Żertwa*** (1987),
Pieśni z karnawału (1991),
Zawołaj raz jeszcze ciemnym wierszem (1991), ***Zapiskane*** (1992),
Wybór wierszy (1996), ***W drodze do Domu*** (1996),
Dotykanie ziemi (1997), ***Coraz bliżej snu*** (1998),
z synami Janem i Antonim wiersze dla dzieci:
Gdy las jeszcze śpiewa (1998),
Jeszcze jedno śnienie (1999),
Zapomniałem was drzewa moje (2000, 2002);
oraz (z Jackiem Lulewiczem) ***Drzewo Życia czyli o Włodzimierzu Na-
umiuku, rzeźbiarzu z Kaniuk*** (1997);
arkusz prozy ***Dwa opowiadania*** (1986), felietony radiowe
Zapiski (1996) oraz ***Zapiski sołtysa*** (1997); ***Zapiski drugi*** (2003),
Zapiski trzeci (2005). ***Uczę się niepamięci...*** (2005)

Z przyjacielskiego spotkania 6 grudnia 2005 r. w Katolickim Stowarzyszeniu „Civitas Christiana”



Grafikę skomponował Wojciech Załęski

które przygotowała Bogusława Wencław oraz licealiści XI LO w Białymstoku: Bogusia Burak, Justyna Zińczuk, Grzegorz Grzybek, Dawid Klepadło, Marcin Kruhlej, /pod opieką nauczyciela bibliotekarza, Ireny Kot/; Justyna Rożko, absolwentka XI LO, studentka I roku filozofii i uczennica Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia, autorka debiutanckiego zbioru wierszy *Zasuszosze letnie deszcze* (2004); Justyna Godlewska-Kruczkowska, aktorka Teatru Dramatycznego im. A. Węgierki. Z prezentem muzycznym wystąpiła skrzypaczka Zofia Marszałek. Zebrani otrzymali kartki z wierszem Mistrza Jana, artystycznie wykonane przez uczniów XI LO, a od wydawnictwa PRYMAT-druk jubileuszowy.

Justyna Godlewska-Kruczkowska i Grzegorz Grzybek

O Pociu w sam raz

*W pewnym mieście, acz z dala od tras,
słusznego wzrostu i tuszy,
Poeta w sam raz
zupełnie nie uznawał walki klas,
a w dodatku jak ognia bał się jubileuszy
/choć go ciągnęło wielu za uszy
do tych jubileuszy/*

*Aż przyszedł czas, że Poeta w sam raz
słusznego wzrostu i tuszy
przekonał się, że 35-lecie też się
jednak – nadaje – do jubileuszy!
/tak, świetnie nadaje się
do świetnych jubileuszy!/*

*Tej okoliczności przeoczyć nie sposób:
Zbiegło się na nią mnóstwo wielkich osób
i już Wielki Leo, który ma JUBILEO
musi znaleźć na to jakiś sposób
a może, może – walka klas mu w tym pomoże?
a jeżeli nie walka, to przynajmniej klasy.
oto tych klas prawdziwe okrasy!*

Justyna Rożko, konferansjer

Bohater uroczystości, Jubilat Mistrz Jan, to postać doprawdy nietuzinkowa. W przedmowie do „Zapomniałem was, drzewa moje” prof. Teresa Zaniewska porównuje go do Dewajtisa – prastarego dębu z powieści Rodziewiczówny. I jest w tym porównaniu niezwykła trafność. Bowiem w osobie poety Jana dostrzegamy nie tylko dostojęstwo, mądrość, dopełnioną życiowym doświadczeniem, lecz – co więcej – w rozlicznych obszarach Jego działalności jest wyraźna analogia do rozłożystych, szerokich konarów Dewajtisa, w którego cienistych gałęziach znajduje schronienie wiele ptaków niebieskich.

Jeden z artystów malarzy powiedział o Nim: „Urodził się z ziemi jak bochen razowego, ładnie wypieczonego chleba. I nic tu dodać, nic ująć.” Jak wiele jednak można dodać, przekonamy się, słuchając Waldemara Smaszcza, krytyka literackiego, autora wielu książek i znawcy twórczości Jana Leończuka.

Wystąpienie Waldemara Smaszcza

Jubileusz Janka Leończuka wywołał we mnie wiele wzruszeń. Poznaliśmy się w roku 1975, a więc w pięć lat po debiucie, i przez trzydzieści lat spośród owych trzydziestu pięciu, mniej lub bardziej systematycznie towarzyszyłem jego pisaniu, zarówno poprzez wspólne działania literackie, jak i publikowane recenzje i szkice o jego poezji.

W 1974 roku rozpocząłem pracę na białostockiej polonistyce ówczesnej Filii Uniwersytetu Warszawskiego i od razu usłyszałem o

Janku Leończuku, który właśnie wtedy kończył studia drugiego stopnia na warszawskiej polonistyce. Andrzej Z. Makowiecki, nasz szef, zapowiedział, że od nowego roku powiększy on nasze grono. Zapowiadany był jeszcze kilkakrotnie. Zanim więc pojawił się, poprzedziła go swoista aura – Makowiecki mówił o nim nie jak o nowym pracowniku, ale po prostu o Janku, kimś, kto wprawdzie opuścił na krótko Białystok, ale zaraz powróci, ponieważ tu jest jego miejsce.

Istotnie, od października 1975 roku pojawił się „na Świerkowej” (gdzie mieściła się wówczas polonistyka) i od razu jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele zmieniło się w naszym wspólnym pokoiku, w którym spotykaliśmy się między zajęciami, na dyżurach i zebraniach. Bezpośredniość nowego asystenta łamała wszelkie schematy. Ledwie się poznaliśmy, a już byliśmy dobrymi znajomymi, mało powiedziane, trudno było oprzeć się wrażeniu, że znamy się „od zawsze”. Dosłownie biła od niego nieokiełznana wręcz potrzeba działania. Nie wystarczyły mu obowiązkowe ćwiczenia, niemal natychmiast założył klub „Bakałarz”, gdzie spotykali się nauczyciele-literaci i otworzył zupełnie nową kartę w dziejach tej placówki. Wszystko nabrało niebywałego przyspieszenia. Wieczory w „Bakałarzu” stały się głośne zarówno w środowisku początkujących literatów, jak i studentów polonistyki, którzy od początku aktywnie towarzyszyli różnorodnym przedsięwzięciom żywiołowego lidera, o niebywałej mocy przyciągania innych. Co dwa tygodnie odbywały się spotkania literackie, na przemian z zebraniami literatów, na których obmyślano plan działania.

Od początku Janek namawiał mnie do włączenia się w życie „Bakałarza”. Nie czułem się wówczas literatem, zawodowo zajmowałem się skamandrytami, więc nie bardzo widziałem się w środowisku młodych poetów. Jankowi jednak nie można było się oprzeć. Roztaczał tak dalekie wizje, że zanim się spostrzegłem, nie tylko byłem już w klubie, ale wyznaczono mi prowadzenie kolejnego wieczoru z zadaniem wygłoszenia słowa wstępnego.

Okazało się, że wiersze Leończuka czy Janka Sochonia dalece odbiegają od tego, co powszechnie uważano wówczas za „poezję współczesną”, której jednym z synonimów – w czasie moich toruńskich studiów – było *Odwrócone zwierciadło* Tymoteusza Karpowicza. Pamiętam, jak z poczuciem klęski udałem się na konsultacje do naszej wyroczni w tej dziedzinie, Janusza Kryszaka, przyznając się, że utknąłem bodaj na 63 stronie (tóm zaś liczył kilkaset stron!). Odetchnąłem z ulgą, gdy mój rozmówca bez ogródek wyznał, że on nie

przebrnął poza kilkanaście. Respekt wobec zjawiska „poezja współczesna” jednak we mnie pozostał.

I oto czytałem wiersze, które otwierały przede mną jakże bliskie mi światy. Wiersze o matce, ojcu, o domu, świętych znakach. Pisane czystym językiem, odwołujące się do zapamiętanych obrazów, poruszających zarówno emocje, jak i najbardziej podniosłe uczucia, niby ewangeliczne zwroty tak bliskiego mi Jakuba Wujka. A przy tym był to język na wskroś współczesny, podkreślający, że prawdy, o których pisze poeta, nie są bynajmniej przebrzmiałe, przeciwnie, bliskie, jak słowa wypowiedane w najbardziej osobistych sytuacjach, przez kratki konfesjonału czy w czasie łamania się opłatkiem. Naprawdę, nie spodziewałem się, że po Tadeuszu Różewiczu można w poezji tak mówić, jak to czynił mój rówieśnik:

*matka moja
wyciąga ręce
prosząc o życie*

*zapalam świecę
zapatrzony
w zachodzące powieki*

*– niedługo świt – powtarzam
niedługo świt*

(Niedługo świt)

Sięgnąłem po niewielki zbiorek *Rachunek* z 1973 roku, jedyny, jaki Janek wydał. Mogłem go czytać poprzez świat Brunona Schulza, ale atmosfera na wskroś religijna, a nawet konfesyjna, wskazywała jednoznacznie, że kontekstów dla tych wierszy należy szukać w tradycji polskiej liryki chrześcijańskiej. To był świat znany mi choćby z *Chłopów* Władysława Reymonta, który – jak wiadomo – był synem wiejskiego organisty i dostrzegł w życiu chłopskiej gromady nie tyle przypisywany mu z uporem godnym lepszej sprawy naturalizm, co głębokie wpisanie w rok liturgiczny. Każdy znak polskiego chłopą związany z ziemią, pracą, chlebem odnosił się do Stwórcy i o tym pisał Janek w pięknym wierszu *Misterium*:

*ojciec
na przednówku
kładał dłonie
na ostatni*

*złoty bochen
błogosławiąc
czas nasycenia*

*teraz przed nocą
też wyciąga ręce
chce je położyć
na staczające się
słońce
by zatrzymać
biegnący czas*

Dopiero w roku 1979 ukazał się pierwszy, by tak powiedzieć, normalny tom, wydany przez olsztyńskie „Pojezierze”, *Żalnik*. Ta długa przerwa sprawiła, że autor przygotował tom naprawdę wybitny i tylko zupełnie niesprzyjająca podobnej poezji sytuacja w polskiej literaturze sprawiła, że nie stał się on wydarzeniem na skalę ogólnopolską. Był to krzyk „ciemnym wierszem”, który mógł przerażać, ale nie takie było jego przesłanie. W *Żalniku* objawił się Leończuk-poeta, autor, który odtąd, za swoim świętym patronem, będzie wołał „głosem wielkim” o Słowo, jak światło niepodatne na otaczającą go zewsząd ciemność:

*pieje we mnie kur tęsknoty
trzykroć pieje w nagłym świetle
słowa grzęzną kluczem śpiewa
gorzkie żale moje żale
wyplątane z nocy gęstej
chleb rzucony w gardle gniece
słowa płyną jutrznią gasną
w pogorzele ranek wpływa
bandażami sznurowany
krzyk w milczenie zamykany
kogut pieje cisza dzwoni
Piotr ucieka w puste pole
Mistrz w pokoju już bez klamek
cierniem mierzy miejsce rany
budzik dzwoni wymierzony*

*Mistrzu słowo na początku
Mistrzu teraz słowa słowa słowa*

*Mistrzu wejdź w te gorzkie żale
marginesy pozapłataj*

*czystą kartką
dzień się łamie*

To – powtórzę – było prawdziwe objawienie niezwykłego talentu i bardzo indywidualnej postawy autora nieskorego do żadnych kompromisów. Ale jak miał ustąpić choćby z jednego słowa, skoro one wszystkie służyły jednej sprawie – ocaleniu. „Słowa już ogniem” – czytamy w innym wierszu; kto się odważy włożyć rękę do tego świętego ognia, który ma siłę niszczącą, ale i oczyszczającą zarazem.

W tym też zbiorze pojawia się pierwszy wiersz z motywem „drogi do Damaszku”. Poeta, dokonawszy przerażającej diagnozy swego czasu, uznał, że jedynie cud na miarę tego, jaki wydarzył się u wrót Damaszku, cud gwałtownej i całkowitej przemiany Szawła w Pawła, może nas uratować. Poświęci tej jednej myśli osobny cykl *W drodze do Damaszku*. Każdy z kilku wierszy tworzących tę niezwykle poruszającą całość zasługuje na osobne studium, a o jednej strofie trudno nie powiedzieć inaczej niż to, że po prostu zapiera dech w piersi:

*a może drogi do Damaszku
wybiegną przerażone w pole
i nikt nie wróci pokonany
by wiersz Twój śpiewać w czas niedoli*

Autor jakby sam przerażony tą wizją, powrócił do wspomnień dzieciństwa, także niewolnego od lęków, ale innej przecież natury. Powstał wówczas jeden z najpiękniejszych jego zbiorków małych próz poetyckich *Za horyzontem*, jedna z owych książeczek „na pocieszenie”, jakich nigdy nie należy odkładać zbyt daleko, by móc sięgnąć w każdej sytuacji i zanurzyć się w słowach wydobytych z czulej pamięci, w których każdy potrafi się odnaleźć:

Kiedy w piecu gasło – zamykano w chacie szyber. Ciepło tuliło się wtedy do każdego kąta. Ściany płakały z uciechy. Lampa mrużyła oczy. Przychodzili ludzie z nocy, rechoczący i płaczący. Straszło w chacie cieniem chapuna. Odmawialiśmy po cichu zdrowaśki. Dziadkowie schodzili do nas z portretów. Miłkli strwożeni rodzice. Dziadkowie gadali i gadali...

*O szyber uderzał wiatr coraz natarczywiej.
Wtuleni w kożuch słuchaliśmy – wiatru, snu...
Sierść przylegała do naszej skóry, porastając plecy.
Biegliśmy wilkami osaczonymi. Coraz dalej od migotliwych,
ciepłych światłem domów.
W wiersz.*

Potem, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy cenzura znacznie zelżała, zanim stała się już tylko niesławna pamiątką czasów zniewolenia, pojawiły się w dorobku Janka Leńczuka wiersze jednoznacznie pozwalające osadzić go w najlepszych tradycjach polskich Kresów, które wydały tylu twórców i nie pozwoliły, by pamięć o ziemi Mickiewicza i Słowackiego, Balińskiego i Wierzyńskiego zatarła się w świadomości narodowej.

Wywiad z Jubilatem — rozmawia Dawid Klepadło

• Przepraszam! przepraszam... Miejsce dla prasy. Ja tu na wywiad.... Maestro wybacz spóźnienie.

– Zaczynam się lękać Pana pytań. Zupełnie nie znam scenariusza spotkania i nie wiem, co ma się tu dzieć. Ale proszę stawiać pytania, może uda mi się na nie odpowiedzieć.

• Po co poezja?

– Może, by odnajdywać samego siebie. Może Adwent jest właściwszym czasem aby zrozumieć siebie i poezję, która z wnętrza wynika. Jest oczekiwaniem Światła Betlejemskiego i do tegoż światła wypełnionego tęsknotą adwentową podąża Poezja. Myślę, że Poezja jest wędrówką ku czemuś lub ku Komuś. Przyznam, że nie wszystko rozumiem, co się dzieje w poezji współczesnej. Czuję się staroświecko ale wierzę, że Państwo, a szczególnie młodzi pomogą mi zrozumieć i uwierzyć w słowo i w poezję. A może poezję należy rozpatrywać jako funkcję terapeutyczną. Poezja ma uzdrawiać, „prostować ścieżki...” Słowo poetyckie nie może kaleczyć.

• *Życie jest grą, w której nie ma zwycięzców i przegranych, które toczy się tylko sobie znanymi drogami* – tak napisał Pan w „Zapiskniku trzecim”. To optymistyczna refleksja, bo ktoś lubi czuć się przegranym... Zarazem jednak przed uznaniem tej myśli za moją powstrzymuje widok ludzi szukających chleba po śmietnikach, dzieci z rozbi-

tych rodzin... Proszę mnie przekonać o prawdziwości pańskich słów.

– Dziękuję Opatrzności za to, że w życiu spotkałem tylu wspa-
niałych ludzi. Powtarzałem to nieraz, że nie zasłużyłem na tyle dobra,
które od życia otrzymałem. Jeżeli życia szkoda - to szkoda opuszczać
tych dobrych ludzi, którzy mi w życiu pomogli. Myślę, że to wędro-
wanie jest o tyle ważne... Waldek (Staszcz, przyp. red.) przed chwilą
wspomniał tę salę, w której jesteśmy.... Pamiętam lata 70., kiedy urzą-
dzaliśmy tu najdziwniejsze spektakle, odważne jak na tamte czasy,
tęskniące za wolnością słowa - w stanie wojennym - buty żołnierskie
na klawiaturze pianina, telewizor okryty papierem toaletowym. Ja-
kieś historie poetyckie, zadziorne jak na stan wojenny i na nasze ga-
szone nadzieje przystało.

Rozumiem, że Pana język nie jest dziennikarski, wypełniony sensacyj-
nością, że zmierza Pan uczciwie w stronę metafory.

• Odkąd ukazał się pierwszy wiersz Jubilata, minęło trochę lat. Przy-
puszczam, że po drodze zmieniało się spojrzenie na rozumienie roli
poezji, jej istoty, albo może bywały chwile zwątpienia? Czy da się
pan namówić na odkrycie przed nami przemyśleń na ten temat?

– Nie wiem. To trudne pytanie. Dotyczy źródeł pisania, choć nig-
dy tego nie ukrywałem: dla mnie bardzo ważne jest dzieciństwo i to
pierwsze utulenie, które zostaje na całe życie. Noszone z czułością po-
zwala odważniej i w wewnętrznej zgodzie ze sobą samym, wędrować.
Rozstania są zawsze dramatyczne, ale patrząc na to inaczej, pozostaje
wiara, że powroty z Drugiego Brzegu będą możliwe. Kiedyś się spo-
tkamy raz jeszcze i będziemy się wzajemnie radować. Powracam do
dzieciństwa, do pierwszych zapachów i smaków, do ciepła, które za-
bieramy w „dorosłość”. Wspomnienia pozwalają scalać. Pan mnie py-
ta o spełnienie: nie stawiam granicy spełnienia, że mam do czegoś do-
trzeć, że mam otrzymać jakąś nagrodę. Bo gdybym nie dotarł do wy-
znaczonej granicy – czułbym się niespełniony i nieszczęśliwy. Jubile-
usze pozwalają spojrzeć za siebie, przystanąć, podumać nad jakimś
odcinkiem życia. Podczas jubileuszu mogę podziękować. Trudniej to
uczynić (czy to możliwe?), kiedy leży moja skorupa, z kadzidłami
słów, które dopieszczają martwotę zapakowaną do trumny. Wówczas
nie będę mógł zareagować (śmiech).

Jubileusze są jak rekolekcje odbywane ze sobą samym i objęte dogłęb-
ną tajemnicą wewnętrznego rachunku sumienia. Z jednej strony trzeba
by było się przyjrzeć, czy zanadto się nie nadałem. Nie opuszczają
mnie wątpliwości, na szczęście, do tego co robię.

- Wiersze Mistrza Jana należą do liryki refleksyjnej. Nie ma w nich błahych kwestii, jest wielowymiarowe życie, trudne, polskie życie. Czy bolą Pana własne wiersze?

– Ostatni wiersz napisałem jakieś pół roku temu i czuję się znakomicie bez „świergolenia poetyckiego”. Wiersze zawsze „bolą”, nawet kiedy ich „zwiewność” i „radosne wędrowanie na życiowe antypody” wydaje się beztroskim podążaniem.

- Skąd się biorą tytuły wierszy?

– One po prostu są. Nie wymyślam, one przychodzą niespodziewanie. Jak wersy, które uwierają i oczekują, aby ujrzeć światło dzienne; domagają się, aby je wyrzucić z siebie. I wtedy zamykam się w sobie i piszę...

- Oto dwie definicje poezji. Stanisław Barańczak: „Poezja powinna być nieufnością. Krytycyzmem. Demaskatorstwem. Powinna być tym wszystkim, aż do chwili, gdy z tej ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia, ostatni akt przemocy.” Marianna Bocian: „Poezja jest poznaniem, wyprzedzającym wszelkie inne formy poznania.” Którą uznałby Pan za najbliższą własnemu pojmowaniu twórczości poetyckiej?

– Zdecydowanie – Marianny Bocian, za Jej myślenie o Poezji i o Człowieku. Zapłaciła ogromną cenę. Komisariaty, przesłuchiwanie, cele więzienne i - Jej Norwidowskie przesłanie. Jej niezgoda na świat, a zarazem wielkie ukochanie tegoż świata (blok listów Marianny Bocian był opublikowany w EPEA nr 3 – przyp. red.).

- Kocha Pan Grodno, Wilno, rodaków, których tzw. historia pozbawiła ojczyzny. Więcej – pisze Poeta, że to w Wilnie uczył się polskości. Może zbyt odważnie to wypowiadam, ale proszę, trochę w imieniu mego pokolenia, byśmy mogli usłyszeć o tym, jak litewskie Wilno uczyło Jana Leńczuka polskości?

– To nieuleczalna miłość!

- Wkrótce Boże Narodzenie... Jak wyglądały święta w domu rodzinnym, w Łubnikach?

– To najbardziej tajemnicze święta. I nie do opisanie, ale czuję wciąż jako najpiękniejsze przeżycie. Zachowałem tamte smaki i zapa-

chy, a przede wszystkim ciepło dłoni rodziców i ciepło domu, wspólnotę stołu i dzieciństwa. Msza pasterska i odwiedziny cmentarza i grobów bliskich jednały nas szczególnie, w ciemnościach, często bez gwiazdy przewodniej.

- W „Zapiskach sołtysa” notował Pan: „Nie lubię tego wieczoru, tak jak nie lubię wszelkich podsumowań – nie mam powodów do radości z tego, co minęło; nie potrafię się cieszyć z przyszłości okrytej tajemnicą”. Czy i ten wieczór spotka podobny zapis?

– Był to opis „trudnych czasów”. Nie było jeszcze Basi – mojej żony, nie było moich synów, byli moi Rodzice... Nie lubię szaleństw sylwestrowych, nie jestem w stanie się cieszyć z nieznanych dni Nowego Roku, a za stary rok trzeba podziękować w pokorze, na kolacjach...

- Ogromnie dziękuję za rozmowę; to dla mnie wielki dzień.



Jan Leńczuk z uczestnikami spotkania /m.in. M. Czajkowskim i W. Smaszczem/ i wykonawcami programu artystycznego

Poza Ikarowym lotem

Zajrzyj świt w podniebienie
naszego znoju
a my schodzimy z mostu
w dół

szumiące jeszcze
zbierać Ikarowe pióra
napęcznie lotem
wolnego pejzażu

klecimy z desek godzin
klatkę
naszego trwania
w której zostanie
powietrze

„Kontrasty”, 1970 nr 11

Z wierszy najnowszych

XXX

wodo moja oddalona od źródła
szukasz w sobie błękitu odbicia
z ziemią złączonego

czasem liść dotknie z czułością
i wiatr sny rozpogodzi
obmyj wodo moje serce i stopy

niechaj wędrawaniu
nie zabraknie nadziei
aby raz jeszcze dojrzeć w kałuży
własne źrenice

XXX

szalały jeszcze sny
nie pętały już resztek nocy

popędziła w sobie tylko znanym kierunku
aby zakosztować życia
które nie zna goryczki

w miętach
lubczyku
i delikatnym majeranku
wskrzesza dom
po którym nic już nie zostało

nic to znaczy dotyk
który nie zna ciepła
i serdecznego pozdrowienia

bezdolny na ceracie stołu
ściera powierzchnię
wspomnień
aby raz jeszcze na krawędzi snu
usłyszeć ptaka
nawoływania

to tylko sen
powtarzają ręce nie dotykając skóry
zbyt dosłownej
aby zrozumieć noc

xxx

tyle słów wytoczyłem z żył

nie zawierały hemoglobiny
ani chlorofilu

stygły

xxx

wiele pytań pozostało bez odpowiedzi
zatrzasnęła je pycha
która nie znosi sprzeciwu
ani wątpliwości

przystaje u węzłowia
oczekując śmierci
jako jedyne rozwiązanie

nie odwraca się plecami
do wczorajszych zadziwień
nie poszukuje zagubionych dni
które zmieniły swój happy end
filmowym makijażem

pozostają jak zawsze
samotne
nawet wtedy kiedy śmierć
przytula

Aneta Rayzacher, „*Zapomniałem was
drzewa moje*” Rzecz o Janie Leończuku.

„Literacka Polska” 2002 nr 4

DOTYKANIA ZIEMI

Jeśli kto pragnie dotknąć ziemi, a nie bardzo wie, jak się do tego zabrać, proponuję dokonać tego za pośrednictwem Jana Leończuka. Poeta – wiadomo – bardziej ma wyczulone zmysły, także i zmysł dotyku. Nic więc dziwnego, że inaczej niż zwykły śmiertelnik odbiera białą kartkę papieru – do tego stopnia, że traktat o niej pisze. I właśnie w chwili, gdy owa kartka *zastygła w oczekiwaniu/ na ciepło ręki (...)* *niebo jakby uchylone na moment / dotknęło ziemi.*

Ale, wbrew tytułowi, tomik wyraża nie tylko dotykanie ziemi. Bowiem już za chwilę autor prosi, by dotknąć jego słów, to znowu *wiersz szuka ujęcia / aby dotknąć rany nowego dnia, wreszcie symbole wykute w kamieniach / dotykają umarłej Atlantydy / a kiedy żywi opuszczą bramę cmentarza / dotykają własnej twarzy.*

Poeta w wierszach bezlitośnie mnoży przykłady dotknięć, dotyków i dotykania. Czytelnika tomu „*Zapomniałem was drzewa moje*” żegna dziecko, które *nie może zdążyć / dotyka tylko cienia / śladów (...)* *a szuka kołyski lipowego snu / aby bez bólu wejść w sen / przywitania.*

CORAZ BLIŻEJ SNU

Jan Leończuk dotknąwszy, czego tylko dotknąć można, rok później jest już „Coraz bliżej snu”. Szczęśliwie nie oznacza to senności w potocznym rozumieniu, więc poeta nie tyle zasypia smacznie chrapiąc, co raczej podgląda noc w chwili, gdy ta – zupełnie nieświadoma tego podglądactwa – roztacza swe uroki. Właśnie wtedy *zebra domu / otulają sieroctwo*, a zdania *coraz częściej przystają / pytając o drogę*. Wtedy też, niczym nie skrępowane, rozmawiają pelargonie, wtedy – widząc *małą mrówkę dźwigającą brzemień świata / i kornika przywracającego wiarę w wieczność (...)* *dorasta się do miłości / tej najpierwszej.*

W wielu wierszach odczytać można fascynację poety ciszą. Być może dlatego, że *coraz ciszej przychodzą wiersze*, a może dlatego,

że życie jest *prowadzone bólem / i ciszą bezmową*. Nikt zaś nie chciałby przegapić ani nadejścia wiersza, ani tym bardziej życia.

Choć sen może być zbutwiały, zbyt długi, to jednak i do niego poeta kieruje modlitwę, by przybył motylem, wiosennym wiatrem, by przybył *na pokuszenie / życia*. Innym razem Leończuk *zaprzysiężniając się z własnym sercem szuka lipowego snu w malinowych nocach*. I nie musi długo szukać, bo oto – co rok, to prorok, można powiedzieć – rok 1999 obfituje w „Jeszcze jedno śnienie”. Być może tu właśnie jest odpowiedź, skąd tak wielkie zamięłowanie do snu – otóż poeta może (lub chce) *dojrzeć siebie / jeszcze raz wychodząc ze snu*.

ZAPOMNIAŁEM WAS DRZEWA MOJE

(...) Po jakże obszernym i zachwycającym dorobku Jana Leończuka, przeszło dwustu stronach wierszy dobrych i lepszych, przyszedł czas na sygnalizowany od początku tomik „Zapomniałem was drzewa moje”. Tytułem wstępu zaznaczę tylko, że każdy chciałby być tak zapomniany, jak owe drzewa przez Leończuka! Co to bowiem za zapomnienie, skoro tyle dla nich tęsknoty i wdzięczności! Ledwie pohamowałam łzę, co do oka cisnęła się przy czytaniu, jak to poeta pragnie *jeszcze jeden krąg zatoczyć / objąć skrzydłami / wody wtapiające się w leśne ostępy*. Skąd ta uczuciowość względem drzew? *Wszak za drzwiami lasu / umieranie i narodziny / kołyska i trumna*. Jeszcze raz powrócę do tytułu, a to w nawiązaniu do innego wiersza.

Otóż tytułowe „zapomnienie” tłumaczyć można jedynie „mściwością” poety. Innego wytłumaczenia znaleźć nie mogę, skoro zresztą sam poeta uskarża się *zapomniałeś o mnie lesie / i śpiew mój roztrwonileś / w igliwiu*. Nic więc dziwnego, że Leończuk chce mu odplacić tym samym. Poważniej jednak traktując, stosunki takie są jak najbardziej usprawiedliwione, uwzględniając zażyłość, w jakiej zdają się żyć poeta i jego las. Szczególnie, że kilka stron dalej sytuacja zostaje wyklarowana i las zwraca się z gorącą prośbą (*dotknij mojego cienia (...) dotknij / opuszkami marzeń*), na którą – w moim mniemaniu – Jan Leończuk odpowiada. Jeśli zaś komuś brak bezpośredniości w obcowaniu z przyrodą, proponuję „List do rzeki Narew”. Jestem pewna, że wielu listom miłosnym brak takiego wdzięku i szczerości, z jakimi poeta zwraca się do rzeki.

Czy ten króciutki bieg przez twórczość Jana Leończuka wystarczy na potwierdzenie jego wielkiego talentu?

Jeśli ktoś jeszcze się waha co do wielkości literki P, jakiej należy użyć mówiąc o tym Poeście, to z pewnością przekona go kilka wier-

szy z „Rękopisów”. W tomie „Zapomniałem was drzewa moje” nie brak dowodów na poetyckość duszy autora. Co więcej – to nie tylko dusza poety, ale wręcz nadprzyrodzony dar miłowania przyrody i silnego z nią poczucia tożsamości.

Naturalnie, utworów – tak wyśmienicie dobranych przez Teresę Zaniewską – nie można mierzyć jedną miarką, bowiem jest to twórczość całego życia – można więc co najwyżej charakteryzować poszczególne okresy wierszopisarstwa czy też próbować odnaleźć w nich podobieństwa. Tyle o wierszach, ale nie mogę się oprzeć pokusie, by nie wspomnieć o czymś jeszcze...

Mianowicie „Zapomniałem was drzewa moje” lubi się... od pierwszego wejrzenia, w czym niebanalny udział ma okładka. Otóż doskonale koresponduje ona z tytułem, wprowadza w nastrój dobrej poezji (dokładniej jej nie opiszę – takie rzeczy trzeba zobaczyć osobiście!).

Niedawno miałam okazję czytać „Zapiski sołtysa” autorstwa Jana Leończuka. Niewielu autorów może szczyścić się piórem tak lekkim i przystępnym dla czytelnika, jak Leończuk. Pisać o życiu sołtysa w taki sposób, by czytelnik (także ten „miastowy”) nie tylko był w stanie je sobie wyobrazić, ale i był nim pochłonięty bez reszty – to najprawdziwsza ze sztuk!

Przykro mi żegnać się z tak wszechstronnym talentem. Jeszcze raz tylko proszę – pamiętaj, drogi Czytelniku o drzewach, o których „zapomniał” Leończuk.

Dariusz A. Zeller, Ojczyzna w twórczości Jana Leończuka.

Praca napisana pod kier. prof. dr. hab. Bogusława Nowowiejskiego,
Wyższa Szkoła Dziennikarska im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie,
Warszawa 2003

(...) W literaturze, sztuce uprawianej przez Jana Leończuka, cenne jest to, że dochodzi w niej do głosu wiele równouprawnionych nurtów, że nie ma nurtu „jedynie słusznego”, uznanego, wyłączającego przez to inne drogi i inne poszukiwania. I że od początku do końca jest ona nastawiona na uwypuklenie znaczenia wartości „witalnych”, jak również niewystarczalność rozumu w sprawach dotyczących istnienia, ludzkiej egzystencji. A w każdym razie wywołuje namysł nad niewystarczalno-

ścią postawy biernego obserwatora w życiu.

Nie wdając się w szczegółowe opisy, stwierdzić należy, iż już od początku twórczości poeta miał świadomość, iż człowiekiem nie po prostu się jest, gdyż człowiekiem dopiero się stajemy. Proces ten, uwarunkowany wieloma czynnikami widać we wszelkiego typu kontekstach, przywołaniach i odniesieniach literackich. w jednym z następnych tomików pt. *Duszna Noc* (1981) poeta napisał:

*mówię do ciebie blizno
zapięta po ostatnie ścięgno
bólem zakwitasz w ogrodzie moim
choć sen osiadł ty śmiechem
drzysz po rosę ciała mówię*

*do ciebie ojczyzno
w śnie barwnym byłaś ptakiem
narodów
i lasy kwitną za bajecznymi górami
do ciebie słowa
kładę
zamiast chleba
solą języka*

witaj

Wiersze z tego zbioru powstały w trudnym czasie. Poeta jednak godzi tu po mistrzowsku otwartość, obrazotwórczość, a z drugiej strony odnośniki i metodę aluzji. Metodę skrywającą, niezbędną jednak w tamtych latach do publikacji posiadających głębszy, narodowy wymiar.

(...) Znamienny całej tematyce współodczuwania losów kraju jest też opis z *Zapiśnika drugiego* (2003):

Polsko moja, ze snów wyprowadzona, szukałem Ciebie na wirujących globusach, rysą Wisły rozpoławiającej twoje trwanie. (...) Szeleściłaś, Ojczyzno, dziwnym i tajemniczym językiem kielków i przedwieczera topniejącego w mroku, z nadziejami pacierzy słanych ku wyciszaniu zbyt gwałtownie przewracanych kart historii, w zapachach ziół kładzionych na grobach tych, którzy jednali się z tobą – na zawse, w nadziei na twoje nieustanne zmartwychwstanie.

/Z rozdz. I. *Polsko moja...*/

(...) Poeta, jednoznacznie nastawiony na bycie-w-świecie nie kreuje nowych światów. Podkreśla i określa miejsce tej ziemi. Opisuje Baranowicze, Łuckowlany, Olekszyce, Brzostowice Wielką i Małą, Nowogródek, Horodyszcze, Korobczyce, Augustówek, Poniemuń, Kołbasin i wiele innych miejscowości, których nazwy dziś już niewiele mówią nawet znawcom historii i antropologom. Można odnieść wrażenie ulotności, czy może przeobrażenia. Jednak to co dziś określamy mianem zapomnienia – w twórczości Leończuka jest od tegoż zapomnienia zachowane, wręcz nieśmiertelne. Dotyczy to i granic politycznych, i kulturowych, jak też narodowościowych.

W dużym zbliżeniu można też umiejscowić granicę ojczyzny „duchowej” poety. Jest nią obszar od Wilna, poprzez Grodno i Grodzieńszczyznę, aż po Lwów. Z tym, że i po jednej i po drugiej stronie owej granicy istnieją obszary bliższe historycznemu i kulturowemu pojęciu polskości, jak i te, które z dziedzictwa tego nie korzystają. Jan Leończuk pielęgnuje ponadczasowość tej ziemi nie metaforyką, czy nawet słowem, ale rozumem, który ją obejmuje i sercem, który zostawia przy każdym jej naznaczeniu. Który nie posiada – jak sam mówi – prawdy, całej prawdy demiurga, lecz za to z całym swym bagażem pielęgnowanych skwapliwie wartości, sacrum i profanum.

*Przejdiesz kilka dróg, dolinę ominiesz i wejdiesz
na wzgórze. Tam czekać będzie na ciebie pożar rąk
ofiarnych i kadź ze źródlaną wodą. Ofiarne ręce
spalą na tobie szaty i nagi wejdiesz w pieśń wody.
I spotkają się w tobie dwa żywioły.
Ogień i woda.*

z tomu *Żertwa*

/Z rozdz. II. *Echa ze Wschodu*/

Malowniczy i obrazotwórczy język poety zostaje dodatkowo wzbogacony nowymi elementami, pewną językową odrębnością. Nie jest wszakże sztuczny – Leończuk przecież całe swoje dotychczasowe życie spędził wśród tychże ludzi, więc jest on dla niego naturalnym sposobem opowiadania kultury pogranicza. Stąd też i wiele innych wersów ze zwrotami typu: *Boże wielikij, wiernisie, sztoraz hłybiej, Boh twój / iszcze zorki, nie ohledajsie na darohu (...)*

/Z rozdz. IV. *Dzie bieleje niebo!*

Patrząc na chociażby tylko opisany dorobek literacki Jana Leończuka, dostrzegamy w nim dwa światy: jeden widziany oczyma dziecka, dziecka szukającego oparcia i ratunku, oraz drugi – utrwalony w pamięci i zminiaturyzowany do wielkości niezbędnej, by utrwalić we wspomnieniach.

Aby jednak oddać pełny opis domu rodzinnego, stwierdzić należy, iż charakterystyczny, a może nawet wiodący w tymże aspekcie twórczości poety jest motyw rodziców. Zaakcentowałem go także w wyżej przytoczonych fragmentach. Jego wagę i znaczenie dla dorobku literackiego, a przede wszystkim czysto-życiowego i ogólnoczułowieckiego (wszak wszyscy mamy rodziców) Jana Leończuka nie sposób przecenić. Niech mottem do rozpoczęcia szczegółowych rozważań o ich relacji stanie się cytat z *Duszej Nocy*

matka ojciec dzieciństwo dom

dom ciepło szept

xxx błędząc w przeklętej nocy

/Z rozdz. IV. Matka ojciec dzieciństwo dom/

Wiesław Dąbrowski, Obraz świata w twórczości Jana Leończuka

Praca magisterska napisana pod kier. prof. dr hab. Elżbiety Feliksiak,
UwB Wydział Filologiczny, Białystok 2001

(...) Spróbujmy krótko zrekapitulować dotychczasowe analizy i wywody.

1. Kultura wsi, tematyka wiejska – przejawiające się w różnych warstwach znaczeniowych dominują w liryce poety z Łubnik. Dom, ziemia, wieś to główne motywy jego twórczości. Są odbiciem jego tożsamości i świadomości. Wiele wątków ulega mityzacji, w ten sposób poeta tworzy własną krainę, która jest dla niego swoistym azylem, miejscem ucieczki przed miastem, ludźmi i złem, które niesie świat zewnętrzny. Przeciwnym biegunem tego zewnętrznego zła jest wieś – przestrzeń intymna, niemalże sakralna. W niej usytuowana jest „kolebka dzieciństwa”, jako kolejna przystań w nieustannym poszukiwaniu spokoju. Ciągłym budowaniem tych opiekuńczych kręgów Leończuk chce przezwyciężyć egzystencjalny niepokój i ból – domi-

nanty jego poezji.

2. Kolejny ważny motyw twórcy *Zertwy* to niemal wszechobecna sfera sacrum, przejawiająca się w języku i tematyce. Wiele utworów bardzo wyraźnie wpisuje się w nurt poezji religijnej.

3. Oba motywy naczelne: wieś i tematyka religijna często splatają się w jedno poetyckie spektrum. Pośrednio determinuje ono proces kreowania „ja” lirycznego i styl wypowiedzi poetyckiej. Rezultatem jest charakterystyczny język, czerpiący z liturgii, pełen kolokwializmów kresowej gwary i białorutenizmów, bogaty w oryginalne autorskie zestawienia.

4. Począwszy od tomu *W drodze do Damaszku* (wyd. 1996 r.) widoczny jest przełom w twórczości poety. Ten tom stanowi pewną cezurę, dzieląc działalność literacką na dwa etapy. Pierwszy okres, od juvenaliów po tom *Zapisane*, charakteryzuje się gwałtowną ekspresją, jest wyrazem ekspansywnego „ja”, które podporządkowuje sobie całe otoczenie poetyckie. Język jest gęsto nasycony znaczeniami, wyczuwa się pośpiech i niecierpliwość w kreowaniu własnego uniwersum poetyckiego.

Okres drugi, następujący w latach dziewięćdziesiątych (dokładnej daty nie można określić, transformacja odczuwania świata była procesem rozciągniętym w czasie) obejmuje trzy tomy, wydane kolejno w latach 1996, 1997, 1998: *W drodze do Domu*, *Dotykanie ziemi*, *Coraz bliżej snu*. Można tu mówić o pewnej metamorfozie twórczości i myśli. Wiersze ostatnich lat są spokojniejsze, bardziej nastrojowe i refleksyjne. Słychać w nich ton zadumy egzystencjalnej. Lokalny koloryt poezji zakorzenionej w region kresowego Podlasia ustąpił tematyce bardziej uniwersalnej.

/Z: IV. Zakończenie/

**TADEUSZ
KARABOWICZ**
TADEJ KARABOWYCZ

Tadeusz Karabowicz - ur. 6 kwietnia 1959 r. w Sawinie na Chełmszczyźnie; mieszka w Holi.

Poeta ukraiński, tłumacz, krytyk literacki.

Wydał:

Zapatrzenia (1985, w języku polskim), *Wołohisf Zemli* (1986),
Bila Wohyniu (1990), *Kłyczu tebejak łastiwku* (1991),
Atlantyda (1989, 1993), *W pusteli nebo czome* (1995),
Szczo stoju za stinoju spomyńiw (1997),
Dwa łysty do noczi (1999), *Wybrani poezji* (2001),
Powrót (1998, w tłumaczeniu Jana Leończuka),
Już dzień się nachylił do czterech krańców świata (2004, dwuję-
zyczna: tłumaczenie Jan Leończuk);
ponadto tom przekładów z poezji ukraińskiej *Po tamtej stronie desz-
czu. Poezja ukraińska* (1998).

Wykłady uniwersyteckie i monografie:

Dziedzictwo kultury ukraińskiej (2001),
Portret ze skrzydłem archanioła. O poezji Ihora Kałyncia (2003),
Tożsamość Cerkwi ukraińskiej (2004).

TWOJE IMIĘ ZNA TYLKO WIATR...

Rozmowa z okazji 25-lecia pracy twórczej

Co znaczy dla Ciebie być poetą?

- Być poetą to znaczy być kimś, kto pisze wiersze, ale jest to odpowiedź jakby wymijająca, bo z podobnie postawionym pytaniem mieli kłopot najwięksi poeci w literaturach różnych epok. Stąd na to pytanie nigdy nie ma trafnej odpowiedzi i posiłkuje je odpowiedź pośrednia, w obliczu nagromadzonej wiedzy kolejna wypowiedź na ten temat jest *ad vocem*. Postawione tak pytanie stwarza problem natury formalnej, poezja istnieje w otoczeniu różnych dziedzin życia, stąd wywołuje zdziwienie deklaracja, że ktoś jest poetą. Przecież to nie jest zawód, a coś otrzymane od sił bliżej nam nie znanych. Zapisać słowo w jakąś formę literacką, w tym wypadku w wiersz, utwór poetycki nie jest sprawą prostą i wymaga wielkiej ofiary. Być poetą to także czuć się nim wewnętrznie, utożsamiać się z całą spuścizną literacką, uważać ją jakby za swoją własność. Solidaryzuję się z tym, co zostało napisane w różnych epokach literackich lub neguję utwory, które dla mnie nie noszą znamienia autentycznego przeżycia.

Czy w odniesieniu do siebie używasz określenia „bywam poetą” czy też „jestem poetą”?

- Już tak postawione pytanie ułatwia odpowiedź: i bywam, i jestem poetą. Poezja dana mi była we wczesnej młodości i nie została mi odebrana. Pisanie wierszy jest moim „towarzyszem życia”, ono upewnia mnie, że ciągle jeszcze nie napisałem ostatniego wiersza. Gdy „bywam poetą” to osobom słuchającym moich wierszy mówię: „Przeczytam mój najnowszy wiersz”. W obecnej fazie mojego życia, gdy wydaje mi się, że moimi wierszami nie zmieniam już świata, tak jak to było w młodości, staram się coś przekazać w twórczości z mojego doświadczenia, czasami sięgam do tekstów napisanych przed laty i odkrywam je na nowo.

Bywać poetą nie jest łatwo, to wielka odpowiedzialność wobec słowa i świata. Znamy z literatury przykłady jak trudno było „być poetą” w totalitarnych systemach XX w., jak trudno jest być poetą przełomu czasów, z których młode pokolenie wyłamuje się z ustalonej rzeczywistości i tworzy nową epokę.

Gdy „zacząłem bywać poetą”, czyli debiutowałem w prasie, wydałem pierwsze tomiki, zacząłem jeździć na biesiady i spotkania literackie,

odkryłem, że nie zmieniam świata, a wręcz przeciwnie: natrafiam na trudności, które „muszę” pokonywać. I to „muszę” zaczęło upewniać mnie, że niczego nie muszę. Że żyję w otoczeniu, które nie sprzyja twojemu określeniu „bywania poetą”. I ta sytuacja upewniła mnie w tym odwiecznym pytaniu bez odpowiedzi: „czy ja rzeczywiście jestem poetą” i co to znaczy wobec poezji istniejącej od niepamiętnych czasów.

Tworzysz w języku ukraińskim i nie tłumaczysz własnej poezji na język polski; robią to za Ciebie inni poeci. Dlaczego?

– Jestem poetą języka ukraińskiego, ogólniej mówiąc należę do arealu literatury ukraińskiej, większość swoich tomików wydałem po ukraińsku, moja twórczość wpisana jest w ukraińską mniejszość narodową w Polsce. Na obecnym etapie nie widzę dodatkowej potrzeby popularyzowania siebie poprzez własne tłumaczenia. Jeżeli moje ukraińskie wiersze podobały się tłumaczom, którzy parali się ich tłumaczeniem na język polski, jestem za to po prostu wdzięczny, bo przybliżali moją twórczość innym, a zwłaszcza dziękuję świetnemu poecie i tłumaczowi Janowi Leończukowi. Moje wiersze tłumaczono na język angielski, francuski i czeski, w Bukareszcie wyszedł duży wybór po rumuńsku, Irena Conti przetłumaczyła nawet mój jeden wiersz na język włoski. To jest świadectwo pewnej teorii o rodzinie literackiej, jest ona najczęściej zależna od koniunktury, tłumaczy się nazwiska sławne, ale są również inne drogi translatoryki. Szereg wybitnych osobistości z literatury ukraińskiej tłumaczyłem na język polski, niektóre nazwiska były przyswojone przeze mnie polskiej translatoryce literackiej po raz pierwszy.

Należy rozdzielić sprawę twórczości własnej i translatoryki. Nie jestem odosobnionym poetą, piszącym i tworzącym w języku innym niż ten, który jest większością. Można by podać wiele przykładów mówiących o tym, że różne są losy ziem etnicznych i mieszkających tam twórców słowa. Poeci serbołużyczcy, chociaż mieszkają u siebie, zdominowani są przez wpływy germańskie i faktycznie mogliby pisać już po niemiecku, a jednak ciągle tego nie robią. Sokrat Janowicz - pisarz białoruski, tworzy w rodzinnym języku, dużo pisze po polsku, ale nie stroni od propozycji translatorskich, i faktycznie jego utwory tłumaczyli wybitni literaci i tłumacze, od Wiktora Woroszyłskiego począwszy. Więc on też ciągle jest w areale literatury białoruskiej.

*Fascynuje Cię nie tylko poezja, organizujecie z żoną plenery malar-
skie, jarmarki sztuki ludowej, prowadzicie skansen w Holi, opiekujecie się XVIII – wieczną cerkwią. Czy uważasz te działania za dopełnienie Twojej twórczości?*

– Dotykasz problemu, który ja bym nazwał zadomowieniem w najbliższej okolicy, to jest moje społecznikostwo, które jest darem wrodzonym. Zawiera się ono w przesłaniu wyjścia szerzej ze swoimi pomysłami twórczymi niż tylko działania literackie, które uważam za wąską dziedzinę twórczości.

Hola, w której mieszkamy, ma starą proveniencję historyczną. Gdy mówisz o opiece nad cerkwią, to istotnie jest to ważny fragment naszego życia, bo obok skansenu, który organizowaliśmy społecznie z żoną na początku lat 90., widzieliśmy również tę starą zniszczoną cerkiew holeńską, świadectwo istnienia tutaj od 1945 r. parafii prawosławnej, a po 1956 r. filii rzadko odwiedzanej przez administratora. Różne są losy tego skrawka ziemi, na którym mieszkamy, i zapewne trzeba by opowiadać tylko o tym i byłaby to zupełnie inna rozmowa, bo o przeszłości. Natomiast prowadzenie skansenu wymaga działań promocyjnych, stąd organizowanie (1994-2004) plenerów malarskich — edycji zamkniętej, i jarmarków holeńskich — imprezy etnograficzno-folklorystycznej przy okazji dorocznego święta patronalnego parafii ku czci św. Antoniego Peczerskiego. Jest to fragment mojej małej ojczyzny, który dopełnia indywidualne działania twórcze i kreuje kontakty z ludźmi.

Odkrywam, że we mnie ścierają się dwie jakości: samotność - moja ulubiona „struktura” istnienia — i społeczny charakter mojego życia wynikający z dynamiki mojego na ogół romantycznego sposobu patrzenia na świat. Samotność daje możliwość wsłuchania się w siebie, a społecznikostwo odświeżność bycia z ludźmi, często wprowadzając chaos, bo zaczynają się krzyżować różne zachowania indywidualności twórczych, i stąd na przykład na naszych kreatywnych i ciekawych plenerach malarskich były „iskrzenia”, które później wspominaliśmy jako zabawne historie. Na jednym z nich aktor Wojciech Siemion recytował wiersze i upodobał sobie obraz Tadeusza Kuduka, który na domiar złego wypatrzyła jego znajoma z USA, która przyjechała z nim do Holi. Nie miała pieniędzy, więc pożyczyła od Siemiona... mało brakowało, a wracałaby do Patrynoz autobusami, bo jej pan Wojtek nie chciał zabrać samochodem - tak iskrzyło. Rozumiem, bo to są przypadłości kolekcjonerskie - a jak wiadomo Wojciech Siemion ma zbiór polskiego malarstwa współczesnego. Innym razem pan Marek Lesz-

czyński, artysta plastyk z Radzyna Podlaskiego odkrył, że w Holi są derkacze. Powstały nie tylko obrazy z derkaczami, ale wiersze, i oczywiście twój tomik o Holi „Zagroda z derkaczami” (1998) z piękną okładką projektu Marka Leszczyńskiego. Napisałem wiersze, w których derkacze siedzą na ramionach przydrożnych krzyży, co jest raczej inspiracją twórczą niż prawdą, bo te ptaki nisko trzymają się ziemi.

Jesteś pracownikiem uniwersyteckim i wykładowcą. Jaki wpływ na Twoją poetycką wrażliwość mają relacje ze studentami?

– Praca na uniwersytecie UMCS w Lublinie przyszła nieoczekiwanie i była to propozycja prof. dr hab. Michała Łesiowa, który w 1992 r. powołał Zakład Filologii Ukraińskiej, i zaproponował, bym wykładał przedmiot „Wiedza o kulturze Ukrainy”. Decyzja nie była łatwa i długo dojrzewała we mnie. Byłem wówczas związany z redakcją tygodnika „Nasze Słowo”, który wychodził po ukraińsku w Warszawie jako organ prasowy Związku Ukraińców w Polsce. Zaważyło to, że takiemu autorytetowi jak pan profesor Michał Łeśiów nie odmawia się, zwłaszcza, że w świetle naukowej praktyki akademickiej byłem tylko magistrem i nie byłem bezpośrednim uczniem profesora, bo nie ukończyłem studiów neofilologicznych.

Może poprzez to, że jestem poetą, swoją wiedzą ukrajinistyczną, dobrą znajomość języka ukraińskiego zawsze przekazywałem trochę inaczej. Nawet jeżeli prowadziłem przedmiot „Praktyczna nauka języka ukraińskiego”, to starałem się odwoływać do szerokiego spektrum zagadnień ukrajinistycznych. Przy wykładach z literatury często mówiłem o różnych związkach literackich Ukrainy, a zwłaszcza z Polską, bo okazuje się, że w przeszłości były one bogate, chociaż ciągle nieznana pozostaje np. epistolaria czołowych pisarzy ukraińskich i polskich przełomu XIX/XX w.

Dydaktyka jest trudną dziedziną, stąd odczuwam ciągle treść, każde zajęcie to są dla mnie takie małe wieczory autorskie, z nurtującym mnie pytaniem, jak zostaną dzisiaj ocenione przez studentów i czy to co powiem nie zbanalizuje tego wielkiego doświadczenia, jakie ma przed sobą język ukraiński, kultura czy literatura Ukrainy. A z drugiej strony mam szacunek do audytorium, bo przecież studenci to są ludzie w najpiękniejszym okresie życia, jest to czas ideałów, zmieniania świata, zachłyśnięcia się młodością.

Pomimo sporej odległości, jaka Cię dzieli od miejsca pracy, mieszkasz na wsi. Co daje Ci życie na wsi?

– Gdy otrzymałem propozycję pracy na uniwersytecie, na dobre mieszkałem już na wsi. To było zrealizowane pragnienie mojego życia, a skoro nie udało się wrócić w swoje strony rodzinne, wraz z żoną Alinką zdecydowaliśmy się zamieszkać w Holi. Propozycja pracy w Lublinie zmieniła moją optykę, bo raptem stałem się osobą, która pokonuje prawie siedemdziesiąt kilometrów znad granicy pod Włodawą do miejsca pracy w Lublinie. Nawet ktoś mi powiedział w rozmowie (inne było widzenie rzeczywistości w 1993 r.), że moje życie przypomina trochę warunki amerykańskie, gdzie ludzie dojeżdżają do pracy z odległych miejscowości. Dzisiaj już nikogo nie dziwi dojeżdżanie do pracy, wiele osób ze środowiska, które znam, mieszka w odległych uroczych zakątkach Lubelszczyzny, a pracuje w Lublinie.

Wychowany na wschodzie, nie wyobrażam sobie mieszkania gdzieś poza tą enklawą chełmsko-podlaską. To tutaj są moje korzenie, problemy, tajemnice, mój dom szeroko rozumiany, oczywiście — bo to są pejzaże widziane z okna, długie nocne spacery po lesie czy polach, tutaj napisałem wiersze kierowane tematycznie do ziemi, przyrody czy pór roku. Jesteśmy wspólnie z żoną otwarci na ludzi i lubimy, by w naszym domu bywali znajomi czy przyjaciele, gościliśmy poetów, malarzy, twórców kultury, polityków, bywali u nas wybitni działacze dyktanda ukraińskiego z Ukrainy. W moim życiu ważne jest zadowalanie się, nie wyobrażam sobie sytuacji, bym mieszkając tutaj nikogo nie znał, czy otrzymując list nie odpisał nań lub nie zareagował na telefony lub prośby o coś.

Jak godzisz zajęcia, znajdując czas na własną twórczość i pracę naukową, nie zaniedbując rodziny i przyjaciół?

– Myślę, że moje życie tak zostało zaplanowane, że składa się z wielu fragmentów i odcieni, zawartych w mijającym czasie. Ten czas to są godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata. Nie zatrważa mnie to, że czas przemija, szukam raczej siebie w kontekście tego co robię, czym zajmuję się, to jestem „ja” w każdej sekundzie istnienia. Natomiast dziwię się, skąd Tobie przyszło do głowy, że jestem idealną osobą, która godzi wszystkie zajęcia, nie zaniedbuje rodziny i przyjaciół. Byłoby to mylne i mój obraz nabrałby cech świętości, gdyby tak było.

Jestem skonstruowany z wielkich sprzeczności i lęków, moje życie składa się z intensywnej pracy i bezsennych nocy, w których wewnątrz rodzą się wiersze i listy wysyłane w różne strony świata, tutaj w Holi

napisałem dwie swoje sztuki sceniczne „Ostrów” i „Ostatnią Wieczere””. Życie na wsi jest obwarowane dodatkowymi zajęciami i pracą fizyczną, w pewnym sensie jest to wyzwanie rzucone dla mnie przez naturę. Tutaj pory roku są wyraziste, a dni inne niż gdzie indziej, nie potrafię skonkretyzować czy to jest dar, czy może tak mi się tylko wydaje.

Co jest dla Ciebie najważniejsze w poezji?

– Najważniejsza w poezji jest prawda. Lecz by ta odpowiedź nie była zbyt prosta czy lakoniczna, trzeba by powiedzieć coś jeszcze, i tutaj zaczynają się schody. Bo czy najważniejsze w poezji jest to, że ktoś został nagrodzony za wiersze Nagrodą Nobla i stał się sławny na cały świat. Czy to, że napisał wiersz, który stał się hymnem narodowym i pokolenia porywa ku miłości do ojczyzny. Czy może najważniejszym jest to, że młody chłopak o imieniu Adam zakochuje się w dziewczynie i pisze dla niej najpiękniejsze wiersze i ona jest później Marylą w literaturze polskiej. A może to jest najważniejsze w poezji, że w jakiejś wiosce był poeta, który pasł krowy i wymyślił wiersz swojego życia, który trwa pieśnią ludową i być może jest to jedyny autentyczny epos tego plemienia czy narodu.

Dotykasz w tym pytaniu czegoś, co pozostaje bez odpowiedzi i jednocześnie odwołuje się do przeszłości. Można mówić: najważniejsze są wiersze miłosne, bo one posilkują trwanie rodzaju ludzkiego, nie jako instynktu, a jako źródła życia; najważniejsze są wiersze patriotyczne, bo one pozwoliły przetrwać narodom w ich istnieniu. Myślę, że poezja nie odpowiada jednoznacznie na stawiane pytania, jej funkcja jest ponadmerytoryczna.

Co prowadzi Cię w Twoich działaniach?

– Moim życiowym powiernikiem jest wiara, ona prowadzi mnie przez życie. Wydaje mi się, że zewnętrzne formy wiary, takie jak liturgia, obrzędy religijne, jak też jej wewnętrzna sfera, tajemnica sakramentów świętych dawały mi impuls, bym kierował się głosem sumienia w moich działaniach. Istniejąc w cieniu wiary, patrząc na sylwetkę cerkwi w Holi, która przypomina arkę na wzburzonych falach potopu przemijania, bardziej czuję się wezwany do obrzędu mówienia modlitw i pisania wierszy. Mam swoje ulubione, inspirujące mnie do twórczości miejsca na Podlasiu; taką warownią ducha jest klasztor w Jabłecznej czy droga do Kaniuk z rozległą doliną Narwi, gdzie pejzaż jest dla mnie szerzej rozumianą świątynią stworzoną przez Boga. W

mojej poezji wiele miejsca zajmuje Chełmska Bogurodzica jako obiekt kultu i uwielbienia.

Czy masz jakieś literackie marzenie, coś, do czego dążysz, czego nie udało Ci się zrealizować?

– Marzenia łączę z elementem tajemnicy, a jednocześnie prośbą wewnętrzną o otrzymanie łaski słowa, które zaokrągli się w wiersz. Moje marzenia mają coś wspólnego z fantastyką, stąd pozarealny świat gości w nich częściej niż wyobrażenia czegoś, do czego bym dążył, a czego nie udało mi się zrealizować. Prosty przykład: nigdy nie marzę o konkretach materialnych, daleki jestem również od świadomości posiadania czegokolwiek. Ten stan nazwałbym sakralnym i profannym. Profanność to bogactwo różnego rodzaju struktur już stworzonych przez cywilizację, z których korzystam, stan sakralny to są marzenia. Najbardziej trafnie określiła to w wierszu Marianna Bocian w tomie „Ciągła odsłona” (2003):

W człowieku żyje coś, co nie tylko z Ziemi pochodzi. / Nauczycielu moich przedwieczornych lat, / znamy już drogę do świetlistych źródeł, / Nie śpieszmy się! — Jeszcze mi zagraj / na harfie słońca pieśń wrastającego losu, / odsłaniającą świetlisty wdzięk i urodę ziemskiego bytowania. / Na ziemi mojego gniazdowania (...)

Dziękuję za rozmowę.

*Rozmawiała: Lidia Irena Węglarz
poetka*



30-lecie debiutu poetyckiego

WIESŁAW SZYMAŃSKI

Urodził się w 1957 r. w Białymstoku. Ukończył studia polonistyczne na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku.

Debiutował jako poeta na antenie Rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku jesienią 1975 r. Debiut prasowy – w „ITD. Tygodniku Studentkim” w 1978 r. Od 1980 roku Wiesław Szymański pracuje w Polskim Radiu Białystok, jest dziennikarzem Redakcji Programów Artystycznych.

Wiesław Szymański pisze wiersze, dramaty i słuchowiska radiowe. Wiersze publikował na łamach takich pism, jak „Poezja”, „Nowy Wyraz”, „Kierunki”, „Słowo Powszechne”, a także w licznych antologiach poetyckich. Wiersze Wiesława Szymańskiego drukowane też były za granicą – między innymi w Stanach Zjednoczonych, Francji, na Litwie i Białorusi, a w przekładach także na Ukrainie, w Czechach, Jugosławii, w Rosji, we Włoszech i Belgii.

W 1996 r. brał udział w organizowanym w Krakowie Międzynarodowym Seminarium „Pisać dla teatru”.

W listopadzie 1997 - na scenie Teatru Szkolnego Akademii Teatralnej w Białymstoku odbyła się premiera jego sztuki. W 1998 r., w organizowanym w Szczecinie Ogólnopolskim Konkursie na Słuchowisko Radiowe pod hasłem „Nad Odrą i Bałtykiem” – za słuchowisko pod tytułem „I po balu” Wiesław Szymański otrzymał III nagrodę, a dwa lata później – na IV Ogólnopolskim Konkursie Literackim imienia Stanisława Grochowiaka w Lesznie – wyróżnienie za słuchowisko pt. „Grzechowisko”.

Wiesław Szymański wydał następujące książki:

- Witraż wileński - 1994
- Icones barbarae - 1994
- Rymy pluralisty. Wiersze satyryczne - 1994
- Dedykacje - 1995
- Podróż na Wschód - 1996
- Dzień nie odchodzi, noc nie chce przyjść - 1997
- Wiersze nowe - 1998
- Limeryki - 2000
- I po balu. Słuchowiska radiowe - 2000
- Niska 13 B - 2001
- Wiersze - 2003
- Mam do powiedzenia. Wybór felietonów radiowych - 2005

Z cyklu „Zmilczenia”

nad pojemnikiem na sól

w lipowym pojemniku przy kuchni
zabrakło soli

wysyłasz mnie
do sklepu na rogu

w srebrnej cukiernicy
od Zdzichów

zaniedbanej przez lata
jak nasze serca

łyżeczka skrobie o dno -
biegnę na róg

dokąd mnie wyślesz
gdy w pudełku

czterech ścian
zabraknie miłości

do jakiego sklepiu
na którym rogu

nad świecą

opuszkami zmęczonych palców
sprawdzamy temperaturę
kwadratowej świecy
o czterech knotach
każdy o innym zapachu

złączonych w jedno
bryłą żółtego wosku
jak cztery strony świata
bryłą ziemi

wierzchem dłoni
badamy odporność skóry
na deszcz
płonących kropel
każda o innej temperaturze

idąc w zakłady – czyja skóra
zaczerwieni się najszybciej
a na której wyrośnie
najpiękniejsza róża oparzeliska

w oceanach czerwonego wina
floty wytartych kart
pod flagą przyjaźni
toczą nikomu niepotrzebne wojny
a my – ich wodzowie –
kolejny wieczór
tracimy
na naprawianiu świata
a nie nas samych
i samotnych
bardziej niż
cztery knoty
zapachowej świecy
na kuchennym stole Marzeny

nad kartką papieru z pieczętką

nie kręcić głową
nie nosić ciężarów
nie wykonywać gwałtownych ruchów
jeszcze nie wybuchły
ale płoną
wulkany w oceanach oczu Joasi

mogłem je rozpalić
do takiego ciśnienia lawy
przez dopiero trzydzieści lat
bez dwóch - dla ścisłości ?

mogłem ?

nie podnosić rąk do góry
nie zadzierać głowy
nie przeczyć za często
ani potakiwać

żrenice mojego szczęścia
szantażują mnie dziś
groźbą
erupcji

Jak mam je ostudzić? –

w moich źrenicach
na wargach
i na palcach
nie mam ani jednej
łyzy lodu

nie nauczyłem się -
nie wiem
co znaczy być
zimnym

Nagana

opowiadanie z czasów minionych

Nowicki siedział pod drzwiami sali konferencyjnej obojętny, zrezygnowany, gotowy na najgorsze. Palił kolejnego papierosa, gapiąc się przez okno na szarą ścianę domu naprzeciwko. Spod tynku przebijały jakieś propagandowe, a może tylko reklamowe malowidła. Coś z serem, mlekiem i twarogiem.

– Kiedy to było – pomyślał. Wstał, podszedł do okna. Dzień był byle jaki. Szary, dżdżysty, jakby wszystkie odcienie smutku zlały się na to maleńkie miasteczko. Na szarej ścianie, dokładnie piętro niżej pod serami i mlekiem dostrzegł inne napisy i malunki, też w wersji szczątkowej, odsłonięte przez odpadające płyty zniszczonego tynku. „Jedni malują sery, inni książeczki PKO... Co kilka lat ściany nabierają rumieńców, by przez następne szarzeć, tracąc szybciej sens niż kolor. Zupełnie jak człowiek... Ile takich remontów trzeba w życiu przejść? Cholera wie! Ile obrazów i napisów nosić... ilu się przez to życie głupich malarzy przewinie?” Zdusił niedopałek w popielniczkę, których w tym przestronnym niczym aleja korytarzu nie brakowało i ruszył na małą przechadzkę. Co innego mógł robić dobrowolny więzien łysawych głów patrzących z wyrozumiałością ze ścian?

Przyglądał im się bez szczególnego powodu i celu. Tu się uśmiechnął. Pamiętał tego Franka. Mówili o nim „druhu sekretarzu”. Harcerz był, razem jeździli na obozy. Nowicki uczył się wtedy wszystkiego – okopywania namiotów, urządzania kuchni polowej, wartowania. Druh sekretarz najlepszy był w podchodach. Jego drużyny nikt nigdy nie pokonał. Coś w tym było. Karierę Franek zrobił szybko i co najważniejsze młodo. Złośliwcy żartowali, że to doświadczenie zdobyte w podchodach przydało mu się, ale kto by tam wierzył plotce...

Rząd głów, równo, równiutko, żadna wyżej, żadna niżej. Aż do końca korytarza. „Byli, są, pozostaną w pamięci. Czy dla wszystkich... Czy wszyscy... Kto to wie?”

Nowicki przechadzał się miarowym, wolnym krokiem. Chodnik był pluszowy, w duże ładne wzory, coś jakby palmy... Ginał za zakrętem. W pewnej chwili zatrzymał się.

W równiutkim rzędzie mniej lub bardziej wylisiałych głów była luka. Po prostu dziura. Puste miejsce! Nawet ściana miała tam inny, bardziej świeży kolor. „Kto tu wisiał?”

– Towarzyszu Nowicki – usłyszał z tyłu – macie to wyjaśnienie?

– Naturalnie – wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcz złożony we czworo arkusik. Po chwili postawny, niemłody już mężczyzna z jasnym wąsem rozkładał go bez pośpiechu. Trzepnął w kartkę końcami palców:

– Niewiele tego. Sądziecie, że to wystarczy?

– Nie mam nic więcej do napisania – odparł Nowicki, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale mężczyzna rzuciwszy krótkie: Zaczekajcie – zamknął bezszelestnie solidne dębowe drzwi.

Nowicki usiadł, zapalił kolejnego papierosa. Ile mógł już czekać – nie wiedział. Może 10 minut, może pół godziny. Inny na jego miejscu stałby z uchem przy dziurce od klucza, gryząc paznokcie, pocąc się od czoła do pięt. On nie. Był opanowany. To przychodzi z wiekiem. No i z każdą taką historią. Doświadczenie robi swoje. Nie był tu ani razu. Może dlatego ten gmach wywarł na nim tak dziwne wrażenie. Podziw dla czystości i porządku, a z drugiej strony uczucie pustki, niczym w ruinach średniowiecznego zamku. Chociaż, trzeba to powiedzieć otwarcie – kilkakrotnie był tu już zapraszany. Ale zawsze jakoś się tam skończyło. Ot, choćby wtedy, gdy wyprosił gości ze szkolnej świetlicy.

Dzieciaki skończyły lekcje, czekały na autobus, odrabiały zadania domowe, dojadły w strachu przed matką kanapki, niektóre nawet drzemały. W piecu było napalone, tu nikt nie czuł ostrego mrozu za oknem. Wtedy weszli ci trzej, z czarnymi aktówkami w rękach wcale niezmarzniętych, a z nimi sekretarz gminy – Komornicki.

– Nowicki, proszę spowodować, by dzieci opuściły świetlicę. Za kwadrans odbędzie się tutaj zebranie wiejskiej organizacji partyjnej. Proszę się przenieść gdzie indziej.

– A gdzie? W klasach jest już zimno. W piecach palimy tylko do zakończenia lekcji. A na dworze sami byliście. Przecież tam ich nie wygonię. Zresztą zaraz przyjedzie autobus – jeszcze najwyżej pół godziny...

– Ale my nie mamy czasu. Towarzysze z województwa śpieszą się do domu. My jesteśmy dziś ostatni...

– To niech jutro przyjadą do nas na początku. Będzie i miejsce, i cieplej niż teraz...

– Wy mi tu Nowicki nie mędrkujcie! Proszę opuścić świetlicę! Daje panu pięć minut!

A jednak wtedy nie ustąpił. Czekali, aż przyjechał autobus. Potem zebranie się odbyło. Krótkie, bo krótkie, ale było. A dzieci na mrozie nie stały. I żadne z nich nie wiedziało, że dwa dni później musiał się tłumaczyć w gminie. Bo i po co miały wiedzieć? A że się wytłumaczył – to jego sprawa. To było takie jego małe zwycięstwo. Na koniec to już go wcale nie straszyla, a Komornicki mówił nawet coś, że takich ludzi, jak on, potrzebują, że przydałby się. Powiedział, że się zastanowi.

Teraz też się zastanawiał, co tu właściwie robi i czego od niego chcą. Już go znudziły historyczne malowidła na ścianach naprzeciwko, galerię łysawych głów obejrzał trzykrotnie...

„Zaraz... zaraz... jeszcze parę minut. Spokojnie...” – uspokajał sam siebie. Dziwne, ale przez ten czas nikt nie przechodził tym korytarzem, nikt się nawet nie pokazał. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Przedstawienie miało się rozpocząć za trzy godziny. Teatr przyjedzie jak zwykle na godzinę przed spektaklem. A tu jeszcze nic niegotowe. Barbara – żona Nowickiego i jego prawa ręka w domu kultury, skończy zajęcia w kółku plastycznym o trzeciej. Mało czasu... bardzo mało... Sam w dwie godziny nic nie zrobi... Nie ma mowy.

A jak długo przyjdzie tu jeszcze posiedzieć... lichy wie. A tak bardzo starał się o ten teatr. Jeździł do województwa, pisał papiery, prosił, obiecywał nawet to i owo... Co pomogło - nie wie, najważniejsze, że przysłali telegram „Przedstawienie STOP środa STOP godzina 17 STOP zapewnić STOP warunki STOP teatr miejski STOP dyrektor nowikowski”. Plakaty informujące o przedstawieniu malowały dzieci na zajęciach kółka plastycznego, dekoracje zrobił malarz-amator Pusty, ale trzeba by jeszcze to wszystko w porę ustawić... Barbara sama tego nie zrobi... A jeśli zrobi, to jeszcze coś nie tak... i będzie jak ostatnio.

– Witam towarzysza Nowickiego – rzucił od progu Królikowski, sekretarz gminny, który przyszedł po Komornickim, gdy ten, pośliznąwszy się na własnym domku z ogródkiem wybudowanym w

pół roku przez brygadę Urzędu Miasta i Gminy za gminne po części pieniądze, musiał przejść do równie odpowiedzialnej pracy – jak tam sprawy?

– Jakoś leci – odpowiedział wtedy niedbale, nie zapraszając gestem nawet bliżej. Królikowski wcale się tym nie przejął. Rozsiadł się wygodnie w jedynym miękkim fotelu, położył teczkę na kolanach, uśmiechnął się tym znanym i jakże charakterystycznym uśmiechem człowieka pewnego siebie – zapalicie? Wyjął z kieszeni paczkę carmenów, zapalił, zaciągnął się.

– Widzicie Nowicki, jest sprawa... Musimy zebrać w trybie pilnym plenum Gminnego Komitetu Partii... Jest powód, ale wy nie musicie o tym wiedzieć. Najpóźniej do soboty... Trzeba przedyskutować pewne ważne dla nas i dla was, tak, tak... dla was, dla środowiska również. Czas nagli... Co dziś mamy? Wtorek, tak? A zatem albo jutro, albo w piątek? Co wy na to?

– A co ja mam do tego?

– No, jak to co? Pytacie, jakbyście tu od wczoraj robotę zaczęli. Salę trzeba przygotować. Ustawić stoły, krzesła. Uzgodniłszy z Makowskim, wiecie, tym ze szkoły, że przywiezie traktorem trochę ławek i krzeseł. Ale najważniejsze wasze zadanie, to dekoracje... wiecie, no... tej ścianę za prezydium. Musi być coś oryginalnego, ale naszego... I żeby był jakiś akcent nasz własny. Rozumiecie? No, lokalny, taki tutejszy...

– Nie bardzo. Jest przecież w szkole Borecki, nauczyciel plastycznego. Niech zrobi. Ja się na tym nie znam.

– Wy może nie, ale wasza żona, Barbara, potrafi... prawda? Pamiętajcie dekoracje na lipcowe święto? Bomba, no! Teraz też dacie sobie radę.

Wstał, zdusił niedopalek w popielniczkę, przytulił się do czarnej aktówki. – Najpóźniej na piątek rano musi być gotowe. Plenum zacznie się o dziesiątej... no a ja wpadnę we czwartek... powiedzmy o ósmej. Stoi? Dobra. Aha, słuchajcie, zróbcie to porządnie, bo towarzysze z województwa przyjadą. No to cześć.

Baśka nie dała się namówić. Owszem, obiecała pomóc, ale wszystkiego na głowę brać nie chciała. Siedzieli oboje długo w nocy, rysując, pisząc, kreśląc, bazgrząc... Jakoś nie bardzo szło, nawet przy butelce czerwonego wina, która została jeszcze z urodzin

zony. Było już chyba po pierwszej. Mietek miał wszystkiego dość, chciało mu się spać. Następnego dnia czekały go eliminacje konkursu krasomówczego, miało przyjechać prawie czterdzieści osób, cały dzień biegania, a tu ten... - No chodź tu... zobacz, chyba może być... Było dobrze, prosto, jasno, a przy tym oryginalnie... żadnych posagów i popiersi, szeroka szarfa spływała od czoła orla w dół zahaczając o herb miasteczka, a obok duże litery „PZPR przewodnią siłą narodu”.

– Sama to wydumałaś? – zapytał całując w małeńki pieprzyk na lewym policzku, który był ozdoba jasnej i pogodnej, a przy tym pociągającej twarzy Barbary – czy od kogoś ściągnęłaś?

– Nie podoba się wam towarzyszu Nowicki? – odparła naśladując głos Królikowskiego – macie jakoweś pryncypialne obiekcje?

Parsknęli śmiechem, zgasili lampę, zegar wybił drugą. „Jak to dobrze, że choć na moment można o wszystkim zapomnieć” – pomyślał wtedy odnajdując dłonią jej małe, jędrne piersi.

Królikowski przyszedł nawet wcześniej. Kręcił się przed domem kultury z dobry kwadrans. Zaglądał przez okno, spacerował niecierpliwie w tę i z powrotem, odpowiadając na ukłony spieszących do pracy ludzi, którzy zadawali sobie w duchu pytanie: Odchamić się przyszedł, czy co? Ale dlaczego tak wcześniej?

– Ile można czekać? – powitał Nowickiego z pretensją w głosie – stoję tu i stoję, jak ten słup soli.

– Mój zegarek wskazuje za trzy minuty ósmą – odpowiedział Mietek spokojnie – czyżby wasz spieszył się aż tyle?

– Dobra, dobra, otwierajcie.

Wszystko było w porządku. Szarfa, na szczęście wyprana, herb odkurzony, litery duże, styropianowe, na listewkach.

Królikowski był cały szczęśliwy. – Ładnie, bardzo ładnie, Nowicki. Tak to sobie właśnie wyobrażałem. Bardzo dobrze. I co? – można, jak się chce? Zapalicie?

Carmeny nie smakowały wtedy Nowickiemu. Był głodny. Zaspał. Ledwo zdążył przed ósmą. Królikowski nie mógł ukryć swego zadowolenia. Żartował nawet, że gdyby plenum poszło tak, jak ta robota Nowickiemu, to można by to jakoś „zauważyć”.

– A może byście wpadli dzisiaj do mnie, do Komitetu? Pogadamy sobie. Na kawę zapraszam... co? Jakoś stronicie od nas, Nowicki.

Dlaczego? Co wy z innej gliny jesteście? Chyba nie. To jak, zajdziecie? Naczelnik coś mi wspominał o waszych planach. Że zespół chcecie założyć, że telewizor kolorowy kupić... Może dałoby się coś zrobić. Przyjdźcie, pogadamy przy kawie o tym wszystkim. Nic nie obiecuję, ale pogadać zawsze można...

– Nie wiem... może... Obiecałem dziś żonie spacer. Trzeba się trochę przewietrzyć. Ciągłe te zeszyty, zeszyty, w domu duszno, to i głowa boli.

– Jaki problem? Przyjdźcie z żoną? Pogadamy przy okazji o szkole. No to jak?

– Zobaczymy...

Królikowski był wyraźnie zadowolony. Skończył wędrowkę między ustawionymi stołami, tu i ówdzie poprawił krzesła, tam znów przestawił popielniczkę. Jeszcze raz spojrzął na dekoracje, uśmiechnął się.

– O dziewiątej przywiozą wodę mineralną i jabłka. Trzeba to będzie jakoś rozstawić. Zrobicie?

– Żona zaraz będzie, to robi. Chociaż w obowiązki nie ma tego wpisanego. I nikt jej za to grosza nie da.

– Na żarty wam się od rana zebrało, Nowicki. Dobra, o tym też przy tej kawie pogadamy. Muszę już lecieć...

Zatrzymał się jednak przy drzwiach, podrapał w brodę i jakby z lekkim zażenowaniem zapytał: – Wy, Nowicki, jesteście z wykształcenia chyba polonistą, tak?

– Zgadza się. Ale co to ma do rzeczy?

– Trochę ma... Ale to już jakby prywatna sprawa. Właściwie moja prośba. Nawet nie bardzo mam odwagę prosić was o to...

– Śmiało. Nie ma tego złego, czego byś nie zrobił dla bliźniego swego – zaśmiał się Nowicki.

– Nie moglibyście sprawdzić referatu? Błędów tam być nie powinno, ale może jakieś stylistyczne rzeczy, przejęzyczenia. Wiecie, jak się pisze o takich ważnych sprawach, to człowiek czasem o tej gramatyce zapomina. Treść jest tu ważniejsza od formy. Ale rozumiecie, będą towarzysze z województwa. Nie chciałbym, żeby coś tam się znalazło...

– Nie ma sprawy. Dajcie. Dużo tego? – Nowicki był zaskoczony prośbą.

– Trzydzieści stron, rękopisu... maszynistka zachorowała, nie przepisałem. Ale chyba przeczytacie? – Królikowski jak wystraszony uczeń podsunął Nowickiemu pod nos grubą, białą teczkę ze starannie zawiązaną wstążeczką. Ten wydostał kilka pierwszych kartek papieru, przeleciał wzrokiem. – W porządku. Wieczorem przyniosę z powrotem.

Królikowski posłał mu błogi uśmiech wdzięczności, pożegnał się i wybiegł zostawiając niezamknięte drzwi.

Po chwili pojawiła się w nich Barbara. Rzuciła okiem na salę, pomijając jakby wzrokiem dekorację, na stoły, krzesła.

– No nieźle. Może być. Tylko, dlaczego tak mu się spieszyło? Przecież dziś dopiero czwartek?

– No właśnie. A ja mam na dodatek jeszcze ten konkurs.

– To będziesz miał niezłą dekorację – zaśmiała się Barbara.

– Ładny konkurs krasomówczy, co? A może przedstawmy te imprezy? Jak myślisz, chyba dużej różnicy nie będzie – odparsknął Mietek.

– Na szczęście twoje dzieciaki mówić będą o przyrodzie, o lesie, kwiatach, strumieniach i rzekach, o naturze, o poezji, o pięknie...

– rozmarzyła się Barbara.

– Przestań, nie ma co żartować. A tak w ogóle, to mamy dziś zaproszenie do niego na kawę. W zamian dał mi to – Nowicki rzucił w jej stronę teczkę z przemówieniem Królikowskiego.

– Co to jest?

– To, co najważniejsze. Kto, dla kogo, po co? No i co z tego będzie. Jest to dokument wagi prawie państwowej, a na pewno gminnej, ściśle tajny, za ujawnienie grozi kara banicji do sąsiedniej gminy...

– Zgłupiałeś, czy co? – Barbara przerzuciła kilka kartek, usiadła na krześle – Jezu, jakie to ładne!

– Zostaw, poprawki zrobię przy obiedzie, no a potem chyba skorzystamy z tego zaproszenia. A teraz do roboty.

Byli wtedy na kawie u Królikowskiego. Nowicki oddał poprawiony rękopis. Napracował się trochę, to fakt, – ale nie mógł przecież nie pochwalić stylu, koncepcji, no i przede wszystkim głównego przesłania całego wystąpienia. Królikowski był zachwycony. Częstował papierosami, nie wiadomo skąd na stoliku pojawił

się koniak. Rozmowa zeszła na sprawy kultury, kłopotów Barbary i Mietka, ogólnej sytuacji gminy. Zacierał ręce, obiecywał większe zainteresowanie, ba – bąknął coś nawet o pieniądzach na zespół muzyczny. Barbara patrzyła to na męża, to na Królikowskiego, nie wiedząc, o co chodzi. Mietek był lepszy, rozgadał się na dobre, mówił o ciasnocie, braku wyposażenia, o ciągłych obietnicach. Był bezpośredni, potrafił odpowiednie słówko posłać w ten właściwy zakątek umysłu Królikowskiego. Ten zaś po godzinie gotów był ich ucałować i pobłogosławić.

I byłby to uczynił, gdyby nie telefon, który raptem się rozdzwoił. Gdy odłożył słuchawkę, powiedział tylko zdawkowo: – Dziękuję, żeście przyszli, to dobrze, że macie do nas zaufanie i że chcecie podzielić się swoimi kłopotami. Obiecuję, że wasze propozycje zostaną przedłożone na forum plenum gminnego. Być może da się coś załatwić. No i dziękuję za te poprawki. Jakoś się policzymy.

I wyszedł! Po prostu wyszedł do przedpokoju zostawiając ich samym sobie.

– I co ty o tym sądzisz? – zapytała Barbara, gdy wiatr ostudził nieco ich twarze i głowy – tak nas raptem polubił? Tak mu zależy?

– Nie wiem. Ja tam im nigdy nie wierzę; nawet, gdy stawiają koniak. A swoją drogą dziwny jest ten Królikowski. Chimeryczny, jak stara ciota... Ciekawe, kto to dzwonił?

– Może ktoś, kto widział, jak do niego wchodzimy?

– Nie sądzę, żeby go tak pilnowali. Zresztą, co to nas obchodzi. Ważne, że się odbył konkurs. A jutro – to już ich sprawa. Myśmy swoje zrobili...

– My cały czas robimy swoje. Niekiedy aż za dużo. I co z tego mamy? Powiedz, tak uczciwie – co my z tego wszystkiego mamy? Wynajęty pokój... książeczkę mieszkaniową z perspektywą roku 2000... Tych parę mebli, książek... Mietek, nie tak to sobie wyobrażałam... naprawdę. Wiesz, czasami mam tego dość. Akademia, konkurs, plenum, wieczornica... A co dla nas? Jak długo tak jeszcze? Powiedz, jak długo jeszcze będziemy tak lecieć na każde zawołanie?

– Nie wiem. Nie pytaj.

Zatrzymali się pod ogromnym kasztanem. Spojrzeli w milczeniu

na siebie i pocałowali...

– Towarzyszu Nowicki – tubalny głos odbijał się echem od ścian korytarza – co z wami? Już trzeci raz was wołam, śpicie, czy co?

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Proszę, wejdźcie – niski, spuchnięty mężczyzna puścił go przodem. Sala była pusta. Długi stół, krzesła, portrety, dyplomy, popiersia. „Ładnie – pomyślał Nowicki – gustownie. Ciekawe, czy już skończyli... Skąd ja go znam? – wpatrywał się w niego wysoki mężczyzna w granatowym garniturze – gdzie ja go spotkałem?...”

– Uznaliśmy, że napisane przez towarzysza wyjaśnienie jest zbyt mało mówiące. Chcielibyśmy zadać kilka pytań. Proszę nie traktować tego jak przesłuchanie, ale z chęcią usłyszymy odpowiedź na parę kwestii. Towarzyszu Królikowski, proszę...

Nowicki osłupiał. Dopiero teraz dostrzegł siedzącego po prawej stronie sekretarza. W dopasowanym, brązowym ubraniu, w krawacie, wyglądał zupełnie inaczej.

– Powiedzcie nam, kto wykonał dekorację sali na plenum?

– Barbara, to znaczy moja żona.

– Kiedy? Chodzi o dzień.

– Przed plenum... chyba w środę... Tak, przecież we wtorek powiedział mi pan o tym.

– Kto jej pomagał? Czy zrobiła to sama?

– Robiliśmy to razem. W środę po południu.

– A kto zawiesił napis?

– ...

– No, hasło „PZPR przewodnią siłą narodu”. Duże litery ze styropianu?

– Ja.

Zapadło milczenie. Królikowski schylił się, szepnął coś do ucha siedzącemu obok mężczyźnie. Poprawił krawat, wytarł chustką czoło.

– I naprawdę nie wiecie, dlaczego te cztery litery – Pe, Zet, Pe i Er spadły nagle z listew na ziemię?

– Już napisałem – nie wiem. Może klej był niedobry, nie wiem...

– A wiecie Nowicki, czym to pachnie? Zdajecie sobie sprawę, jak my wyglądamy teraz w oczach towarzyszy z województwa! Człowieku, mówią, że chciałeś zdyskredytować Partię! Wiesz, co to

znaczy?

– Poczekajcie towarzyszu Królikowski – przerwał któryś z siedzących – nie tak ostro. Słuchajcie Nowicki – kto przyklejał te litery, co? Żona, czy wy? Przypomnijcie sobie. A wiecie, dlaczego lepiej będzie, jeśli to sobie przypomnicie? Bo być może ktoś chciał wam zrobić koło dupy!

– Jak pan śmie tak myśleć o mojej żonie! Ja nie pozwolę tak się poniząć! A w ogóle, to moglibyście skończyć ten cyrk. Siedzę tu już pół dnia, a tam robota czeka. Za dwie godziny mamy przedstawienie, przyjeżdża do nas teatr, trzeba ustawić dekorację, przygotować salę, a ja tu marnuję już pół dnia. Mówcie, co mam powiedzieć i dajcie mi święty spokój!

Usiadł spocony, zdenerwowany. Wstał, podszedł do Królikowskiego, poczęstował się papierosem, zapalił, wrócił na miejsce. Zaciągnął się raz i drugi, to go trochę uspokoiło.

– Do roboty to wy się już dziś nie spieszcie, Nowicki – odezwał się sąsiad Królikowskiego – teatr nie przyjedzie. Odwołaliśmy. Nie można prezentować sztuki w domu kultury, gdzie dzieją się takie rzeczy. Sztuka musi mówić ludziom o sprawiedliwości, równości, o pięknie. A tam u was aż wrze... ale przestanie. I to szybciej niż myślicie. O wszystkim decydują ludzie. A ludzi można zmieniać.

– No to zmieńcie. I dajcie mi święty spokój. Mam już dość tego wszystkiego. Na każde zawołanie – akademie, plenum, zebranie, wieczornica. Nowicki pomyślcie, Nowicki zróbcie, Nowicki macie nasze błogosławieństwo. I co z tego? A że Nowicki kątem mieszka z żoną, to nikt nie pomyśli, tak? Że do klubu też coś trzeba kupić – nikt nie wie! Taka jest wasza sprawiedliwość! Takie wasze patrzanie na świat! Nawet referatu porządnie napisać nie potraficie? Prawda, towarzyszu Królikowski?

Wszyscy jak jeden spojrzeli na sekretarza. Ten wyciągnął spokojnie chustkę z kieszeni, wytarł czoło, zebrał do skórzanej teczki leżące przed nim papiery i wyszedł. Milczenie przerwał sekretarz Mierecki:

– W związku z zaistniałą sytuacją, po zasięgnięciu opinii u naczelnika i sekretarza Komitetu Gminnego Partii, egzekutywa odwołuje was Nowicki ze stanowiska dyrektora Domu Kultury w Parkowie, udzielając jednocześnie partyjnej nagany. Czy macie coś do powie-

dzenia?

– Ja? Czy mam coś do powiedzenia? Ha, ha, ha... – Nowicki zarechotał nienaturalnym śmiechem – ja... do powiedzenia... – śmiał się jak obłąkany, a śmiech miotał się po pustej już sali, wracając zwielokrotnionym echem – ja... mam... proszę towarzyszy...

Zerwał się z krzesła i śmiejąc się wariacko wybiegł z sali zostawiając otwarte drzwi. Jego śmiech tłukł się po korytarzu, wracając raz po raz, z góry, z dołu, jakby cały gmach śmiał się ustami Nowickiego.

Wybiegł z budynku. Powietrze wróciło mu równowagę. Odetchnął głęboko kilka razy, zapalił papierosa, zamknął oczy, zaciągnął się:...

– Czy może mnie pan poczęstować? – zapłakana, spuchnięta, ze smutnymi, szarzielonymi oczyma przesłoniętymi mgłą stała przed nim Barbara.

– Basiu, co się stało? Co ty tu robisz?

– To samo, co ty... jestem na bruku... Dyrektor wymówił mi pracę. Dyscyplinarnie...

W odpowiedzi usłyszała szczerzy śmiech... śmiech gorzkości... śmiech beznadziei...

– Chodź, trzeba to oblać! Właśnie przestałem być dyrektorem!

– Ty też?! Dlaczego?

– A żeby było śmieszniej, dostałem jeszcze partyjną nagane! Ot, co!

– Ty... Mietek?! – zapytała z niedowierzaniem Barbara. – Przecież ty nie należysz do partii – po czym parsknęła spazmem niepostrzymanego śmiechu. Jego echo niesło się ulicami miasta jeszcze długo... znacznie dłużej, niż echo ich oddalających się w wiecór kroków.

Tryptyk jesienny

*

Ryszard Kapuściński nie dostał literackiego Nobla. Akademia Szwedzka postanowiła inaczej niż umyśliła sobie garstka zapaleńców z kraju nad Wisłą, którzy czytują jeszcze cokolwiek poza wyciągiem bankowym, gazetą codzienną i rubrykami z ofertami pracy.

Zaskoczenie, zawód, niespodzianka... co fachowiec to opinia. Co wypowiedź – to biadolenie, że nie nasz, że znów trzeba czekać, że może inne kryteria... I że jeśli nie Kapuściński – to kto z naszych. Kiedy... i ile trzeba znów będzie czekać...

Przepraszam, a ile czeka Mario Vargas Llosa? Zaczytywałem się jego książkami jeszcze w liceum, a to przecież 30 lat temu. A Milan Kundera? A inni?

My zaś od razu, że co za werdykt, że dlaczego i w ogóle. Odzywają się na szczęście głosy rozsądku – że Harold Pinter to twórca wszechstronny, bo radio, telewizja, scenariusze filmowe, wreszcie teatr – no i gdzież takiemu kłownowi jak Dario Fo do niego. Szkoda, że nieliczne – dobrze, że rozsądne.

Obstawiałem Kapuścińskiego. Z pełnym przekonaniem. Nie udało się – ale wbrew opiniom kilkorga znajomych nie sędzę, bym musiał to moje zdanie dziś z tego miejsca odszczekiwać. Wcale nie musi być tak, że to literatura, którą tworzy Kapuściński, nie dorosła do poziomu panów akademików. Równie dobrze może być tak, że to oni do tego rodzaju literatury nie dojrżeli. Jeszcze.

Znawcy teatru twierdzą, że aktualność dramatów Pintera skończyła się jakieś dwadzieścia lat temu. Kto wie, czy Kapuściński ze swoimi książkami nie jest dziś owych dwadzieścia lat do przodu i że trzeba po prostu czasu.

Książek nie pisze się dla nagród. Każda próba definicji będzie dobra. Może uprawianie literatury jest odkrywaniem i poznawaniem samego siebie? Może jest dochodzeniem sensu i istoty życia? A kto wie, czy nie jest też sposobem ucieczki przed anonimowością śmierci?

Czy zapadające się w ziemię pomniki nie przypominają sta-

rych, zakurzonych ksiąg na zapomnianych półkach?

W ostrym październikowym słońcu rzędy porośniętych mchem macew wyglądają z daleka jak kolumny nieznanej armii, zapadłe w trawę pod białym baldachimem brzoź na zboczu pagórka stromo zbiegającego w dół, do wody. Niczym niemi strażnicy wąskiej drożki prowadzącej wśród szarych płacht oziminy w stronę pagórkowatego cypla, porośniętego krzakami, oblanego z trzech stron wodami jeziora.

Dwadzieścia kilka kilometrów za Suwałkami, kilkanaście przed Sejnam, kilka kilometrów od Puńska. W krainie milczących wzniesień, szemrzących trzciny i zgarbionych chałup rozrzuconych rzadziej niż przyniesione przez lodowiec północne głązy.

Niewielki to cmentarzyk, schowany przed ciekawskimi w wysokiej trawie. Kiedy grzebano tu ludzi, brzoź jeszcze nie było. Wyniosłe macewy musiały od strony jeziora wyglądać jak wielkie rzeźby z wyspy Wielkanocnej, wyolbrzymione przez promienie zachodzącego słońca.

Kiedy to było? Kim byli ci, których kamienne pomniki spoglądają teraz na ciemną głębię wody? Skąd przywędrowali do tej krainy i dlaczego spoczęli tutaj, w cichej samotni, nad brzegiem jeziora, z dala od najbliższych. Żyli tu i mieszkali, uprawiali ziemię, hodowali bydło, modlili się i płodzili dzieci?

A może śmierć znalazła ich w podróży? Czy też zginęli zdradziecko, bo zaufali ludziom, którym ufać nie powinni?

Skąd w tym miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi wziął się ów niewielki cmentarz?

Historia jest jak niezapisana księga. Jak nienapisana książka. Więc może zamiast tworzyć nowe, wymaginowane światy – zamiast gwałcić wyobraźnię dla taniego efektu i poklasku – dla uznania, pieniędzy i nagród – warto i należy pisać historię takich miejsc, jak ten niewielki cmentarzyk? Żeby przed anonimowością uratować nie siebie, ale tych, którzy spoczywają gdzieś tam, na zboczu cichego jeziora.

Naprawdę nie wiem – czy dłużej nosić będę w sercu rozradowaną twarz zaskoczonego Harolda Pintera, czy widok tego niesamowitego, ale jakże pociągającego miejsca?

Lubię białe chryzantemy. Uwielbiam ich kształt i zapach. A tu niechcący w jakiejś gazecie wpada mi w oko tytuł – Chryzantemy z plastiku. I dalej – że wielki wynalazek – bo zawsze białe, trwałe, a i umyć w razie czego można. Są plastikowe choinki na święta, mogą być plastikowe kwiaty.

Świat się robi plastikowy. Świat – a z nim ludzie – przeźroczyste charaktery, gumowe kręgosłupy, odkształcalne poglądy. A wszystko schowane za maską twarzy – szarą i bez wyrazu – jak zmięta foliowa torby na zakupy.

Nie chcę żyć w takim świecie.

Nie chcę, bo lubię widok chryzantem. Lubię patrzeć na ich ogromne kule, bijące w oczy bielą jakże inną niż biel świeżospadłego śniegu, albo biel błyskających w porannym słońcu rumianków, czy też biel spienionego w skopku, dopiero co przyniesionego z udoju mleka.

Uwielbiam wprost brodzić w oceanie tej bieli – przechadzając się wąskimi ścieżkami pośród rozstawionych na ziemi doniczek i donic z gronami wielkich kwiatów. Mrużę wówczas oczy i wydaje mi się, że to niebiańskie łąki ciszy i spokoju, niezakłócone szmerem, szepcetem, lotem jaskółki czy cieniem chmury.

Pewien mój znajomy, ogrodnik z przekonania i pasji, wpuścił mnie kiedyś do wielkiej szklarni, w której na transport do hurtowni czekały setki, a kto wie, czy nie tysiące – doniczek z białymi chryzantemami. Zamknął za mną drzwi. Zostałem sam. Rozbitek ludzki na oceanie bieli. Wydało mi się przez moment, że ten biały dywan faluje, podnosząc się i opadając, rozstępując się na chwilę – i zamykając grzbietami ułożonych przez kwiaty fal.

Lubię te kwiaty. Ale tylko białe. W dzieciństwie wyobrażałem sobie, że każda z nich to ludzka dusza – jedna z wielu spośród wszystkich pokoleń, które były na ziemi przede mną. I że w ten sposób – pod postacią białych kwiatów – wracają do nas na kilka dni, na ziemski padół łez i bólu, żeby sprawdzić – jak żyjemy, jacy jesteśmy, czy o nich pamiętamy, czy odwiedzamy ich groby i jak pielęgnujemy pamięć o nich. I czy ich śmierć zmieniła nas, na ile i

co zmieniała w naszym życiu. Tym dotykalmym, namacalnym, przeliczalnym – czyli materialnym, ale przede wszystkim w tym duchowym. I wyobrażałem sobie dalej, że my – w podzięce za ich opiekuńczość i poświęcenie – nosimy je na rękach, tulimy do siebie, gładzimy, rozkoszując się zapachem – by na koniec zanieść je na cmentarz i położyć na mogile naszych najbliższych. A im bardziej szczerzy, bardziej czuli i bardziej prawdziwi byliśmy w naszych czynach – tym dłużej zachwycali doskonałością swojego piękna. Któż z nas nie słyszał wypowiedzianych ze złością i zawiścią słów: - Zobacz, jakie u tych Kowalskich chryzantemy jeszcze piękne, jak się trzymają, a nasze już na śmietniku... Jak gdyby nie można było przejść obok bez uczucia zawiści, bez piany na ustach...

Lubię widok białych chryzantem. Nie potrafię jednak – choć minęło już wiele lat i z dziecinnych wyobrażeń dawno wyrosłem – wytłumaczyć – dlaczego tylko białych. Dlaczego w ten sam sposób nie działają na mnie barwy dojrzalej pomarańczy, lekkiego brązu, beżu czy nawet głębokiej purpury.

Tylko biel. Być może noszę w sobie, gdzieś głęboko, potrzebę bieli. Bycia w tym kolorze, patrzenia na ten kolor, oddychania wręcz tym kolorem. Ale jeśli tak – to dlaczego od czasów dzieciństwa nie mogę wyleczyć się z syndromu białego fartucha? I ciągle jeszcze – a dobijam powoli pięćdziesiątki – na widok lekarskiego kitla moje ciśnienie krwi rośnie, moje serce przyspiesza, a na czole pojawiają się krople potu. Nie wiem.

Biel chryzantem. Tylko biel. No i ten zapach, subtelny – niezwykle – zapach, którego mój umysł wcale nie kojarzy z zapachem śmierci. Może to właśnie jest zapach niebiańskich połonin – może tak właśnie pachnie powietrze gdzieś tam – w Hadesie, Podziemiu, w zaświatach... Może to jest zapach nieśmiertelności?

*

Poranny chłód wypłoszył kaczki z trzcin. Tafla jeziora zamiera w bezruchu, jak gdyby w oczekiwaniu na zimowe zastygnięcie. Zegar na węgierskiej wieży, spędzany ciszą listopadowego poranka, zapomniał że jest wpół do... milczy.

Wpół do której... wpół do czego? Może wpół do zimy, a

może wpół do zapomnienia? Niepamiętania... zamazania na tablicy pamięci?

Odgłos kroków poranny chłód zamienia w dudnienie, odbijane niczym echo od ścian starych murów. Skąd ta armia dźwięków - przecież jestem sam, tylko ja...

Miejsca, do których wracamy. Chociaż na co dzień nie zaprzątają nam myśli, choć czekać mogą tygodniami i miesiącami – są w nas. Głęboko. I odżywają przy pierwszej sposobności. Potrzebujemy takich miejsc.

Przy zejściu do jeziora wielki głaz, pamiątkowa tablica, reklamowa plansza po polsku i angielsku. Pod drzewem puszki piwa i wyrzucone z okna samochodu butelki, których nikt nie chce sprzątnąć. Jesienne drobne liście, wysypane kamykami zejście na pomost. Szron na deskach. Znow tabliczka, że pomost w darze... czy coś w tym rodzaju.

Z drugiego brzegu spóźniony odgłos młotka, krzyki, szczekanie psa. Zza pleców zapach brzoźowego dymu, znak budzącego się – mimo późnej jesieni – życia, znad wody resztki mgły. Pusto. Kartka na drewnianym palu na cumy przypomina, że był tutaj, odpoczywał płynąć statkiem, patrzył na wodę, niebo, trzciny, o czym myślał... O co się modlił?

Miejsca, do których wracamy. Powiało chłodem od Starego Folwarku.

Był... płynął... modlił się... czas przeszedł wciska się w teraźniejszość, jak krzyk zagubionej nad wodą kaczki. Staje się obecny w teraźniejszości szronem na pomoście, zabrudzonymi fotografiami na planszy, wspomnieniem armii kamer prześcigających się w wojnie o najlepsze ujęcie...

Kogo obchodzi - gdzie są dziś ich operatorzy, co robią nagrywacze dźwięków, co się stało z tłumem ochroniarzy, kierowców, fotografów... Nie ma Jego... Jakże inaczej żyje to miejsce teraz – w chłodny listopadowy poranek... Jezioro, woda, deski, chłód...

Jakie byłoby to miejsce bez naszej pamięci? Bez niewytłumaczalnej potrzeby przyjscia tu w chłodny poranek...

Odgłos kroków tłumi łuk bramy. Otwarta na oścież. Na ścianie tablica – twórca samorodny, furtian, Wiktor Winikajts. Pa-

miętam jak przez listopadową mgłę – niski, pochylony człowiek. Opowiadał mocno akcentując słowa, twardo dociskając końcówki... Ostatni kameduła – mówili. Tylko raz obszedłem to miejsce słuchając jego opowieści. Tylko raz... Miał w głosie jednocześnie szcęk zbroi, huk armat, szept modlitwy i radosny ton dziękczynny... A kiedy w katakumbach pokazywał szczątki braci kamedułów – wydawało mi się, że czas się cofnął i historia dzieje się od nowa...

Może to poranny chłód, może nagle szczekanie psa – przez moment lewy policzek furtiana jakby drgnął... Drzwi zaskrzypiały żałośnie.

Złudzenie – myślę sobie – magia miejsca... Podświadoma projekcja pamięci. Miejsca, które przywołują wspomnienia, zdarzenia, sytuacje konkretne i wymyślone.

Chłodne płatki drobnego śniegu na policzkach działają lepiej niż dzwonek komórki. – W porządku, zimo... tak, wieczorem... dużo pracy... na razie... będę uważał.

I ani słowa, że tutaj zapomina się o rzeczywistości. I ani słowa, że już za chwilę stoję przy oknie, o które jeszcze nie tak dawno opierał się On. Mówił o Wilnie, o wierszach, i o tym, że najważniejsze być wiernym sobie...

I być w zgodzie z samym sobą. I pisać, żeby świat mógł być lepszy. Oprawione w ramki zdjęcie wisi na ścianie. A teraz ja opieram się o ten sam parapet, stoję w tym samym miejscu... Tylko Jego już nie ma... Spogląda teraz na mnie zza szyby swojej drugiej przestrzeni... A ja jakbym wrastał w to miejsce, jakbym kamieniał słysząc Jego głos...

Miejsca, które mamy w sobie. Do których wracamy. Których potrzebujemy. Dają nam poczucie sensu. Umacniają wiarę. Budzą nadzieję. Każdy ma takie miejsce. Wystarczy spojrzeć w siebie.

Październik – listopad 2005

Teksty miały premierę w magazynie „MUZA” Radia Białystok.



Łukasz Gireń

Urodzony w 1976 r. w Białymstoku.

W latach 1997 – 2003 studiował na

Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu.

Dyplom z grafiki warsztatowej.

Janina Kozak – Pajkert

Wiersze ukazały się w tomiku „Słowem w oczy”

Wolność

Przecież było już tak,
jakby się zebrały wszystkie biedy
do kiwania głową
nad strzepami naszych koszul
i sztandarów.
Znów wyciągaliśmy groźne szyje
a nasze twarze przypominały
dzioby złych ptaków.
I kapał nam na obojczyki pot
lecz nie umieraliśmy od tego
i żaden prześmiewca nie gwizdał
na nasz widok.
Tylko strumień wody u studni
przyjmowaliśmy jak zimny sztylet.
Wciąż krzyczeliśmy:
„Polski jesteśmy warci”
i parliśmy szczepieni przed siebie
a największy wiatr czy szarża
nie mogły nas rozproszyć.
Przecież było już tak,
że podążaliśmy do tej jedynej mety.
Bo ona zawsze nazywała się
tak samo.

Pokolenie

Byliśmy dumni
i tak pełni sił
jak skłębione wody oceanów.

Każda postać rzeczy
miała oczywisty wymiar,
ponieważ, nasze oczy i ręce
nie mieściły się wyłącznie
w lustrach domowych.

Drogi do celu
osiągały tylko jeden metr,
a wiosny nieustannie
buzowały u okien.

W usta wkładaliśmy
słodkie wiśnie.
I śmiech, młody śmiech
niósł się wieczorami,

Aż przyszedł w słońcu
WRZESIEŃ.

Prośba

Panie poeto,
czekam na wiersz, jak nogi wielkiej Dietrich,
jak serce Matki – Polki.

Oto dwie doskonałości.
A pana gnębią
niezrównane „Ogrody Luizy”
lub „Przesłanie Pana Cogito”
Panie poeto,
wiersz się gromadzi
jak miąższ pod skórka.

Niech pan popatrzy
jest kwiat i krew.

I to jest zew.
I to jest śpiew!

Przesłanie

Nie zamykaj słów ni oczu,
bo twoja przestrzeń
to czerwień i biel.

Otwieraj sanktuaria i legendy
a tempo rubato Fryderyka
niech drze uszy
swojskich ułanów.

Bo nie kwilą w oka mgnieniu
nie szarżują w upojeniu.
Utkwili w straganach z kapustą,
postradali złoty róg.

Nie będzie tu żony Lota.
Bóg się zmęczył,
wysypuje piasek z sandałów.

To wiem

Powiem ci coś,
co minęło a jest.
Siedzi we mnie
dom rozwiany,
mazurki i pisanki,
schody skruszałe,
tapety oberwane.

Tęsknotę przegania się
mozolem i rzeczami.

Lecz w wazonie stoją róże
na dzień, na noc
jak otwarte rany.

Irena Słomińska

Matka

Pamięci mojej Matki Wierzy Pachwiczewicz

1.
jest taka dotykalna miękkość
charakteru kobiety
i jak struna w nią wpisana
siła

przez podwójność
wyraża się sens
płomienia

przez iskrę bożą i
marzenie
wyraża się
zarzewie

dlatego spalam się w miłości
dlatego przez miłość podtrzymuję
trwanie

matko
walczyłaś o człowieczeństwo
całą swoją istotą

i
zostawiłaś mi słowo
przebaczam
na życie

3. Nauczycielka
przekraczasz próg szkoły
rzekę
płynącą spokojnie meandrami
aż po morze
po ten ogromny nieprzewidywalny kształt
jaźni

z węzłkiem chłopskiej tradycji
z bagażem oficjalnej prawdy
wykorzystującej marzenie
i z człowieczeństwem czułym jak
kamerton

tak dojrzewały
nasze matki

i my owoce poznania
z wielu drzew
dobra i zła

z raną na psychice
cierpieniem

4.
dojrzewamy przez
czas
który w nas jak w pryzmacie
załamuje promienie

socjalizm to coś
w co bardzo przyjemnie wierzyć
zapominając że istnieje
państwo

(państwo tak naprawdę rzadko bywa
dobre)

wciąż jestem
tamtą małą dziewczynką
chwytającą piłkę
a wydaje mi się że piłka
pochwyciła mnie na dobre

a wydaje mi się że jestem
uwikłana jak pajak
w tamtą zamierzchłą miłość

o matko
każ państwu
pukać
do drzwi naszego domu

5.
jak patrzeć
mówisz mucha
i widzę wielką muchę
która na twarzy mojej malutkiej siostry
zostawiła kropelkę
krwi

w naszym widzeniu zmieniają się
proporcje

o moja ty ogromna mądra matko
o moje ty zawiniątko pełne niedojrzałej myśli

teraz tak cię rozumiem
teraz tak cię kocham

nie inaczej
poza zaskorupiałym buntem
poza krzykiem
poza krwią

poza dekalogiem udeptanym jak trakt
na moim drzewie genealogicznym
na genealogicznym lesie
człowieka

7.
ja cię tylko
doświadczam w sercu

kryje się tam supełek
splątany emocjami

byłaś wspaniała
królowa śniegu
królowa pasji
królowa cierpienia

skazałaś mnie na zdobywanie bastylii
wolności dotkliwej
jak śmierć

Joanna Pisarska

Ślady na śniegu

krok w krok
w głęboki ślad
dokładnie
i bezbłędnie
w białość
w zimowy las
w lodowe cienie

ktoś tu
samotny tak
przecierał
dla mnie drogę
i dziś
prowadzi mnie
jak ręka Boga

krok w krok
w głęboki ślad
za tropem
tajemnicy
idę
samotna tak
przez całe życie

Moja rzeka

lubie, kiedy w upał
płytką i leniwa
prawie gładką taflą
odbija powietrze błękitne
gorące
i pozwala dzieciakom
pluskać się
w szerokim zakolu
nasłuchując ich śmiechów

widzę, że odpoczywa wtedy
po ciężkim, znojnym
wód przetaczaniu wiosennym

a ja odpoczywam
razem z nią
bosymi łydkami
rozgarniając wizerunek sadu
co wyciągnął się
prawie do jej lica
i puszy się swym
niedojrzałym jeszcze
urodzajem

choć czasem kapryśna
to przecież bardziej stała
niż ja
który wracam do niej
coraz częściej

W domu

oto koniec nieuczęszczanej polnej drogi
zgaśł silnik trzasnęły drzwiczki
cisza

w nieruchomym powietrzu
nie słysząc klekotu bocianów
gnieźdzących się niegdyś
na dachu stodoły
stary Murzyn nie wybiega
z radosnym ujadaniem
pierwsze jesienne liście
zaścieliły nie sprzątany próg
czy jest jakieś uzasadnienie
dla istnienia rodzinnego domu
bez szybkich kroków
i ożywionych głosów
wśród jego ścian
bez skrzypu żurawia na podwórzu
i porykiwania bydła
nadchodzącego zza gumna
bez śmiechu i śpiewu
dzieciarni w sadzie

dlaczego wszystko co dobre
zasnuwa się mgłą przeszłości
i tylko pamięć jest tym co w nas
nieprzemijające
trwale
i żywe

Józefa Drozdowska

Krowy pasące się nad Narwią

studium pewnej fotografii

Rzeki nie widać na fotografii
płyńcie nieco poniżej
i chłodu jej się nie odczuwa
Wystawione na słońce
łagodnie spadające tarasy
ugorów i łąk
wydłużając aż po jej brzeg
cienie krzewów gdzieniegdzie
trzymających się stoków
rysują głęboką przestrzeni
wyostrzoną do niebywałych rozmiarów
Krowom nie wiedzie się tego lata
przeżuwają spieczone trawy
mrówczo pysk przy pysku
z głęboką tęsknotą w oczach
za chłodem i wodą. Cóż więcej...
Malowniczość fotografii
ubożeje spętana strachem
przed jeszcze większą suszą
I tylko cichy pomruk
przebiega po kartce
Czy to od Pątnicy skradająca się burza?
czy krowy znieczepliwe
oczekiwaniem schyłku upalnego dnia?

Spotkanie

wiersz inspirowany obrazem Wojciecha Kossaka
„Na kwaterę, spotkanie z przyszłą żoną”

Nieuchronnie zbliża się koniec wieku,
ale kto by na tę chwilę o tym myślał.
Kto by historię przedkładał nad teraźniejszość
- kiedy Ona taka piękna i młoda. Ukazana potem z profilu,
że tylko domyślać się nam jej urody po wiotkiej talii,
a szyku po wytwornie skrojonej długiej sukni.
Przysiadła na skraju krzesła, jakby zaraz miała wstać...
Uprzedza ją jednak ojciec uchyliwszy
kapelusza w ukłonie przed ułanami.
I tak ta pierwsza, miłość, historii każe na chwilę
zatrzymać się. Zapomnieć o służbie i koniach.
„Matka geniuszów”, jak określano późniejszą jego żonę,
Marię z Kisielnickich jest tutaj w centrum uwagi.
Wszystko inne, jak chociażby biała brzoza
i konie czekające za ogrodzeniem, służą jedynie
podkreśleniu nastroju. Tak miłej kwatery trudno jest odmó-
wić
Cóż, że stąd do Krakowa szmat drogi.
Nieuchronnie zbliża się koniec wieku
a z nim początek podróży do Stawisk
i czułych listów nieskończoność słanych nad Drzebień

Do cykorii podróżnika

Gościńiec linijąc w słońcu
współprzeźroczystymi odnóżami
związuje swoją i moją przestrzeń
w gordyjski węzeł
Kamyczki jak niegdyś wchodzi do sandałów
raniąc pamięć i cykoria błękitna jak niebo południa
mdlejąc w upale podróżuje niezmiennie
przez te wszystkie lata wierna
i nie wiem, czemu ochrzczono ją bojaźliwym imieniem
Coraz bardziej przeźroczysta stając na
tej drodze i ja
Linijąc słowa a strach uwiązał w gardle pytaniem
Cykorio - wierna podróżniczko moja
na tę ostatnią, aby też błękitną podróż
przystrój mnie i odprowadź

Augustów, 3.08.2003

Anita Balejko

Ojcu

Dajesz mi tak wiele
Nie mając za to nic
Czuję twój oddech
Na swoich plecach
Twoje siwe włosy
Spadają na me ramiona
Twoje kruche serce
Bije w moim ciele
Zadyszany
W pośpiechu
Wysoko znosisz
Trwałe elementy mojej przyszłości
Wijesz mi gniazdo
Ochroniasz skrzydłami
Do gardła jak pisklęciu
Radość mi podajesz

Warszawa, 1998

Mamie

Cicho za plecami
Zmęczone codziennością
Układasz swe liliowe włosy
W poszukiwaniu snu
Nic nie mówisz
Milczysz
Ocean niesie echo szlochów

W morskiej muszli słyhać łzy
Zamknięta
Niedostępna
Zamykasz drgania we własnej skórce
Krople łez padają na twoje kolana
Lecę do ciebie
Zatrzymać duszności
Daję ci oddech
Dzielę się powietrzem
Weź
Podaję ci rękę

Warszawa, 1998

Twoje wiersze

głodna, zmarznięta, zimnymi rękami
łapczywie dopadłam do wierszy
nie przegapić przystanku!
samotnej matce ustępuję miejsca
odkrywam nowe strony osobowości
przekładam nieznane karty z przeszłości
niechętnie oblupuję ze wspomnień
za oknem przegapiony przystanek

Małgorzata Dobkowska

Nad Białą

Chłód uścisk i ślad ręki
Cień pocałunku posmak wiśni
Ulotne małe – wielkie rzeczy
Chcę utrwalić
I tymi niby małymi – wielkimi rzeczami
Się cieszyć

Wierzby brzozy kaczk i kaczeńce
Dymy światła pośpiech ludzi
Szczęśliwam bo mogę
Zatrzymać się na trochę
I znaleźć zajęcie - opis chwili
(której zaraz oczywiście już nie będzie
Ale zastąpi ją inna
Może równie interesująca)

Stoję opieram się o balustradę
Podnoszę głowę ku nagle
Intensywnemu słońcu
Mrużę oczy
Słońce wygrywa w tym
Pojedyнку

Zmiana dekoracji. Ucieczka

Jak to jest co znaczy
Gdy nagle pojawia się (w szybie?)
Krajobraz równoległy
I ty go widzisz i masz go
W ustach i oczach
Badasz obracasz językiem
Na podniebieniu

Gdy na horyzoncie zjawi się
Następne miasto mroźno grafitowe jezioro
A błękitnoskórne sylwetki
Maszerują i wkrótce
Znikają za linią

Ciągle łakniesz zmiany
Niezaspokojone pragnienie
Znowu przestawiasz płótna
Mylisz się i powtarzasz
Wszystko od początku

Justyna Rożko

*Hagar, niewolnico Saraj
skąd przyszłaś i dokąd idziesz?
Ks. Rodz. 16,7*

jestem Hagar
pełna ciszy letniego południa

jestem Hagar
stopami trzymanymi wysoko w górze dotykam nieba

jestem Hagar
modłę się słowami brunatnymi od słońca

jestem Hagar
nie wiem skąd wziął się we mnie czas

jestem Hagar
która się bała

przyszedł do niej anioł powiedział Hagar
nie płacz Hagar

kołyszmy się razem pod wiatr

Obudź się

*na początku kobiety trojańskie usiłują
rytualnym obrzędem uniknąć przecznuwalnego*

obudź się
szepczę bez wytchnienia w twoje ramiona
mój głos niknie w nich jak wiatr w miękkiej ziemi

obudź się
wyrywam cię bezpańskim snom
szepstem wkradam się w twoje zamysłone ciało

obudź się
zastygam w zgięciu twego karku jak kropla potu
która wsiąknie w piach razem z twoją krwią

opowiedz mi o sobie - cokolwiek
kiedy zacząłeś się we mnie
czy księżyc wdarł się w ciebie przez sztalugę okien
czy bałeś się spać sam - czy bałeś się zostać sam
wobec swoich snów

kiedy stwierdziłeś że sztuka jest milczeniem
jak zniknął twój ojciec
czy matka wierzyła w Boga
co czułeś rano tuż przed przebudzeniem

opowiedz mi o sobie - cokolwiek
co najwcześniej zapomniałeś
który ból był najkrótszy
który smak najgorętszy

dłaczego rano nie dopijasz herbaty
dłaczego nie czekasz na wiosnę
skąd w tobie pewność że będziesz zbawiony
czy mogę nadal dotykać twojej twarzy

opowiedz mi o sobie -

Mirostawa Niewińska

Słowiańska pieśń o Z-Bożu

Mariannie Bocian

łatwiej nam Boże
zdobynamy dyplomy
niż w czarną glebę
żywe ziarno wkładać
dla tych piękniej będzie
odchodzić z tej ziemi
co z boskiego spichlerza
Z-Boże chcieli siać

masz dzisiaj tyle lat i tyle odwagi aby
uwierzyć że w twoich rękach leży zbawienie
świata nie próbuj słuchać że
prorocy przychodzą za wcześniej wodzowie
za późno urodziłeś się
aby dać światu nową ewangelię
ty jesteś

Kąkol

gdy się pszenicznym pasem przepasało pole
pewna jestem harmonii boskiej we Wszechświecie
bo nawet Stwórcy były potrzebne kąkole
jak słońcu cień deszcz chmurze a wiersze pocie

Współczesny hieroglif

jak podać rękę żebrakowi który
nie przeszedł kursu
w zakresie symboli gest mało się różni
od prośby jak gdyby było
kryterium umowne
rzucania grosza z prawem ciężenia
na dół nosisz dyplom
instruktora sygnałów wyczynowo doskonaląc technikę
w zawodach
o wrażliwość przechodzisz
wyżej
żebrak wyciąga rękę zawsze tę
samą czasem
śnieg albo deszcz pada w konfrontacji
z metalem
krople nic nie znaczą krążki
wypełniły czapkę między palcami ściekają
krople gesty

Dobry czas

*Niebo we wnętrzu góry
Księga 1 – Czting*

na wstępie nie należało pisać o Bogu
bo byłeś za młody
następnie nie należało pisać o miłości
bo się na niej nie znasz
potem to już teraz
wypada być dojrzałym
choć
od czasu do czasu
Bóg jest mniej wyrozumiały
miłość bardziej bolesna

a nad Narwią każdej wiosny
rozkwitają kaczeńce
zapowiadają dobry czas
na wiersze

gdzie
niebo w pas się kłania
witając wędrowca
zaprasza w szeroko otwarte
podwoje
by się posilił świeżym
chlebem
gościnności
jeszcze pyta
czy nie głodny

Nasza inna rozmowa

przywiązani gdzie słowo nie nakłada więzów
by w oszukanej ciszy gubić myśli gwiazdne
i gdzie się rzeczywistość rodzi trwalsza
od wszelkich twardych struktur gdzie się
Słowo Staje
Duchem

jeżeli chcesz bawić się
życiem naucz się żyć poważnie
aby życie nie bawiło się
tobą

Anna Tomczyk

Wiersz
balansując
na złotej
linie horyzontu
podnosi
żałuzje chmur
poranek wschodzi
jak pietruszka
w donicze
niewidocznie
lecz
niezmiennie

Bon appétit

„Nie lubię poezji,
gdzie jest tam sens?”
mówi i żuje kotleta kęs.

„Kończy się prawie nim się zaczyna!”
mruczy i talerz kapusty wcina.
„Banalne to, krótkie, tak jak ogórek!”
macha widelcem siorbiąc żurek.

„Lub nie życiowe, czysta abstrakcja,
ani to powieść, ani to akcja.
A atmosfera tam się nie mieści,
nie ma zapachu, smaku czy treści.”

„Lecz proszę Pani, Pani nic nie je?
Dlaczego Pani tylko się śmieje?”

„Może zamówić mam kartofelki
dla Pani lub kawałek zraza?
Mój apetyt jest dosyć wielki!”
dodaje kończąc

kotlet z Pegaza.

Pada na ziemię
cicho
nie ranny
zdmuiony tylko
że wciąż pada -
deszcz.

Nadzieja -
smukła jak parasol,
który zostawiłam w parku.
„Proszę pani!” – woła dziecko
i biegnie za mną.
„Dziękuję!” Idziemy.
Już pierwsze krople spływają
po twarzy.
Otwieram parasol
jak łuk tęczy
nad naszymi głowami.

Józef Budziński

Bezsenny czas
to nie bajka
to często
okres bezdechu

Choćbym swe
kłamstwa ukrył
przed Tobą głęboko
pod powieką
to i tak
wiem że je
znajdziesz
bo Ty mówisz
prawdę

Jestem jak
ślepiec
gdyż błędę
a szuflady
zapełniam
skrawkami życia

Nie boję się życia
boję się
ślepych malarzy
którzy w mroku
malują
swoje
obrazy

Boję się słowa
Miłość
boję się wprowadzić
je do swojego
teatru życia
ona porusza
obszary obojętne
ona orze
zagony mojego
życia
ona każe
dzielić się
ciałem
by żyć inaczej
ona nie jest
końcem
ona porusza
serce i duszę
ona trwa

Tadeusz Golecki

Wiersze z tomiku „Codziennie pośród dróg”

By

Potrzeba było Twej męki,
by Piłat i Herod stali się przyjaciółmi,
by setnik mocno uwierzył,
by twardy Piotr zapłakał,
by piątek stał się Wielki,
a niedziela świąteczna,
by nadać ład wszystkiemu
jak przy stworzeniu,
bym bez słowa uklęknął.

Spowiedź

Są słowa trudniejsze
od krzyku rozpacz,
wyznania najcichsze
szeptane oddechem.
Jest duma – jąkała
kornie na kolanach,
żalem skruszona,
serca kołataniem.
Jest krzykiem łaski...

Wdowy

Stęsknione za śmiercią,
za ukochanym,
co czeka podobno.

Nie wiedzą,
że tam jak anieli
ani się żenią,
ni za mąż wychodzą.

Bóg eremita

Wątpilem,
wołałem...

Bóg
zaszył się
w ciszę
czekając
na moje
milczenie.

Jerzy Binkowski

Moja miłość zaczyna się w kąciku twoich ust
wschodzi słonecznym wygięciem w łuk powiek
i rzęsy przymruża niczym wiosenne mgły o poranku

Ponad polami i łąkami lśnię
przemykam nurtem rzeki
tropię ślady ptaków na liściach

Śpiew unosi się nad lasami
gdy idę - jeszcze wyżej
ponad wodogrzmoty do źródła

Kochałem cię
Tańczyłem

Kładłem rękę na uchu psa i twoim brzuchu
Mówilem: „Poranek o brzasku”
Wyjrzelismy przez okna: „Poranek” mówiliśmy
I zlizywaliśmy miód spływający po szybie
Mogłem mówić: „Wieczór”
Ale wielbiliśmy kłamstwo
Kłamaliśmy każdego ranka o 2.00 w nocy

Kochałem cię
jak małżę tarzającą się w swym piasku

Łaskotałem twoją nagą skórę
jak dzieciół drażący pień i gałęzie

Lew we mnie był
jak ogień przeżący się do skoku

Zapłacę się lub powrócę do punktu
zasypię słowa aby nie wyschły pod słońcem

Zgaszę świecę najwierniejszą

Jakże piękną śmiercią umrze mój oddech

Kochałem cię

Gdy z głuchym łoskotem
poturłał się po podłodze numerek do szatni
a ty wystawiałaś świadectwo klasycznym ikonom
błąda i bardzo dyskretnie - można powiedzieć - wyrafinowanie
uśmiechnięta

Klawesyn i obój barokowy niczym klasyczne kadzidła
zmieszane z wonią potu i zimowych płaszczy
i moje drżące jak w modlitwie kolana - może trochę niezgrabnie -
usiłowały ustalić potrzebną między nami odległość

Bo w tych pełnych zamętu czasach widywałem anioły
które zaczesywały w górę długie białe loki
i wspominałem pięknie wypielęgnowane paznokcie
wpijające i rozdrapujące moje ramiona i barki

Jakże tajemnicze było nasze „Dobry wieczór” na parkingu
i pożegnanie jak granit: „Ta gra nie warta jest świeczki”

Napadła nas noc i schowała twarz
a ty szukałaś oczu wśród ciemności

więc nie spostrzegłaś czasu na mojej głowie
rozsypanego popiołu zmurszałego paleniska

tajemnicza kobieto - snuj ową dziwną tkaninę
i nie wzdragaj się przed pieszczotą warg

zanurzona w migotliwym rózu i soczystym błękiecie
biegnij do zwierząt ukrytych we mnie w przestrachu

Kiedyś w środku nocy pokocham cię

Marcin Kruhlej

Bajka I

Uśmiechała się wolno, krzyżując komórki mózgowe w krzywym zwierciadle wiersza.

Pani Pi, matematycznie ogolona, królowa układu współrzędnych.

Ale był też król i tron, i wasy złote, bo bez tego nie ma polityki.

W miejscu, gdzie nie docierało słońce, stało koryto...

Ci co tam byli, już nie żyją. Dobiła ich inflacja oraz niskie bezrobocie.

Jak na porządną historię przystało, była i postać negatywna. Ale która to, zapomniałem zapytać.

Teraz toczy mnie Pani Pi w beczcze prochu i już nie wiem, co to są słowa, a co pisanie...

Bajka III

Ma być o wyspie. Tylko tam nie mieszkają smoki, a idiomy i wszędobylscy poloniści. Chociaż to nie największy problem. Dobija tu bylców wysoki poziom wód w rzekach mlekiem i głodem płynących.

A w jaskiniach trzymają wiersze – bo to nowa jest symbolika grzechów głównych. Rozpruwacze przykazań – tak ich nazywają, w klatkach styropianu, przygrzewane winy i tęsknoty.

- Czy to bajka, czy też jawa? – pytają mnie na rogu ulicy jednej czwartej. Odpowiedź jednoznaczna na tak trudne pytanie jest niemożliwa.

- Czy jestem bohaterem historycznym, czy fikcyjnym? – dociekają
na bulwarach zachodzącego morza. Na tę wątpliwość również nie
znam rozwiązania.

Może to nowy, inny świat.

Zgubiłem rower.

Rozwiązało mi się sznurowadło.

Wątek... gdzie ja mam wątek...

to już nie październik

a Pan Wiatr

wiecznie chodzący

na wysokie obcasach

przeprowadził się do miasta

i zwykł mawiać

że wiersze przyrodnicze są dla idiotów

tak jak miłość

i inne naturalne sprawy

mówią że mężczyźni nie płaczą

oni tylko lży wymieniają

na stalowe ciernie

w pobliskim skupie złomu



Łukasz Gireń

— Janina Kozak-Pajkert —

Męska rzecz

/opowiadanie ze zbioru „Atomówka/

Szczupły, delikatny, wyróżniał się niezwykle urodą. Podobieństwo zauważyłam natychmiast i ze zdumieniem - twarz przypominała znane oblicze Chrystusa z Całunu Turyńskiego. „Charakteryzacja zbędna. Krzyż już ma. Trzeba mu tylko włożyć białą galabiję. Gdyby stanął w drzwiach, w przyciemnionej części korytarza, wszyscy runęlibyśmy na kolana” – myślałam.

Miejsce, w którym się znalazłam, nie skłaniało do obserwacji innych pacjentów. Rzeczywistość przepływała obok jak natrętna, groteskowa cyklorama. Nie chciałam jej nazywać. Nazywanie skłania do refleksji i utrwala świat zastany w pamięci. „Jest cierpienie. Większe od ciebie. Trzeba żyć w obezwładniającej dyscyplinie” – myślałam.

- Co to jest? Białe, duże i śmierdzi – pytał czasem prowokacyjnie mężczyzna o sylwetce siłacza i twarzy bandyty. Siłacz panoszył się demonstracyjnie wśród pacjentów, bagatelizował swoją kurację i kpił z osiągnięć medycyny. Zwykle siedzący w salce telewizyjnej pacjenci nie odpowiadali na jego złośliwości. Tym razem ktoś odpowiedział łagodnie, bez emocji:

- Pan domaga się, żeby odpowiedzieć „szpital, to szpital”. Odpowiedzi nie będzie. Przyszedłem tu z własnej woli – na leczenie, waczenie i znoszenie bieli.

Pogodzić się z bielą, no, no – wielomówne! – To był on. Ten podobny do Chrystusa z Całunu. Siedział w kącie salki telewizyjnej, pił kawę. Wtedy spostrzegłam też, że przed nim, na stoliku, stoi niewielka, prostokątna ramka, bladoróżowa, wymyślnie ozdobiona

doniczką błękitnych hiacyntów.

„Musiał ją zrobić sam”- pomyślałam. Wpatrywał się uporczywie we wnętrze ramki. Jego twarz rozświećtało uniesienie i zachwyt.

„Modli się jak wszyscy. Ciągłe jesteście w kontakcie z Niebem. Niebo jest tu oczywiste, a nie siłacze” – myślałam.

Siłacz siorbnął swoją kawę, machnął wielką łapą i wyszedł.

A moją wewnętrzną, szczerze dziecięcą refleksję przerwało chrząknięcie.

„To on. Chce mnie sprowokować do rozmowy” – odwróciłam głowę.

I tak było.

– Patrzy pani, jak tu tkwię ze wzrokiem wbitym w fotografię?

– „Patrzy” – to za wiele. Spojrzałam, pomyślałam: pan się modli.

– To fotografia, proszę. Moja dziewczyna – podała mi różową ramkę. – Mój Cud.

– Przy pana urodzie, to niebezpiecznie mówić „cud”. Widzę, że spotkały się dwie urody! Dziewczyna jest urzekająca.

– Dziękuję. Ożenię się z nią. Jestem nieprzytomnie zakochany.

– To widać. Teraz buduje pan zdrowie dla tego Cudu – żartowałam.

– Tak. Rozmawiałem z lekarką wiele razy – przysiadł się tak spontanicznie i bezceremonialnie, że pozostało mi tylko przypomnieć mu o przestawieniu kubka z kawą. Miałam przed sobą uduchowioną, nieco bladą twarz, bardzo znaną z Całunu.

– Wiem, o czym pani myśli. Jestem, tak, jestem podobny do Niego, zwłaszcza z długimi włosami. Ale duchowość, działania – inne. Nawet nie śmiałybym przeprowadzać paraleli.

– Włosy zahodował pan z próżności.

– Tak. Niczego bardziej nie pragnę: ja się ożenię, ożenię! Więc ciągle wpatruję się w tę fotografię.

– To jakby projekcja szczęścia. Tu można przecież przychodzić, codziennie. Mogą się państwo spotykać. W miłości nawet dotyk ręki jest nagrodą.

– Tak. Ona pracuje jako pielęgniarzka.

– Może telefonować, ma wolne dni po dyżurach, są niedziele. Więc jest dobrze. Nie grozi panu izolacja.

Westchnął i nic nie odpowiedział. Obliznął usta. Były splekane i

nadmiernie czerwone. Na policzkach pojawiły się rumieńce. „Pewnie miał wlew, jest zmęczony. I już pije kawę, - zastanawiałam się niespokojnie.

– Wie pani. Sto razy pytałem, czy będę mógł współżyć? To jest dla mężczyzny najważniejsze.

– ? – Nie pytałam o nic. Patrzyłam zdetonowana.

– Mam raka jąder. Chcę tej dziewczyny, domu i dzieci. I niczego więcej.

– Aha, aha.

– Lekarz tylko pochyła głowę. A ja pytam, ciągle pytam: czy będę mógł współżyć?

– Wie pan, jesteśmy inną plcią. Pan i ja – to młodość i dojrzałość. Z tego faktu już wynikają trudności w porozumieniu. W moim wieku wie się, co jest ważne dla mężczyzny. Ale to jest odczucie, świadomość indywidualna.

Nie zwracał uwagi na moją zgłoszoną korektę do jego postawy. Mówił dalej, coraz gwałtowniej.

– Pytałem siostrę przełożoną. Poszedłem na nocny dyżur – z papierosami, kawą i ptasim mleczkiem. Gawędziliśmy. Noc późna, a odpowiedzi nie ma. Jakby wszystko było za zasłoną. Nic!

Ordynatora też pytałem. Pani wie, co ten wysportowany Don Juan powiedział?

– ?

– Zbył mnie. Opowiadał o osiągnięciach nauki, podróżach, swoich zagranicznych praktykach.

– Wie pan, to są sprawy intymne, wprawiają w zakłopotanie. Może za wczesny etap leczenia na rokowanie? Stąd ta ogólnikowość, spłykanie tematu. Trzeba się wyciszyć, nawet porozmawiać z...

– Psychologiem? Nie jestem „psychol” z natręctwami. Chodzi o zasadnicze funkcje życiowe! Zbudowałem dom z kominkiem, zasadziłem drzewa owocowe, krzewy. Różaneczniki tej wiosny to wręcz oszalały! Wyposażyłem ten dom, wypieściłem każdy detal. Jest jak cacko. I funkcjonalne! – gestykulował. Rumieniec na jego twarzy stawał się coraz jaskrawszy.

– Rozumiem pana.

– Jak pani myśli? Co będzie ze mną? Z moim życiem?

– Za dwa dni niedziela. Przyjdzie pana dziewczyna. Uspokoi się

pan, wyciszy. I nacieszy! Za dużo pytań. Pragnie pan życia. Odpowiedź jest w tym pragnieniu. Jest w panu. Bardzo zdeterminowana, wyraźna.

– Tak pani myśli? Znerwicowałem się, cholera! Ciskam się jak piłeczka pingpongowa! Bo to męska rzecz!

– Więc po męsku proszę. Bez rozterek!

– Ale boję się, coraz bardziej.

– To ludzkie. Proszę swoje lęki tłumaczyć sobie łagodnie. Dał pan przecież odpowiedź siłaczowi. To miejsce całe jest ze strachu, z zagrożenia. Tu wszyscy się lękają – lekarze również. Ale jest dużo: Cud, nadzieja, miłość, odwiedziny, praca, Bóg.

– Wie pani, ona jak przychodzi, to tylko rozgląda się po ścianach, jakby tam zapisane były wszystkie, tragiczne diagnozy, zmarnowane życiorysy. Potem leciutko całuje mnie, głaszcze po ręce. Owszem, robi z siostrą zakupy do domu. Ostatnio kupiły kanapy i fotele. Skórzane. Takie chciałem. Lubię zapach skóry. Trochę poluję.

– No, widzi pan. Wszystko układa się pomyślnie.

– Tak pani myśli?!

– Tak myślę.

Mężczyzna podniósł ręce i założył je za głowę, splatając palce. Kołysał się lekko, marzył, jakby wiatr od kwitnących krzewów niósł różowe płatki i sypał je pod nogi stąpającego ku niemu Bóstwa, Cudu.

Umilkliśmy. Każde z nas popychało swój życiorys ku ogrodowi i plażom pełnym śmiechu i słońca, ku soczystym owocom i ołtarzom, na których Chrystus uśmiecha się i mówi „Ufajcie, ufajcie.”

I gdy przy mężczyźnie stanęły dwie kobiety, ta śliczna z fotografii, i druga, tęga i dobroduszna, ucieszyliśmy się oboje.

Dziewczyna Cud przez chwilę błdziła z wylęknieniem oczyma po ścianach, a potem ogarnęła go za szyję ramionami. Druga całowała kątem ust jej policzek.

– Daj mi trochę miejsca – żartowała tęga.

Długie, jasne włosy dziewczyny spadały gęstym pasmem na ramię mężczyzny. A on coraz unosił ręce i to pasmo obiema rękami głaskał wzdłuż i wzdłuż, jakby zatrzymywał złoty strumyk na swoim sercu.

Odeszłam. „Boże, uratuj ten dom i tęsknotę” – modliłam się stojąc przy oknie, w ciemnej części korytarza. Od miasta dobiegał szum ulic, gęsty i oddzielny.

– Co pani tam stoi? Ma pani wlew, szukam pani – siostra B. głośno wyraziła swoje niezadowolenie.

– Przepraszam, przepraszam.

– Niech pani szybko idzie na swoje miejsce, już! – siostra B. pogroziła mi paluszkiem i kokieteryjnie uśmiechnęła się do przechodzącego lekarza. Oboje byli młodzi i pulchni jak dwa dorodne kabaczki. Roześmiałam się, nareszcie się roześmiałam!

— Anna Gniewkowska —

Ucieczka z ulicy Złotej

(fragment większej całości)

Joanna podcięła sobie żyły akurat w tym momencie, kiedy Elżbieta siedziała w swoim pokoju zajęta „łapaniem czasu”, jak to nazywano żartem, czyli wpatrywała się w pustą, wręconą w maszynę kartkę, usiłując zapisać te wszystkie ulotne fantazje, które kłębiły się w jej głowie przez całą noc. Była przy tej czynności zupełnie nieobecna i nieprzytomna. W pewnym momencie postanowiła przerwać jednak ten na poły przyjemny, na poły denerwujący stan wyobcowania i zrobić sobie filiżankę herbaty. W kilkanaście minut później buszowała nerwowo po apteczce, usiłując jednocześnie podać Annie szklankę wody i zrobić jej opatrunek. Rany okazały się niegroźne, co po części było do przewidzenia. Jak zwykle usiłowała pozbać się życia w sposób wprawnie nieskuteczny – pomyślała z odrobiną ironii, odcinając końce bandaży. To nie po raz pierwszy i na pewno nie ostatni przecież. Teraz należało wykazać dużo cierpliwości, wysłuchać całej historii od początku do końca, a potem przez całe wieki pocieszać, pocieszać, pocieszać... jakby nic innego nie miało się do roboty.

W pokoju jest zimno. Joanna budzi się i siada na łóżku. Opuszkami palców masuje sobie skronie kolistymi ruchami, jakby usuwała nadmiar kremu. Ale usiłuje tylko pozbyć się snu, zapomnieć o nim – to wielka sztuka, wymaga wprawy i poświęcenia.

Elżbieta piekła ciasto w ostateczności. Nie cierpiała babrać się w tej gęstej mączno-jajecznej masie. Klęła przy tym i pomstowała w duchu. Czasem była gotowa uderzyć całą miską tej brei w kafel-

ki nad stołem. Wtedy zwykle dołączała się Joanna... Jej ciasto rosło wysoko, w gwałtowny, wulkaniczny sposób, pękając na wierzchu. Placki Elżbiety były zwykle smętne i spłaszczone, jak gdyby wyrażały melancholię wytwórczyni. Zawsze była zdziwiona, jak z jednego piekarnika mogły wychodzić dwa wypieki z całkiem przeciwnymi efektami.

– Jak Joanna mogła zrobić coś takiego, jakież to żenujące, jakie niepoprawne – zastanawiała się zrywając z niechęcią ostatnie owoce agrestu, z tego na wpół zdziczałego krzaka pod lasem, którego owoce długo nie mogły dojrzeć; wisiały na krzaku cierpkie i osowiałe, a potem nagle, rzec by można bez zapowiedzi, nabierały ciemnoczerwonej barwy, popękały i czekały nie wiadomo na co. Skrzywiła się z niesmakiem. Nadpęknięte owoce miały już swoich lokatorów – mrówki. Tłoczyły się na brzegach słodkiej rany. Starala się zrywać tylko te całe, bez przekonania, tylko po to, żeby ulżyć ciężarowi umęczonych gałęzi. Owoce, za którymi nikt nie tęsknił, nie potrzebował...

Potem trzeba będzie co jakiś czas zaglądać do piwnicy i kontrolować to, co działo się we wnętrzach szklanych słoików, które znudzone trwaniem w bezruchu, trafiały na manowce własnych rojeń wykwiwały własną pleśnią. Matka wydawała jej nieustanną walkę, przegotowując, wyparzając, przeklinając... A one wstawione na ciemne półki zasklepiały się w sobie, zarastały własną pamięcią, pod scukrzoną skorupą, nie do przebiccia...

Ogród powalony miotłą upału ożywił się trochę wieczorem. Stawiając pełny kosz w cieniu, Elżbieta zastanawiała się, kiedy życie ich rodziny wymknęło się spod kontroli, a w pewnym momencie zaczęło przypominać garderobę wędrującej, teatralnej trupy z wiecznym bałaganem i zamętem, pośród porozrzucanych kostiumów do następnej sztuki, w których oni – aktorzy brodzili bez końca.

Trudno było powiedzieć, kiedy zaczęło się owo dziwne zagmatwanie. Myślenie o tym było jak otwieranie drzwi do ciemnego pokoju, kiedy mrukliwa ciemność cofa się o krok od wejścia i układa się dalej w głębi, gdzie leżą ciemności poprzednich dni i nocy, które teraz na próżno wskrzeszać, zbyt były nasycone własną, glu-

chę materia... Może zaczęło się już wtedy, kiedy brat wrócił po wakacjach i rzucając w kąt kuchni wypchany plecak, powiedział, że nie wróci już na studia. Późnym wieczorem zastała go skulonego nad filiżanką wystygłej herbaty. – Jestem zmęczony – powiedział apatycznie. Dobrze go rozumiała. Trwała w takim stanie od wielu lat, zapomniała nawet, że można go nazwać patologią. Nawet na to nie miała siły. Wzruszyła ramionami i poszła do swego pokoju. Zanim zasnęła, zajęła się przypominaniem dni, które wspominała jako najszczęśliwsze – kiedy wstawała rano tak wcześnie, że inni pogrążeni w śnie nie mogli jej dopaść. Nie podglądana, ani nie strofowana przez nikogo, przechodziła przez ogarnięte mrokiem pokoje. Opuszczone zasłony broniły jeszcze dostępu wczesnego, porannego żaru, który zapowiadał późniejszą, południową gehennę. Stawała w oknie odsuwając nieco ciężką materię, oddając się atakowi słonecznego ognia...

Przez moment czuła się płaska, wygładzona do zaniku przez jego dojmujące ciepło. Chwilę później, słysząc odgłosy z dalszych części domu, odzyskiwała trzeci wymiar, nagle prawie boleśnie uczłowieczona.

W takie ranki przychodziło jej do głowy, że skoro przez kilkanaście lat ukrywa się coś w tajemnicy, wznosi wokół tego specjalny gmach, coś jakby schron czy bunkier i kiedy ściany tego gmachu rozpadają się, a sekrety zostają ujawnione, to nie ma sensu podejmować odbudowy według tego samego planu, skoro mury twierdzy nie mają czego kryć, wtedy życie musi się zmienić...

Bracia

Teraz już rzadko kto zapuszczał się w te uliczki stanowiące gorszą, mroczniejszą część miasta. Już spękany asfalt stanowił pierwsze ostrzeżenie... Dalej były już tylko ściany pustych magazynów i ruiny fabryki, wszystko pokryte pachworkiem wilgoci i graffiti. Uliczki skręcały w lewo i prawo wzdłuż ogrodzenia na tyłach budynków stojących frontem do głównej ulicy – niby tak niedaleko od głównych arterii, ale wiodących swój osobny, mętny żywot.

W powietrzu unosił się tutaj wieczny, stęchły zapach gnijących liści, brudnego, butwiejącego drewna i przepełnionych śmietników. Wielkie, kwadratowe okna fabrycznej hali sterczały ostrymi zębami wybitych szyb. Pomiedzy ogrodzeniem a murem widać było wąskie podwórze zarośnięte zieliskiem i pokrzywami, wysokimi prawie jak małe drzewka. W płocie widoczna była dziura, zasłonięta prowizorycznie kawałkiem dykty, tworząc sekretne przejście nie wiadomo dla kogo – na podwórzu panował bowiem bezruch, cisza i pustka, przerywane tylko czasem odgłosem jadącego autobusu i skrzekiem ptaka. Były to jednak pozory nieobecności. Uważniejszy przechodzień mógł bez trudu zauważyć pozostawione niedawno odpadki – puszki po jedzeniu, po piwie, stare ubrania, zardzewiałą miskę, a dalej w głębi podwórza sklecony budynek z dykty – popękanej i wypaczonej przez deszcz. Na drzwiach owego budynku wisiała, o dziwo, solidna kłódka. Tam mieszkał ów przedziwny klan śmieciarzy, do którego należeli trzej bracia. W dzień z rzadka było ich widać na głównych ulicach. Tak jak rdzennych mieszkańców nie można było spotkać tutaj. Tutaj mieszkali ci, których obecność spędzała sen z powiek szacownym obywatelom miasta, a których aptekarz określał bez pardonu „tandetną odmianą człowieka”.

W dzień panowała tu cisza i bezruch. Dopiero wieczorem wszystko ożywało. Widać było ściągających zewsząd rdzennych mieszkańców tej metropolii, wlekli za sobą zdobyte łupy – kartony, butelki, stare szmaty. W zapadającym zmroku wyglądali jak niemrawe owady taszczące swoje zdobycze do gniazda. Byli wśród nich tacy, którzy nie okazywali strachu przed blichtrzem głównej ulicy, beczelnie grzebiąc w śmietnikach o poranku czy wręcz w środku dnia, ukazując światu swoje naznaczone zepsuciem i rozkładem twarze, ogłupiałe od denaturatu i wody brzozonej, obrzucając spojrzeniem przekrwionych oczu przechodni. Wyróżniali się wśród nich trzej bracia – wystrzeleni głupio wzrostem, niedorzecznie wyogromnieni, obracali ku nam mięsiste, czerwone twarze, wykrzywiając je często bezzębnym uśmiechem. My, dzieci, uciekaliśmy w panice. A starsi szeptali w magistracie, że trzeba z tym skończyć. Osobnikom tym często towarzyszył pies w czarno – białe łaty, o sierści pozlepianej brudem i nędzą starości, który czekał cierpliwie, aż skończą przetrząsanie śmietników, żeby powlec się

za nimi ciężkim krokiem kogoś, kto nie widzi przed sobą przyszłości. Rzucaliśmy mu czasem kawałki mięsa wykradzione przy obiedzie – połykał je w całości, nie zaszczycając nas ani jednym spojrzeniem.

Jawną i bezczelną obecność tych trzech tolerowano z niechęcią, ze względu na ich ojca, Ksawerego Plewkę, jedyne go szewca w mieście. Niepokaźny, szary staruszek miał jedyny zakład szewski i cieszył się pewnym szacunkiem. Pochylał się co dnia nad kopytem z tą swoją wyjedzoną przez życie twarzą i wiecznie łzawiącymi, odbarwionymi i niewinnymi oczami. Mały i zabiedzony – był do cna szewcem. Pachniał skórą, a jego powykręcane, czarne palce pieściły buty, polerowały, poprawiały, co tam było jeszcze do poprawienia, dawał im odrobinę życia... Nigdy nie podnosił głowy i nie patrzył w okno w obawie, żeby nie ujrzeć za szybą swoich synów, którzy w żadnym wypadku nie byli osłoną jego starości.

Byli również cierniem w życiu jego żony Elwiry Plewki z domu Skorek. Nie o takim życiu marzyła i na pewno nie o takich synach. W duchu wierzyła, że owi trzej bracia, opóźnieni w rozwoju, są karą za grzechy, które kiedyś popełniła jej babka Róża, a których część ludzi z miasteczka na pewno nie zapomni. Elwira w końcu umarła ze zgryzoty a Ksawery został sam, obarczony niejako w spadku tą świadomością, przepraszająco schylony nad kopytem, skręcony w poczuciu nieustającej winy za tych trzech, którzy żerowali na zdrowych trzewiach miasta, mieszkających na tyłach, w głuchej zatoce ulic, z których nie było już wyjścia...

— Aleksander Miśkiewicz —

„Białystok”

Statek o tej nazwie zobaczyłem po raz pierwszy w noc sylwestrową z 1959 na 1960. Zorganizowali wówczas zabawę sylwestrową pracownicy portu w Szczecinie. Nie pamiętam, komu to przyszło wtedy do głowy zaprosić na nią.. harcerzy. I to jeszcze dla pilnowania porządku. Wybrano drużynę starszoharcerską, same wysokie, przystojne chłopaki. Przyszliśmy w bluzach z chustą, krzyżem i sznurem, ale zamiast krótkich spodenek i podkolanówek mieliśmy czarne spodnie od garniturów, a na nogach lakierki. Wyznaczono mi wraz z dwoma kolegami dyżur przy wejściu do sali tanecznej. Podzieliwszy ją na sektory, witaliśmy przychodzących, prowadziliśmy do stolików i – stając na baczność – życzyliśmy dobrej zabawy.

Na jednym ze stolików w moim sektorze zauważyłem duży napis na papierowym obrusie: REZERWACJA – „BIAŁYSTOK”. Bal odbywał się na terenie Stoczni, uczestniczyły w nim zatem także załogi statków. Ilu było marynarzy z załogi MS „Białystok”, nie pamiętam. Wyprostowany na baczność życzyłem im wesołej zabawy i popędziłem witać następnych gości. Jednak myśl, że stoi w porcie statek o nazwie miasta, które nie było mi obojętne, nie dawała mi spokoju. Postanowiłem przy najbliższej okazji zobaczyć go. Zabawa trwała w pełni, a my patrzyliśmy, jak bawią się dorośli. Cały czas myślałem o tym statku.

I oto wybiła dwunasta. Orkiestra zagrała co należy i poszła coś zjeść. Wszyscy wszystkim życzyli wszystkiego dobrego. To była dobra chwila, by wyrwać się z sali. Z kolegą wyszliśmy na teren portu i nagle wyrósł przed nami olbrzymi kadłub statku. Był już

po rozładunku, stąd ta wysokość. U góry, na dziobie widniał napis „Białystok”. Jeszcze wyżej, na przednim maszcie, u jego szczytu, świeciła się mała choinka. Taki zwyczaj panuje na polskich statkach w okresie świątecznym, niezależnie od tego, na jakiej znajdują się szerokości. I chyba stalibyśmy tam długo, czytając wciąż nazwę statku, gdyby nie to, że nagle zjawił się żołnierz z WOP-u.

– Harcerze, co wy tu robicie? Nie wiecie, że ten teren to granica?

– Wiemy! - i wskazując palcem powiedziałem: „Białystok”.

Żołnierz, jakby nie dowierzając, sam popatrzył ku górze.

– No i co z tego, że „Białystok”? Cóż to, Białystok nie może mieć swego statku?

Zaczęliśmy się tłumaczyć, że przyszliśmy go zobaczyć i że „pracujemy” na zabawie sylwestrowej.

– Wy, harcerze, pilnujecie porządku na zabawie dla dorosłych? – zdziwił się żołnierz, ale zaraz nas przepędził:

– No, harcerze, w tył zwrot, wracajcie na zabawę!

Wróciliśmy do świetlicy. Po drodze, jeszcze raz odwróciwszy się, spojrzałem na statek. Żołnierz jakiś czas patrzył za nami, nie mogąc chyba uwierzyć, że jacyś harcerze włóczyli się w noc sylwestrową po porcie.

Sala znów była pełna tańczących par. Regulowaliśmy światłami, raz dając wszystkie, to znów przy tangu połowę wygaszając. Miałem chęć porozmawiać z kimś z załogi „Białegostoku”, ale do stać się do ich stolika nie było szans.

Powoli zaczęli się goście rozchodzić. Sala opustoszała, lecz teraz i przy ich stoliku już nikogo nie było. Pozostały tylko dekoracje na ścianach w postaci marynarzy, statków, ryb, ośmiornic i rekinów. Z podwyższenia orkiestry przyglądał nam się wnikliwie Neptun, a miał w oczach zdziwienie żołnierza z WOP-u.

Pozostało nam jeszcze uporządkować salę. A kiedy zjedliśmy smaczny bigos i na deser tort do kawy, szef, chwając nas za dobrą pracę wręczył każdemu kopertę „z zawartością”. Były to nasze pierwsze zarobione w życiu pieniądze, więc choć kwota nie przedstawiała się imponująco, radość była duża. A moja była podwójna: i zarobek, i zobaczyłem ten statek. Później śniłem nawet, że należałem do jego załogi...

„Białystok” już dawno nie istnieje. Kiedy przekroczył swoje

lata, sprzedano go na pewno do stoczni złomowej. Taki jest los statków, jeśli już szczęśliwie odbyły swoje wszystkie rejsy. Tylko zupełnie wyjątkowo niektóre zostają zamienione w muzea – SM „Białystok” nie miał na to żadnych szans.

Miasto z moich snów

Sny przynoszą wspomnienia, choć dziwnie poplątane; trochę w nich prawdy, więcej tajemnicy i chaosu, bałaganu przeżyć, nakładających się na siebie w całkowicie nieprzewidywalnych sennych porządkach, bez respektowania chronologii zdarzeń, za to czasem z przymieszką prawie koszmaru. Niekiedy bywa jednak, że przynoszą radość przeżywanych miejsc, związanych z dzieciństwem i wczesną młodością. Powrót na jawę wywołuje wtedy chęć odwiedzenia ich; któż jednak zwróci czas miniony?

Zapadło mocno w mojej pamięci miasto, w którym nigdy nie mieszkałem, lecz przez wiele lat spędzałem tam wakacje. Położone nad wielkim jeziorem, należało do tych miast odzyskanych na Pomorzu w 1945 roku. Z mgły wspomnień wyłania się obraz, mocno już zatarty, wakacyjnych lat – pewnie pół sen, a pół jawa. Widzę park miejski, na którego jednym ze skwerów stał pomnik jakiegoś pruskiego zwycięstwa, a po jego obu stronach – armaty o wielkich kołach, z lufami wycelowanymi w brzeg jeziora. Dla przybyszów z głębi kraju czy z ziem kresowych to były armaty; dla tych, którzy przywędrowali tam z bezkresów Rosji sowieckiej, to były „puszki”. I mimo że ten pomnik niósł sławę Prusakom, naszym wrogom przecież, to jednak te armaty przyciągały całe rodziny, dając zarobić czyhającym na taką okazję miejscowym fotografom. Niebawem władze miasta usunęły ów pomnik, a obie armaty ustawiono przed główną bramą koszar. Nie stały tam długo, bo rozległy się głośnie protesty: „Jakże to – pruskie armaty przed polskimi koszarami?!” I tak zniknęły. I „zstrzeżły”, jak mówił o nich znajomy mego wujostwa, który do końca życia nie nauczył się poprawnej polszczyzny.

Więcej już na jawie niż we śnie pamiętam muszlę koncerto-

wą w tymże parku. Zbudowana jeszcze za cesarskich Niemiec, gromadziła tłumy mieszkańców w każdą letnią niedzielę. Koncertowały w niej najczęściej dwie miejscowe orkiestry, Kolarzy i Wojskowych. Kolarze grali lepiej, bowiem stanowili dobrze zgrany stały Zespół, a Wojskowi stale musieli wymieniać muzyków. Tańczyły w tej muszli zespoły ludowe i nigdy nie obeszło się bez krakowiaka. W te niedziele ustawiano obok muszli stoiska, na których sprzedawano słodycze, jakich często nie można było kupić w sklepach. Oblegano je, wrywając sobie z rąk wedlowskie czekolady, praliny i wafle w polewie kakaowej. Cóż to była za radość i uczta: zatopić zęby choćby i w wafłu, kiedy czekolady już nie starczało!

Młodzież, jeśli nie wyjeżdżała na wakacje, to wymyślała sobie różne zabawy. Pewnego późnego popołudnia, kiedy zaczęło się już zmierzchać, poszliśmy z kolegą na cmentarz, który znajdował się na końcu ulicy Lipowej. Niedaleko mieszkali moi wujostwo. Zależało nam, by zaimponować odwagą miejscowym dziewczętom. Ale już z samego brzegu alei rzuciliśmy się do ucieczki, budząc raczej ich głośną wesołość niż podziw. Oto z głębi posuwał się orszak białych postaci, z zapalonymi świecami w rękach... Kiedy zjawy wyszły za nami na ulicę, okazało się, że to nasi starsi koledzy z gimnazjum, nakrywszy się białymi prześcieradłami, urządzali sobie wieczór duchów.

Ale i nam, smarkaczom, przyszedł do głowy wspaniały pomysł. Kiedy znudziło się nam grać w piłkę, urządzaliśmy wyścigi na drewnianym molo, nie zabezpieczonym na końcu drewnianym płotem, gdzie dobijał statek. Owe wyścigi polegały na tym, aby zamknąwszy oczy iść w tamtym kierunku. Wygrywał ten, który najdalej zaszedł... No i pewnego razu zwycięzca byłby niechybnie utonął, gdyby nie uratował go mężczyzna łowiący w pobliżu ryby. Potem ganiał nas z pasem po parku, nie mogąc się zdecydować, komu wlać najpierw – mokremu czy suchemu. Wdzięczni mu nasi rodzice pobiegli z miejsca do delikatesów, bo akurat pokazały się praliny. Najwięcej krzyczał na nas ten pan, znajomy wujostwa, który nie najlepiej umiał mówić po polsku: „Ot, smarkuli, lezuć na most i jeszcze zamrużywać oczy.”

W mieście kursowały czerwone autobusy. Ich ostra czer-

wień mocno odbijała się pośród ściemnionej cegły budowli neoromańskich i neogotyckich, jakich wiele było w centrum. Największym neogotykiem był kościół Mariacki z 78-metrową wieżą. Wyrastała ona ponad dachy budynków, a choć i ratusz miejski i budynek Straży Ogniowej też miały wieże, to gdzie im było się równać z tą mariacką. Jej dzwony regulowały rytm życia mieszkańców. Kiedy dzwoniły w samo południe, kobiety z ulicy Lipowej kończyły pogawędki i powracały do swoich zajęć. A słysząc je po południu mówiły: „Dal Bóg, że przeżyliśmy ten dzień.” Z wujem Bronisławem często jeździliśmy autobusami, ot tak, bez celu. Jechaliśmy do koszar, tych, przed którymi stały pruskie armaty, a stamtąd na drugi koniec miasta. Tam także znajdowały się koszary, z tą jednak różnicą, że mieszkający w nich żołnierze mieli na czapkach czerwone gwiazdy. Bywało, że na miejscowym stadionie kibicowaliśmy z wujem piłkarzom „Darzboru” – dumie miasta. Podczas przerw w meczu przygrywali – jak zawsze – Kolarze. Po jeziorze pływały dwa statki, wożąc pasażerów na przeciwny brzeg, gdzie pełno było krzaków malin. Pływałem z rodzicami i z wujostwem, podczas jednych tylko wakacji, kiedy to urządzaliśmy te wyścigi z zamkniętymi oczami, za karę nie zabrano mnie w rejs. Pewnego dnia ktoś tam z „góry” zarządził, by jeden statek przenieść nad Wartę, do Poznania. Po wielu latach były mieszkaniec tego miasta, dziś białostoczanin, powiedział mi, że widział go w latach sześćdziesiątych na... przystani w Augustowie.

Czas już kończyć te senne wspomnienia. Dodam jeszcze tylko, że w mieście tym spotykałem mieszkańców z rodowodem białostockim i lubelskim. Byli również tak zwani repatrianci, najwięcej z Grodzieńszczyzny. Do nich należał wuj Bronisław. Jako rodowity grodnianin zawsze podkreślał, że pochodzi z miasta króla Stefana Batorego i Elizy Orzeszkowej. I że płynący przez Grodno Niemien to rzeka, jakiej nigdzie nie ma na świecie. Nie mógł pogodzić się z tym, że jego obecne miasto, za cara – gubernialne – w niepodległej Polsce stało się tylko siedzibą powiatu. Nie czuł urazy do Białegostoku, że właśnie to miasto, a nie jego, stało się wojewódzkim, lecz kiedy rozmawiał na ten temat ze znajomymi z Białostoczczyzny, zawsze go ponosiło i wywiązywała się sprzeczka.

Długo, już długo nie byłem w tym mieście. Wiem, że jeśli

tam pojedę, nie spotkam wuja Bronisława ani kolegi, który się to-
pił; nie zobaczę też Danki, mojej wakacyjnej sympatii, której w
każde wakacje obiecywałem, że jak dorosnę, to się z nią ożenię.
Była niecierpliwa i po zdaniu matury wyszła zaraz za mąż i wyje-
chała gdzieś w nieznane. Z dawnych lat pozostała jeszcze cukier-
nia przy placu Wolności, w której pyszne ciastka sprzedawała moja
druga sympatia, Henia. Niedawno ją śniłem. Jej też obiecywałem
to samo, co Dance. Kiedy tam pojedę, zajrzę do tej cukierni i spy-
tam o nią.

— Henryk Kruszyński —

Wypadek rowerowy

Opowiadał mi frater Adalbertus:

Pewnego letniego dnia, podróżując z fratrem Honestusem rowerami po Bieszczadach, zatrzymaliśmy się na odpoczynek na pięknej polance. Z jednej strony otaczały ją wysokie krzaki jałowca, z drugiej otwierała się na szeroki dukt leśny, którym przyjechaliśmy. Kiedy już – posileni – zaczęliśmy się zbierać do dalszej jazdy, przyjechało dwóch następnych, też zapalonych turystów rowerowych, sądząc po ich mapach i wypchanych sakwach. Spotykaliśmy się na odludziu, więc była to dobra okazja do rozmowy: wymiany informacji o przebytej drodze i stanie szlaku, którym obie ekipy podążały w przeciwnych kierunkach. Jednak zanim do rozmowy doszło, zdarzył się wypadek. Obydwaj nadjeżdżający rowerzyści, skoro tylko nas zobaczyli, skręcili ze ścieżki leśnej w kierunku naszej polany. Nie zauważyli jednak rowu. Skutkiem tego jeden z nich wpadł do niego przednim kołem i, jak to mówią turyści, „wywinął orła”. Podrapał sobie przy tym dość poważnie całą rękę. W czasie robienia opatrunku /a obie ekipy pielegnowały cnotę roztropności i miały apteczki/ dużo mówiliśmy o pechu, i że to fatalnie, że takie zło dotyka w niezawiniony sposób całkiem porządnym turystów.

Gdy tak się wzajemnie utwierdzaliśmy w ocenie wypadku, zza krzaków jałowca wyszedł nagle gruby brodaty jegomość: sądząc po mundurze – leśnik, ale w butach dziwnie mu świeciły jaskrawozielone sznurowadła.

– Hola, hola, panowie – krzyknął zbliżając się do nas – czy to wypada tak narzekać?

– Ale ręka kolegi jest jednak mocno zraniona... – zacząłem wyja-

śnienia, ten jednak zagłuszył mnie tubalnym głosem:

– A NIE CZYTALI PANOWIE w księdze Hioba, że skoro dobro przyjmujemy od Boga, to i zło też czasem wypada przyjąć? I to niezawinione! Współczuję pana cierpieniu – tu leśnik skłonił głowę w kierunku obandażowanego – ale bywają gorsze sytuacje. Sam Hiob najpierw stracił spory majątek, potem żonę i dzieci, a potem odkrył w sobie nieuleczalną – w tamtych czasach – chorobę. Co więcej, jego najlepsi przyjaciele wmawiali mu zawzięcie, że to wszystko skutek jakichś jego wielkich grzechów, czego – po zbadaniu sumienia – nie mógł potwierdzić. Hiob nie zlorzeczył Bogu, lecz Go ciągle wielbił.

– A kim pan właściwie jest, leśnikiem czy biblistą? – zdążyłem wtrącić.

– Ani jednym, ani drugim – odparł nieznajomy. – Szuszwol ze Swarzyndza, do usług. A jeszcze panom powiem, że Pan Bóg na ogół ze zła, które nas dotyka, zawinionego czy niezawinionego, wyprowadza jakieś dobro, które jest większe od tego zła. Trzeba się tylko modlić i obserwować życie wokół nas. – Tu nieznajomy uśmiechnął się i zniknął za krzakami jałowca.

Kiedyśmy już jechali dalej leśną ścieżką, trawa pod naszymi kołami przez długi czas połyskiwała intensywnym, jakby fluorującym zielonym światłem.

Świnie

Opowiadał mi frater Adalbertus:

Zatrzymałem się kiedyś obok jakiegoś gospodarstwa i, wyciągawszy moją pielgrzymią kanapkę, zacząłem ją powoli przeżuwać. Obok płotu wielka świnia pracowicie ryła błotnistą ziemię. Wtem pojawił się drugi pielgrzym: jakoś niestaranie ubrany – jedyną bodaj czystą rzeczą w jego stroju były jaskrawozielone sznurowadła w butach, teraz w świetle południowego słońca wyjątkowo ostro kłujące w oczy. Wyciągnął swoją kanapkę, ale nim się w nią wgrzyzł, zaczął, ni to w moim, ni to w świni kierunku, taką

przemowę:

– Tak, tak... Była garstka ludzi, którzy mieli wszystko: mieszkania, samochody, sklepy za złocistymi firankami i dużo wszelkich dóbr na każde niemal życzenie. Przyzwyczaili się do tego, chociaż reszta żyła na granicy biedy. I mówiono o nich, że mają swoje ryje już przyspawane do koryt. I że odspawanie będzie boleć, oj, bardzo będzie boleć. Ale to nie ich czekają te męki odspawania, tylko nas wszystkich.

– Jak to – próbowałem zaoponować – przecież my akurat nie...

Pielgrzym nie dał mi dokończyć:

– Tak, tak... Jak się, kochany, dostaniesz do czyścica, to sam zobaczysz: aniołowie Pańscy od razu cię wezmą w swoje ręce i – z całym szacunkiem – twój ryj też ci odspawają od koryta.

– Ale ja przecież nie... – znowu próbowałem zaprotestować. Pielgrzym kontynuował swoje:

– I jeszcze aniołowie będą ci borować w duszy, szlifować serce, wyklepywać intelekt, i to też będzie boleć.

– Jak to możliwe, że aniołowie będą nas tak męczyć? Czy czyściec naprawdę jest taki ciężki? – dostałem się wreszcie do głosu.

– Nie myl, kochany, gabinetu tortur z gabinetem lekarskim. Jeśli idziesz do dentysty, to celem nie jest zadawanie bólu, ale naprawa zęba. A że czasem boli? Im bardziej zaniedbasz zęby, tym głębiej muszą ci wiercić, żeby usunąć to, co zepsute, i żeby zrobić miejsce na coś szlachetniejszego, co ci w ten ząb wstawią.

– A jakbym tak poprosił, żeby poczekali?

– No to będziesz czekał, ale dłużej niż do końca świata, bo to już będzie po końcu świata. A inni będą cię mijać...

– A nie ma nikogo, kto by takiej naprawy uniknął? – spytałem nieco zaniepokojony wszechwiedzącego pielgrzyma.

– A i owszem: część ludzi przechodzi przez czyściec dość szybko; tylko im to i owo wypolerują do błysku i proszą dalej – tam miejsce jest wiele. Wychodzi na to, że są to tylko pustelnicy: tacy nie mają nic albo mają niewiele, to i nie przywiązują się do niczego, a cała reszta to już tej szansy nie ma. Poza tym do życia trzeba przecież mieć...

Nieznajomy i teraz nie dał mi dokończyć:

– A to się bardzo mylisz, kochany. Co trzeba mieć do życia, to

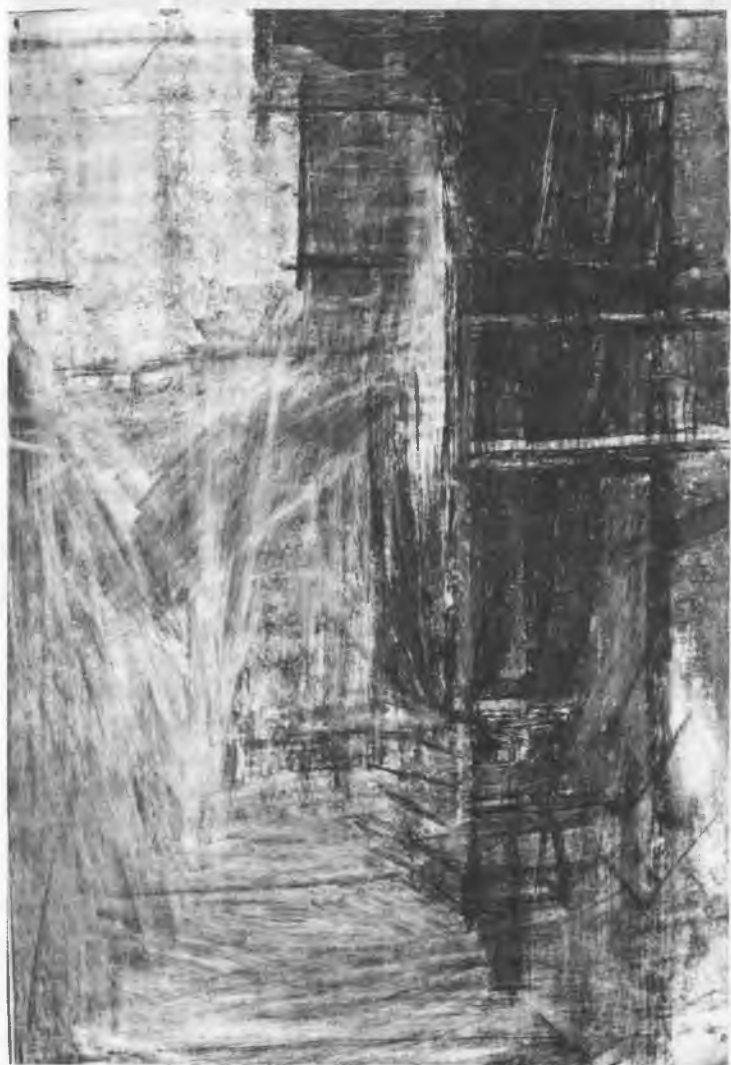
mniej więcej wiadomo. Ale co innego mieć różne rzeczy i je sensownie wykorzystywać, a co innego zachłystywać się nimi i niczego poza tym nie widzieć. I trzeba być gotowym do utraty tych zwłaszcza rzeczy, do których już się przyzwyczaiłeś. Zwierzę ci się – tu nieznajomy zniżył głos niemal do szeptu – wydaje mi się, że wszystko bym mógł stracić bez wielkiego żalu, oprócz radia... Sam rozumiesz: kontakt z muzyką... Jak posłuchasz Bacha czy Haendla, to czujesz się jak w przedsionku raju. Poza tym słuchanie muzyki rozwija inteligencję, łagodzi obyczaje...

– A kim ty właściwie jesteś i skąd znasz zwyczaje aniołów, zwłaszcza w czyśćcu? – zdobyłem się wreszcie na odwagę i zadałem nurtujące mnie pytanie.

– Ja to ja: po prostu Szuszwol ze Swarzyndza – odparł lekko nieznajomy.

Zamyśliłem się nad korytem, ryjami, dentystami, czyściami i aniołami. Kiedy się ocknałem, tamtego już nie było. Pod płotem świnia zapamiętała coś wciskała w ziemię. Spojrzałem: był tam niemiłosiernie pognieciony głośniczek, jakieś druciki, a potem błysnęły jeszcze w słońcu dwie jaskrawozielone baterijki.

Na licencji Włodzimierza Fenrycha



Lukasz Gireń

Barbara Antonowicz

Napiszę do Ciebie list
to ostatnia kartka na tym drzewie
obejmę mocno ciemność
bo tylko tam jeszcze jesteś ze mną
na kopercie złożę przysięgę milczenia
adresem będzie pustka
kiedy przyjdzie listonosz
odpowiem przed nim karnie za wyznanie uczuć
potem zamknę oczy by uwolnić myśli
potokiem spływające
zamknę drzwi, wyrzucę klucz
i będę wierzyć, że śmierć to nie dziś

Złoty pierścionek z czerwonym oczkiem
jak najśłodszy lizak pyszni się w słońcu
krwawa esencja truskawki
niebiański smak niedostępny w kryształowej oprawie

Dorota Brańska

Nie zapomniane

Złapać uciekającego motyla
za koniec skrzydelka
o tak
i niech po oczach trzepoce
chwilą piękna
a niech tam
i zamknąć go w sercu
na zawsze
jak zasuszony fakt

27.06.2000

Na łące

Tak usiąść
na pachnącej ziołami łące
pod parasolami gąbczastych obłoków,
spoza których raz po raz zagłada
w nasze twarze słońce,

patrzeć na stareńkie topole,
suchą drogę i las i piaszczyste pole,
nie zazdrościć radosnej biedronce
jej swobodnych napowietrznych skoków:

otulić się ciszą ciepłych myśli
jak welnianą chustą w wieczory zimowe
i zawołać świerszcze, pszczoły, trzmiele
na podniebny przezroczysty koncert

i na trawie położyć zmęczone stopy
równo, prosto, wygodnie, no i bez obawy,
że wypełźnie zdrada spod zielonej trawy;

blógo poddać się miłym wspomnieniom,
co – jak babcie przy piecu – na dnie serca drzemią,
albo czucie skupić w tę jedyną chwilę,
która może dobra w nasze życie tchnie
tak jak podmuch wiatru na skrzydła motyle.

04.09.99

Krzysztof Dąbrowski

Do Niej

Jesteś bez skazy
Twa niewinność cudowna
Twa cera delikatniejsza od jedwabiu
Twe usta słodkie
Twa dusza mi bratnia
Twe ciepło dla mnie
Twa miłość do mnie
Twój czas mi poświęcony
Twe życzenia do spełnienia
Nie będąc z tobą
Nie potrafię być sobą
Jesteś mi przeznaczona
Dla ciebie życie poświęcę
Szkoda tylko, że nie istniejesz

Zwierz

Co to za zwierz
Co domu swojego nie szanuje,
Wywyższa się ponad innych,
Nadzieja matka jego,
Własny gatunek na cierpienie skazuje,
Jedynie lustro ma przed oczyma,
O nic nie dba, o nic się nie troszczy
Nie pies, nie wilk, nie puma
To ty i ja.

Bełkot

Widziałeś?

Co?

Wszystko!

Nie!

A nic?

Tak!

Jak to?

A tak.

Aha.

Czas

Momentami zastanawiasz się nad przeszłością

Nad tym, co się stało za twą sprawą

Teraz będąc innym człowiekiem

Nie pojmiesz, kim byłeś

Każda kolejna chwila czyni cię innym

Każde kolejne ziarnko piasku

w klepsydrze życia

zmienia cię na zawsze

Stajesz się mniej osobą, którą byłeś,

a więcej osobą, którą będziesz

Powiedz, kim jesteś teraz?

Przeszłości nie zmienisz

Przyszłości nie poznasz

Co uczynisz z teraźniejszością?

Dawid Klepadło

jesień '05

został tam pamiętnik
kilkunastu wiosen
niewinnych zim
i gorących lat

pogubione puzzle
jeszcze śpią pod szafą

po śladach dni
przykrytych liśćmi
nową historię pisze wiatr...

sztuka niekochania

miłość jest niepotrzebna
tylko budzi zaspane nadzieje
zniewala zmysły

opętała
serca ludzi
błądzi
obserwuje
szuka
aż kiedyś się zgubi...

Mamo

wytarłaś moje łzy

trzymałaś za rękę
kiedy stawiałem nowe kroki

dałaś miłość
bo któż nauczy życia

więc życie mnie uczy

młodzieńcza miłość

ani jej
ani mnie
ani im
nie prysnął czar...
przyszła
i rzuciła ża

oswojona w sercu
niepokonana przez zmysły...
- taka na zawsze zostanie

Ryszard Kondratowicz

Nie tętnij

Życie, które nie ma żadnych łez, nie ma swoich murów,
tętni dniem śmiechu,
odwraca się od siebie,
rozdawia.

Nie oddaje pustych rąk
w ich dziełach
życie nie stanie się darem miłości
nocnego głazu,
mur budowany już runął
jedna zapłata płonie, zabierając wszystko,
tętni dniem łez
ma własne mury,
wyniszcza siebie,
nienawidząc spójności
nie zna siebie.

Po tysiącu lat i zjawień,
rozstaniach i wiwatach
zostajemy w ludnym świecie
wzlotów i życia.

Nie tętnij marzenie w bieli
z ruiny mnie porywa twoja katedra
bym zbudował jedność z losem,
którego nie ma
na stromej myśli niczyjej.

Tam gdzie nie ma życia
podąża czas obojętny
usiłujemy go doścignąć
by zasmakować serca
przełamujemy siebie tracąc pamięć
i wszystko

kupujemy nić jak lotos w bagnie
jest to nić czasu

tu gdzie jest życie
nie ma obojętnego czasu
podążam za nicią, po nici

prawdy nie musi się znieczulać.

Justyna Korolko

Manifest bezbronnych

w epoce nie tej
polykają rzeczywistość w kolorze ścian
i zmiętości kołnierzyków
w wannach kiszą ogórki
gwizdzą przed śmiercią
papierowe twarze malują sprzedają jedzą...

zmaćliło mi wzrok przed ich blaskiem
bo stopy mam za bose
by odmierzać z nimi plunięcia w zegarowy trans

łóżko zawsze samotne lub przeludnione
nigdy na wpół śmierci i życia
nie śpię dlatego
i kiedy zasypiasz łamię głowę wpół
przechodzę czas klepsydry
wegetację
czekając aż przewracając się na bok
strącisz moje oczy
spłakane iluzjami

oblodowaciała nie nadążam
w rozkurczaniu miny idioty
zmienianiu wiary
rodzajach samobójstwa
wyrzutach że mówię nie na temat
tabu hipokryzji

07.05.2003

Przyjaźń

Przyjaźń jest tak jak cienki papier,
Łatwo ją zgnieść, prostować trudno,
Gdy piszesz o niej rozdział kolejny,
Zawsze na czysto - nigdy na brudno.

Cieniutką nitką oplata życie,
Lecz mocna jest, jak zapach wina,
A dobre słowo znaczy tak wiele,
Gdy przyjaźń się właśnie zaczyna.

Myśli o sobie, że jest przygodą,
Czymś tak magicznym, nieznanym w świecie,
Lecz gdy już raz iskierką zapłoncie,
To nie zagaśnie, choć wichry, zamiecie.

Jest tak jak dziecko, które rozkwita,
I dzień po dniu zmienia się, rośnie,
Gdy życie, ludzie, zdarzenia miną,
To ta się cieszy, śmieje radośnie.

Czasem zostaje na zawsze w ciszy,
I ciepło myśli, cierpliwość w latach,
Lecz zapracować musisz na przyjaźń,
Bo jej nie kupisz przenigdy w ratach!

Agnieszka Kuklińska

Jestem z Tobą

Gdy myśli biegną wokół Twojej postaci,
A słońce ranne wspina się zenitu,
Na wzgórze marzeń wchodzę bardzo wolno,
By krok za krokiem dojść do jego szczytu.

Oczy otwieram i spoglądam w Twoje,
Uszy wsłuchują się w odgłosy cienia,
I cała drzę, a serce we mnie tańczy,
Gdy słyszę głos Twój - znak Twego istnienia.

Gdy Twoja dusza myśli, że ja nie wiem,
Że czasem serce kurczy się z rozpaczny,
Wiedz, że ja widzę, czuję, słyszę, myślę,
A moja dusza swym ciepłem naznaczy.

Cierpliwość myśli, wierność ciała, serca,
Nie obce mi są, prowadzą do Ciebie,
Wędruję sama wyznaczoną drogą,
Nadzieja błyszczy w tej gwiazdzie na niebie.

A słońce chyli się na drugą stronę,
W jego purpurze schodzę swoją drogą,
Usypiam myśli, lecz serce nie słucha,
W ciemności nocy szepcze: „Jestem z Tobą!”

06.04.2005

Kielich ze złota

Nie przegapiłam mojej wiosny życia,
Ona wciąż trwa i wciąż się zaczyna,
Ja stoję cicho, obserwuję słońce,
A ciało króciutką drzemkę ucina.

Życiem przepelniam każdą jego chwilę,
Spokojem myśli, śmiechem żartów, ciszą,
Czuję jak ciepło słońca mnie dotyka,
Promienie jego do snu mnie kołyszą...

I kielich szczęścia, który się dopełnia,
Ta czara złota, winem wypelniona,
Gdy zacznę pić je wolno - łyk po łyku,
Wtedy poczuje się spełniona.

Wiem, że ta chwila wolno płynie ku mnie,
Jak ptak co lot swój ku ziemi obniża,
Głowę podnoszę i proszę Cię cicho:
Przywieź mi mały kawałek Paryża...

08.05.2005

Zegar

Zegar bije co godzinę,
Co godzinę czas odmierza,
Myśli biegną, cała płynę,
Serce bije, w rytm uderza:
Tik - tak, tik - tak...
A myśl cofa się na chwilę,
Do przeszłości, która była,
Serce staje - chociaż żyję,
Zegar rusza - ja uderzam:
Tik - tak, tik - tak...

Ziemia się zatrzęsła w górze,
I stanęła na sekundę,
Pomyślała - może dłużej?
Lecz zaczęła nową rundę:
Tik - tak, tik - tak...
Zegar bije, czas umyka,
Dzień i noc na zmianę chodzą,
Lata płyną, życie czeka,
Ludzie wchodzą i wychodzą:
Tik - tak, tik - tak...
Kiedy biegnę, to na chwilę,
Zapominam o tym często,
Że ten czas zostaje w tyle,
A ja mam za mało w ręku.
Tik - tak, tik - tak...
Raz zgubiłam swój zegarek -
Ten jedyny raz się zdarza,
I poczułam, że przez chwilę,
To me szczęście się nadarza.
Tik - tak, tik - tak...
Potem zegar ruszył znowu,
Ja zgubiłam swe marzenia,
Siedzę sama na pustkowiu,
A czas płynie - życie zmienia.
Tik - tak, tik - tak...
Zegar bije co godzinę,
Co godzinę czas odmierza,
Myśli biegną - przecież żyję,
Dusza żyje - ja zamierzam!
Tik - tak, tik - tak...

25.01.2005

Eugeniusz Nowik

O, jesieni...

choć przychodzisz w sukni złotej
często bywasz smutna i ponura
choć rozpościerasz swój biały welon nad polami
to powiedz dlaczego nie słyhać żadnej z pieśni weselnych
choć nie prosimy cię o współczucie
tak często płaczesz nad nami deszczem
krócej pracujesz niż lato
a tak często mówisz że jesteś wyczerpana
dłużej sypiasz niż inne pory roku
a jeszcze cofasz nasze zegary

dookoła obumierasz w ciszy

gdy pragnę cię słuchać
odpowiadasz samym tylko milczeniem
dlaczego, nie przynosząc nam nowego życia
wołasz ciszą, byśmy szukali lepszych dróg

Gdy niebawem przyjdzie zima
odejdziesz od nas cicho
i bez pożegnania

Elżbieta Skąpska

Gdy słyszę dźwięk harfy...

Gdy słyszę dźwięk harfy,
polykam krople deszczu.
Słońce ukrywa się
za liść rozpaczy.
Chmura rozmywa
różowe promienie.

Widzę twarz księżycy,
który wita się z nocą
śpiewem zaspanego ptaka.
Wstaje dzień,
rozpycha się
w tłumie drzew
i pędzi jak czas
w nieskończoność.

Upada i wznosi się
na skrzydłach z papieru
rozwianych
na drapieżnym wietrze.

26.10.2005

Metamorfoza

Jesienne liście
spadają z drzew
jak delfiny wskakujące
do morza.

Podnoszą wielki krzyk,
słońce zmieniło się
w pożar.

Ziejące ogniem
smocze ogniska
gromadzą dusz
lekkich oblicza.
Śpiew płynie
i statek się zakotwicza.

27.10.2005

Modlitwa o poranku

Aniele, który prowadzisz nas
wyboistą drogą zwycięsko,
Aniele, który strzeżesz naszych dusz,
poczęstuj nas chlebem
przynoszonym przez biedronki
a ciałał podaruj odrobinę luzu.
I pożycz nam skrzydła,
byśmy nauczywszy się latać,
swobodnie i bezpiecznie
potrafili lądować.

Marek Styliński

Gdzie przystać bezpieczna

Serce to głębia
I cały sens
Siła ogromna
Płynie w jego ukryciu

Serce to miłość
I tajemnica
Gdzie przystać bezpieczna
I pełnia i głębia

Częstochowa 2005

Dariusz Tichoniuk

pierwszym spojrzeniem
do Ciebie się zbliżam
gdy sen już zgaśnie
jak mgła w słonecznym wietrze
i z Twoich dłoni biorę
ten Kielich rosnących nadziei
by dotrzeć Ku brzegom
dnia
nie zniechęcony
tym wrogim głosem
świata za oknem
zbierać zapach
przeźroczyście szumiącej wody
usłyszeć trawę
przybierającą na zieleni
w blasku promieni
snujących się resztką
zimowych wspomnień
z brzozy – ten smak
słodkiej kropli
w cienkiej strużce wydobyć
wiosny
pierwsze tchnienie

24 kwietnia 2005

wierzba

wierzbo pochylona
w modlitwie
bijąca pokłony
na tyleś radosna
by twoją zielenią
powitać gości nadchodzących
i tak nieszczęśliwa
żeś zbyt Krucha
na Krzyż Zbawiciela

5 maja 2005

czasami patrzę
jak deszcz
szamoce się w potrzasku
burzowych chmur
jak łagodnieje
gdy noc polyskując srebrem
wiąże szelest w ogrodzie
i jak znika – bezdźwięcznie
w jej chłodnym wzroku

Wielki świat, wielki świat
 Wielki świat, wielki świat
 Wielki świat, wielki świat



Łukasz Gireń

**Wiersze laureatów II edycji
Wakacyjnego Konkursu Poczty Literackiej
Radia Białostok na „Wiersz o miłości”**

I nagroda

Renata Blicharz – Opole

Zapomnienie o świecie

Tej nocy
Śpiewały gwiazdy
To zdarza się tak rzadko

Teraz nie wiem czy w twoich się budzę ramionach
Czy to świt otula mnie w mleczne etole
Oczy przesłania woalką z mgły i rosy

W twoich jestem ramionach
Czy to muzyka odurza serce i zmysły
Myśli przysrajają w ciepłe leniwe jeszcze marzenia

Czy twój oddech słyszę
Czy to świat cały podchodzi do mnie
Mami wiecznością
Kusi by mu wykraść jej choćby kawałek

Odpoczywam na brzegu twojego snu
Patrzę na czas, który przysiadł na twoich rzęsach
Twoje imię jest dzisiaj moją poranną modlitwą

Jesteś obietnicą na jeszcze jeden dobry dzień
I wiem, że w takiej chwili
Niepotrzebna jest poezja

Zakochani

Jakie to dziwne
Niemożliwe by było
Możliwe bo jest

Mała zwykła randka a tych dwoje
Nagle pozbawia świat swojej obecności
I świat cały mieści się w nich

Chwila wieczności
Oto są w tym obcym pokoju
Który ocala ich przed rzeczywistością
Za szybą słońce na łące tysiąca mniszków
Pod balkonem nieuczesane krzaki magnolii
Rwą się ku niebu
Gdzieś nad nimi Bóg
A w nich – odnalezione na tę chwilę
Tysiące zwierzeń zmyśleń czułości
Jutro ich tu nie będzie
Jutro niczego nie będzie

Mówisz:
W nic nie wierzę
Wierzę tylko w chwilę
I całujesz mnie tak jakby ten pocałunek
Miał trwać dłużej
Niż całe nasze życie

Post factum

Pamiętasz
Byłam twoim aniołem
Siedziałam ci na ramieniu
I szeptałam do ucha
O tym co było
Co jest i będzie

Kiedy się śmiałeś byłam szczęśliwa
Kiedy byłeś smutny i ja płakałam
Pamiętasz

Karmileś mnie
Okruszkami uczuć
Przecież anioly
Tak jak inni ludzie
Też muszą coś jeść

Czasami
O mnie zapominałeś

Zawsze będę tęsknić
Za twoim ramieniem

II nagroda

Zoja Mitkowska – Warszawa

Sen o miłości

Ciepłym słońcem, świeżą rosą,
Na granicy snu i jawy,
Czarodziejką rudowłosą
Moja miłość się pojawi.

Złote piegi jej policzę,
Serce bije coraz częściej,
I rumieni się policzek,
Czy ze wstydu, czy ze szczęścia...

Zapach włosów na ramieniu,
Głos muzyką dźwięczy w sercu,
I dziki ogień pragnienia
Płonie na rudym kobiercu.

Dusza w ciele się nie mieści –
Moja, jej, a raczej nasza,
Anioł znaki daje w geście
I do nieba nas zaprasza.

Ty i ja na brzegu nieba,
Gwiazdy kąpią się w otchłani,
Księżyc srebrem sypie, żeby
Nie błądzili zakochani.

Złoto włosów twych na wietrze,
Niczym warkocz u komety,
Smak miłości czuć w powietrzu,
Duch mężczyzny i kobiety.

Utoniemy w płatkach róży
Swoim szczęściem przepelnieni,
Powrócimy z tej podróży
Już na wieki połączeni.

III nagroda

Tadeusz Charmuszek – Suwałki

Ile

ile dostojeństwa orła
w gwiazdach
tyle moich drzeń
przy tobie

ile gruchania gołębia
w akacjach
tyle moich myśli
przy tobie

ile tęsknoty słowika
w jaśminie
tyle moich marzeń
przy tobie

ile promieni słońca
w rezedzie
tyle moich spojrzeń
przy tobie

ile skapania serca
w miłości
tyle zawsze mnie
przy tobie

Wyróżnienie

Magdalena Leśnikowska – Sucha Beskidzka

Nie piszę o miłości
Nie umiem
Odnaleźć
Afrodyty snującej się w chmurach

Szukam
Drażnię Zeusa
Przybliżam się w oddaleniu

Wyróżnienie

Justyna Fiedorczuk – Białystok

Taka mała miłość

to tylko mała miłość
jak mała kawa
stawia na nogi
lub zwała z nóg

i tylko z tej miłości
małe tęsknoty
niewidoczne brylanciki łez
nasze klejnoty na miarę tej miłości

wielkie ciepło tylko małych miłości
z bliskości nas
na zawsze razem
na krótką chwilę życia



Lukasz Gilen

WOJCIECH ZAŁĘSKI

Skamieniały czas

U schyłku kolejnego tysiąclecia, wobec świadomości darem-
nego oczekiwania końca, a co za tym idzie, braku jakichkolwiek
widoków na wyjątki początek, ludzkość trawiła bezradność.

To czy zrobiony zostanie następny krok, czy kroków tych
będą tysiące, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. I tak każdy z
nich będzie tylko świadkiem niemocy i powodem rozpacz. Wszy-
scy rozpoznali swą bezradność wobec rzeczywistości, posiadli ją i
przystali na nią... na czas i przestrzeń bez początku i końca. Nie
wiedzieli, że właśnie ta świadomość jest tym oczekiwanym końcem
i że wszystko inne to tylko atrybuty wyobraźni przybliżające czło-
wiekowi jego zrozumienie.

A kto powiedział, że koniec musi być natychmiastowy i
gwałtowny jak w katastroficznych filmach? W związku z tym krok
w nieskończoność nie miał, dla tu i teraz, żadnego znaczenia. Na-
tomiasz nastąpił odwrót od pragmatyki, logiki, funkcjonalizmu, es-
tetyki i etyki w kierunku zabawy, dominacji przestępstwa, fascyna-
cji zbrodnią, destrukcją, okultyzmem i futurologią.

Potem, wystrzelone przed laty, sondy kosmiczne nadesłały
przyszłym pokoleniom pełną informację o przeszłości. Poznając ją
przyszłe pokolenia z pokorą witały powracających Odyseuszy. A
oni żenili się ze swymi prapraprawnuczkami i powielali mocno sfa-
tygowany materiał genetyczny.

Wtedy zza tandetnych dekoracji wyrzwał chichoczący łeb
złośliwego czasu i zmienił wszystko w krede, tę kredę, którą teraz
nasze matki piszą na drzwiach domów:

A D 2005 K+M+B

Potem ideolodzy zamieniali krede w trawertyn, trawertyn w marmur. A tym już ani chatę obieleć, ani pisać. Tak to następne pokolenia, pogłębiając się w analfabetyzmie, żyły wśród marmurów, szkła i niklu bez świadomości, skąd są i po co?

Bywało, że niektórych niepokoiły jakieś genetyczne śmieci zalegające w odległych zwojach mózgu.... Ale jakie to mogło mieć znaczenie? Liczne Kliniki Utrwalania Świadomości likwidowały złogi pamięci błyskawicznie, a człowiek opuszczał gabinet zabiegowy podśpiewując jak przy goleniu.

Okruchy weneckiego karnawału

Siedzieli na kamiennej ławce w niszy muru porośniętej ciemnozielonym bluszczem. Wieczorem piaskowiec przyjemnie oddawał ciałom nagromadzone w ciągu dnia ciepło słońca, które niknąc za wyniosłością wzgórza barwiło na krwawy brąz korony pinii.

– Cóż... cóż nasi - wstając, mówiła z ożywieniem srebrna maska - cóż Tizian, Giorgione... mieszała rozpaczliwie farbę z powietrzem doświadczając czegoś więcej niż przyjemność... Czymż Raffaelo przy Holendrach... mistrzach światła?

Złota maska powstała również, skłoniła się srebrnej i przyciskając obie dłonie czubkami palców do piersi rzekła:

– W części masz rację... ale – tu unosząc ciemne oczodoły ku górze, jakby tam było to, o czym mówiła, dodała – przypatrz się materii wyszłej spod pędzla Raffaela... ile się światła dobywa z jej głębi...

Na żwirze ścieżki dogasały długie, słoneczne, purpurowe smugi.

– Phi... widziałeś, ile światła tajemniczo opalizuje z winogron w martwych naturach Holenderów?

– Też porównanie... Unieś w górę kiść wygrzaną w słońcu Kalabrii... dom oświećliś nocą, tyle się w niej zatrzymało słonecznego

światła!

Spomiędzy purpurowych i różowych kwiatów rododendronu wypełzały cienie nocy i zalewały atramentem ogród...

– A Rembrandt? Rembrandtowi też nie przyznasz tytułu mistrza światła? – spytała srebrna maska.

– Raczej mroku... mroku rozświetlanego smolną drzazgą. Jako hyperborejczyk, mieszkaniec Północy, miał zawsze słońca, a zatem światła niedostatek. Gdyby nie świece w kandelabrach, nie byłby w stanie trafić łyżką do gęby... A gęba u niego... przyznasz... była nad podziw szeroką i przepastną. To malarz mroku nasyczonego kopciem świec, wonią ciężkich sosów i tanich win.

– No cóż... kochał życie i lubił żyć. – W tym ostatnim stwierdzeniu dało się wyczuć nutę tęsknoty.

– Dlatego też tam – srebrna maska wskazała palcem na północ – dlatego tam brzuch nazywają żywotem, a zadek życią?

Zmrok zapadł gwałtownie... Gęstniał, zagęszczał tak, iż zdało się, że otaczająca materia przejdzie w stan stały i wszyscy scalimy się w jedno z wypełniającym świat brunatnym bazaltem i zapachem kwiatów.

– Gdyby tak słowa i myśli ocalać przed czasem... utrwalić jak ludzkie wizerunki w marmurze... niejeden wstydziłby się swoich słów.

– Od dawna czyni to człowiek. Po to wynalazł pismo.

– Tak, owszem, pisze... ale bardzo przy tym uważa, co pozostawi. A mnie chodzi o to, co wypowie, co ulata do gwiazd... wszelka mądrość i każde głupstwo.

– Z naszego mijającego dziś w Wenecji dnia może zachowa się...

– tu srebrna maska szukała w myślach, co by przetrwało wieki.

– Rachunek piekarza? – zadrwiła złota maska.

– A tak... rachunek piekarza.

Wiek Wielkich Wysypisk

Van Egein obserwował, jak poruszali się zrecznie, jak manewrowali, aby siebie nie dotknąć. Dotyk był w złym guście. Podanie ręki poczytano by za agresję. Dłoń podnoszono tylko do pól piersi, kierując jej wewnętrzną stronę w kierunku witanego, jak gdyby go delikatnie odpychając... co uzasadniało powszechne zagrożenie chorobą wieku Wielkich Wysypisk.

Z Holandii do Carrary przyjechał Piet Van Egein w 2001 roku i zakupił blok karraryjskiego marmuru 1,50m x 1,50m x 3,00m. Długo oglądał różowawą bryłę miliony lat naświetlaną południowym, śródziemnomorskim słońcem. Był jak Michał Anioł Buonarroti doznający przed wiekami cudownych wizji. Chodził, oglądał osłaniając dłonią oczy od słońca, przysiadł, skubał wąską brodę... Tak bardzo chciał być spadkobiercą genialnego Włocha... tak bardzo chciał zobaczyć w skale to co powinien...

Pewnie dlatego, że ojciec Pieta był jednym z ostatnich wielorybników, marmurowa bryła przypominała mu jedynie kostkę wielorybiej słoniny... nic więcej.

Skinieniem dłoni przerwał posilającym się robotnikom śniadanie. Marmur załadowali szybko, sprawnie i Piet Van Egein wyruszył w drogę powrotną.

Myślą wyprzedzał siebie. Był już w swojej holenderskiej pracowni, gdzie najdoskonalszymi maszynami polerował, głaskał sześć ścian karraryjskiego cudu. Nikt nie jest w stanie odgadnąć, co czuł, jakim uniesieniem poddawała się jego dusza, jak bardzo nie nawidził woni ojca... zapachu tranu i jodu.

Gdy ściany bloku uzyskały maksymalny blask i dobywające się z jego głębi południowe słońce nappełniło okolice, Van Egein ruszył w drogę powrotną do Włoch.

I znowu jego duch wyprzedził ciało, by w samo południe, kiedy wszyscy Włosi kryli się w cieniu porośniętych winem pergoli, sypialń i snu, wstąpić na szczyt góry nad karraryjskim kamieniołomem i trwać w stanie zachwycenia...

Gdyby po drodze, robiąc przystanek na siusiu i kryjąc się za

marmurem przed oczami mijających go kierowców, przytulił na chwilę twarz do chłodnej skały... gdyby przyjrzał się wypucowanej powierzchni kamienia, zobaczyłby, że promienie słońca nie odbijają się od niej, a przenikają strukturę, wnikają do wnętrza, tam trafiają na przeszkody, odbijają się od nich, załamując pod różnymi kątami wydostają na zewnątrz i opalizują niezwykłym, tęczowym blaskiem.

Piet zobaczyłby to, gdyby wierzył, że aureole świętych są takim wewnętrznym blaskiem duszy i że tamci artyści widywali je. On jednak nie dostrzegał tego, co wydobywa się z wnętrza. Wystarczał mu blask wypolerowanych sześciu ścian.

Gdyby chciał... gdyby uważnie się przyjrzał... zobaczyłby ciasny, sprasowany tłum teatralnych przebierańców, twarze w maskach przyklepione od wnętrza kamienia do ścianki bloku jak do szyby i całym swym dobrym sercem odebrałby ich rozpacz.

Piet wystawił rękę zza okna szoferki i rozczapierzonymi palcami czesał wiatr, pogwizdując jakąś przyplataną z dzieciństwa melodyjkę. Pęd powietrza oderwał od bryły marmuru strzęp gazety i uniósł ponad drzewa. Wiatr popędził go w dolinę i przyklepił do fuzji idącego polem włoskiego myśliwego. Mężczyzna odkleił od kolby zadrukowany strzęp papieru, przystanął i oglądał go z zainteresowaniem. Rozejrzał się dokoła, gwizdnął na psa płoszącego w kukurydzy ptaki. Pies wyrzwał spomiędzy żółknących badyli. Myśliwy gwizdnął powtórnie. Okazując niezadowolenie, z ociąganiem, pies podszedł i usiadł z nosem przy kolanie pana. Włoch czytał głośno, choć pies nic z tego nie pojmował:

Tegoroczny karnawał w Wenecji nie bardzo był wesoły. Jedyne maskarada która zaimowała uwagę publiczności, był to orszak bagnisty, złożony z samych żab i karpiów, morskich bażantów, minogów i szczupaków. Wszystkie te maski iechały na dzielnych koniach i po kilka razy obiechały miasto.

*Suknie tych wszystkich osób przebranych za ryby były nader okazałe, a oczy hrabiny Giraldi, przebranej za karpia, były to dwa diamenty szacowane przeszło
40 000 talarów.*

Wylupiono iey w tłumie iedno oko; tę stratę wyiawszy, wszystko się odbyło pomyślnie i poliszynelle nie zrzędziły żadnej szkody.

Na marginesie gazetowego strzępka ktoś koślawo zapisał:

*Wittorio Zacaria zapłać mąka sól drożdże
Lorenzo Galiani zapłać muszkatul cynamon goździki miód*

Pies pomierdał ogonem i zanurzył na powrót w kukurydzy, odprowadzany tęsknym spojrzeniem hrabiny Giraldi, której policzek, przylepiony do wewnętrznej strony ściany bloku, rytmicznie przesuwiał się to w górę, to w dół zgodnie z podrygami ciężarówki.

Pieta Van Egeina doznającego euforii na szczycie góry wyrwały z ekstazy dźwięki muzyki *blotnego orszaku* wydobywające się z kamienia. Słuchał, nasłuchiwał i nie mógł zlokalizować, skąd one dobiegają. Machnął bezradnie ręką, podszedł na skraj przepaści i odczytał głośno całemu światu... swój artystyczny manifest:

1. *Świat nie jest jednością!*
2. *Świat od jedności trzeba uwolnić!*
3. *Świat jest zbyt ciasny!*
4. *Świat jest niedostosowany do życia.*
5. *Świat przez destrukcję uczynimy pięknym!*

Po odczytaniu manifestu Piet zmontował skomplikowany system dźwigni i z ogromnym wysiłkiem zepchnął wypolerowany blok w przepaść. W dole, skąd nie dolatywał żaden głos, sześcian z wielką siłą uderzył w skalny występ i przełamał się na pół. Każda z połówek po drodze roztrzaskiwała się na tysiące kawałków, które ławą leciały... tam skąd je Holender zabrał.

Gdyby Piet to mógł widzieć... gdyby zobaczył, jak uwolniony *orszak bagienny* śpiewając na jego, Van Egeina, cześć – *chwała ci, chwała ci obrońco Wenecji...* – niknie w pejzażu wraz z opalizującą tęczowo poświatą. Gdyby mógł widzieć... Zobaczyłby hrabinę, jak niknąć wśród drzew gaju oliwkowego uważnie wpatruje się w blade, piegowate oblicze Holendra. – Piękni są ci z Północy – westchnęła – ale mają zbyt mało słońca i pewnie dlatego wieje od nich lodem.

Van Egein, któremu poczucie spełnienia życiowej misji rozsądzało pierś, poprzez tę radość bezwiednie deptał hamulec z taką siłą, aż zmęczony metal uległ i rozpedzony pojazd wyrwał się spod kontroli i poszybował nad spowijaną dymami i wieczorną mgłą doliną. Słońce nikło szybko, coraz szybciej, jakby chciało, by Piet Van Egein połączył się z uwolnionym *blotnistym orszakem*.

Hrabina podała mu dłoń i pomogła usadowić się za plecami na szerokim zadzie perszerona przystrojonego w rybi ogon. Zwróciła ku niemu twarz, podniosła woalkę w rybie łuski i opuściwszy białą jedwabną maseczkę patrzyła kokieteryjnie czarnymi jak sadza oczami.

– Rozgrzeję cię, hiperborejczyku... zobaczysz – szepnęła aksamitnie. – Och... jak cię rozgrzeję.

Od lat podróżni wjeżdżający o zmierzchu w dolinę na skrzyżowaniu dróg podziwiają rzeźbioną w karraryjskim marmurze grupę przedstawiającą orszak przebierańców. Na czele, na wielkim belgijskim perszeronie siedzi piękna kobieta. Jedną ręką unosi w górę kielich wina, drugą przytrzymuje siedzącego na jej kolanach Rembrandta. Fenomenem jest to, że nie zobaczycie ich rano.

Ostańce

Leżał w wawozie od zawsze, w samym centrum samotnej nieskończoności. Był tak twardy, że nie poddawał się deszczom, mrozom, wiatrom, ni słońcu, ni czasowi.

Błogosławił swą samotność obarczoną świadomością nadciągającego końca. Świadomością nie wiedzieć kiedy zrodzoną, która była jego przyrodzonym prawem do milczenia. Była w nim od zawsze jako efekt przesyty niezniszczalnością.

Nim się spostrzegł, owo prawo do milczenia stało się obowiązkiem nieujawniania tajemnicy... jego własnym, prywatnym obowiązkiem, z którego płynęło poczucie wartości i prawdziwej wolności.

Wolnym można być, gdy ma się przez siebie na siebie nałożone obowiązki - stwierdził w duchu. – Wolnym można być, albo zostać. A ja przecież jestem.

Nim zrozumiał, że obowiązki z wyboru określa stopień łatwości podejmowania decyzji, było już zbyt późno. Pozbawił się możliwości przzerwania milczenia.

W zasadzie jako klasyczny, kamienny liberal nie miał nic do powiedzenia. Wszak mówić można wówczas, gdy się ma własny pogląd. Inaczej wszystko jest bełkotem, nawet wówczas, gdy maskując głupotę gest zastąpi mowę. Poza tym trzeba mieć możność mówienia do kogoś w samotności.

Uśmiechnął się do tego absurdu: on, kamień... nie mogąc gestykulować... milczał. Nikt z patrzących nań nie mógł rozgryźć: z głupoty milczy, czy z współczującej wszechwiedzy. A to takie proste... jak można widzieć nie mając oczu?

To, co naprawdę było ważne dla niego, działo się tylko dwa razy do roku: w okresie topnienia wiosennych śniegów i po jesiennych szarugach. W wąwozie pojawiał się strumień i w parę godzin zamieniał się w sporą, groźnie rwącą rzekę. Przy wysokiej wodzie zdarzało się, że wartki nurt przesunął kamień w dół wąwozu, w kierunku drugiego takiego jak on samotnika, ale znacznie większego, zagłębionego w ziemi ostańca.

Gdy wody ustępowały, wawóz runił się soczystą, zieloną trawą. Owczarz z Kundicza przypędzał stado, wbijał w ziemię dwumetrową laskę, całą spiralnie pokrytą karbami, od której owce nigdy nie oddalały się dalej niż na dziesięć metrów.

Z pasterskiej torby, którą przed laty jego dziad upłócił z brzozonej kory, wyjmował miarkę z wiśniowego drzewa, podarowaną mu przez ojca wraz z laską. A było to wtedy, gdy ojciec po raz pierwszy rano nie zeszedł z pieca.

Teraz owczarz, tak jak to czynił ojciec, klęknął na ziemi i wiśniową miarką odmierzał odległość pomiędzy mniejszym i większym kamieniem.

Brał do ręki laskę i robił nożem nacięcia, przekreślając na ukos tyle karbów, o ile więcej było nie przekreślonych od odmie-

rzonych, o ile kamienie zbliżyły się do siebie. Zazwyczaj były to dwa, trzy, cztery nacięcia. Po każdym wylewie oddzielał kreski głębszym karbem. Minęło wiele pokoleń, nim na lasce pozostało dziesięć nie skreślonych nacięć i nim kamień mniejszy znalazł się w cieniu dużego kamienia.

Wraz z laską, miarką i obowiązkiem notowania wylewów, po przodkach posiadał świadomość końca rzeczywistości, który nastąpi z chwilą skreślenia ostatniego nacięcia, czyli spotkania się kamieni. Nikomu nie zdradzał tajemnicy, milczał tak jak jego dziadowie i jak milczał kamień. Aż któregoś dnia, gdy wraz ze stadem owczarz pojawił się w wąwozie, nie zastał obu kamieni. Po większym ziała ogromna jama, a w ziemi pozostały wygniecione koleiny ciężarówki. Długą chwilę stał bez ruchu, patrzył bezradnie na ślady, a usta bez jego woli mówiły:

– Ludzi! Co wy? Podurnieli? Jak tak? Jak tak można z końcem świata?

Ptaki leciały na południe. Pod nimi przemykały tysiące losów. Na śmiecie wyrzucano upadłe róże. Mali chłopcy puszczali tęsknoty latawce. Dymy z bezwietrznych ognisk wzbijały się pionowo pod obłoki, niosąc woń pieczonych ziemniaków, palonej naci i sytej pewności, że po zimie będzie znowu wiosna.

W oknie bardzo brzydkiego domu stał bardzo brzydki chłopiec i obserwował ich lot. Nim zaskoczone ptaki zdołały wyrazić przyzwolenie, już leciał z nimi na szeroko rozpostartych skrzydłoramionach wyobraźni.

Nie trwało to długo. Z kuchni mama zawołała:

– Robert! Zjedź na kolację.

– A co jest? – spytał chłopiec.

– Jajecznicę na boczku i śmietanie.

Schował zrolowane skrzydła do szuflady wielkiej komody i zjechał po poręczu na sam dół.

Za rozległymi ugorami, poprzecinanymi zarośniętymi ścieżkami, pojawiły się wzgórza i wąwozy. W jednym z nich bielął stado owiec. Między nimi, wsparty na lasce, niczym biblijny patriarcha, stał starzec z długą białą brodą.

Ptaki rozglądały się za jakimś spokojnym, odludnym noclegiem. Klucz rozciągnął się nieprawdopodobnie. Słabsi, już od dłuższego czasu, nie dawali zmian, coraz bardziej opadali z sił i wlekli się na końcu formacji.

Patrząc na spokój owiec i bezruch starca, ptaki zazdrościły im, że chodzą swobodnie, że nie muszą nigdzie dążyć, narażając się na tysiące niebezpieczeństw. Usiłowały sobie wyobrazić cudowne uczucie braku ciężenia.

Można, kiedy zapragniesz, usiąść i opuścić bezwładne skrzydła... albo też położyć się w stogu ciepłego, aromatycznego siana, usypiając bezpiecznie cudownym, pozbawionym czuwania snem.

Na przekór marzeniom, przymuszane instynktem, ptaki leciały na południe. Wbrew deszczom, mrozom, wiatrom i słońcu leciały wyprzedzając klangor, pełną żalu, bólu i tęsknoty pieśń.

Kamień węgielny w fundamencie bardzo brzydkiego domu, muśnięty ptasią tęsknotą, drgnął, spojrzął na niebo i prowadząc wzrokiem lecące na południe klucze żurawi... myślał... gdyby tak wzbic się ponad chmury, zawisnąć w przestrzeni, zostawić wszystko i wyzwolonym z wszelkiej troski szybować w szczęście.

Przed dom zajechała ciężarówka i na marzący kamień rzuciła cień, a klangor zagłuszył hałas pracującego na wolnych obrotach silnika. Pies zatrzymał się przed kamieniem, obwąchał uważnie, podniósł łapę i...

Jeszcze raz spojrzął na kamień i zaczął czuć jego myśli... Kamień zastanawiał się, jak wyzbyć się ciężaru, jak pokonać siły grawitacji i odfrunąć... Pies zaśmiał się, ale zaraz poczerwieniał ze wstydu... więc opuścił łapę, zamerdał niepewnie ogonem i pobiegł wzdłuż ściany obsikać drugi węgiel.

Klepsydra zwrotna

Dzwonek był natarczywy jak ujadanie psa. Podeszedł do drzwi, a że nie był imponującego wzrostu, aby zajrzeć w głąb oka judasza, musiał wspiąć się na palce. Nikogo... Podciągnął do drzwi stoleczek, na którym co rano czyścił buty, stanął na nim i sapnął z satysfakcją – Noooo! – Przyciskając prawe oko do zimnej oprawki zajrzał jak najgłębiej w lewo... nic. Spojrzał lewym okiem w prawo... Też nic... ściana. Na korytarzu nie było nikogo... nic.

Ale gdy tylko zlął ze stołka i zrobił kilka kroków, dzwonek rozjazgotał się na nowo. W dwu susach dopadł drzwi... wskoczył na stolek... przyłożył oko do wizjera... i nic. Zupełnie nic. Nikogo!

Poiryutowany wrócił do przerwanej pracy. Gdy tylko zagłębił się w papierach, cholerny dzwonek rozjęczał się na nowo i to tak dokuczliwie, że pokonał rodzący się w nim strach i wyzwolił wolę działania. Wyjął watę z uszu, podeszedł do drzwi... szczęknęły kolejne zamki i wyjrzał na korytarz... Nikogo. Wychylił się za poręcz... nic. Spojrzał w dół, w górę... nikogo.

Zatrzasnął drzwi mieszkania, zszedł na półpiętro i wychylając się przez poręcz lustrował drugą część schodów. Też nikogo... jedynie z parteru dolatywało rytmiczne łup, łup, łup, łup...

Stał nasłuchując dłuższą chwilę – rany boskie, jak oni w takim hałasie żyją – pomyślał. W gorze znowu zajęczał jego dzwonek.

– No to mam cię!

Wbiegł na piętro, minął swoje drzwi i zdyszany zatrzymał się na ostatniej kondygnacji przy drabinie prowadzącej na dach... nikogo! Na klapie wjazdu wisiała solidna kłódka.

Otwierał szeroko usta i całą ich szerokością gwałtownie wciągał i wypuszczał powietrze, a mimo to było mu duszno. – Czyżby sąsiad? – pomyślał. – Z żadnym nie zadarł.

– Nawet nie pamiętam, jak wyglądają. Czym do licha mogłem się komuś narazić? Oparł się oburącz o poręcz i ześlizgiwał po niej w dół. Bał się, że upadnie. Ból rozsadał pierś. Dookoła tłoczył się mrok i zawęźał pole widzenia. – Byle nie upaść... byle nie upaść – myślał intensywnie. – Tu, tu... tu moje drzwi.

Całą wolę skupił na wyjmowaniu klucza i gdy go z trudem

wsuwał w szczelinę zamka... usłyszał dzwonek. Mały jak światło latarki krążek ostrego widzenia, który mu jeszcze pozostał w mroku, przesunął z dziurki od klucza na jasno żółty przycisk dzwonka i zobaczył... zobaczył jak ten zagłębia się w brązową obudowę.

Łupanie na parterze ustało i w niespodziewaną ciszę korytarza wdarł się upiorny zew strachu... jego strachu. Całym ciężarem naparł na drzwi. Otworzyły się cicho i profesor, tracąc świadomość, przekoziółkował przedsionek i znieruchomiał pomiędzy kuchnią i łazienką. Drzwi zamykały się wolno i cicho.

Oboje przyszedł do profesora z niezapowiedzianą wizytą, taką jaką mogą składać tylko dobrzy znajomi, rekompensujący gospodarzowi przerwana pracę swoją miłą obecnością.

Właściwie to nie była wizyta bezinteresowna, w zanadru tkwiła sprawa egzaminu wstępnego na studia syna szefa męża... A kto odmówi szefowi? Niemniej czując niezręczność sytuacji postanowili, że wątek syna pryncypała wprowadzą do rozmowy, jeśli nadarzy się sposobny moment...

Stali pod drzwiami dobrych kilka chwil, rozdzielanych co jakiś czas natarczym dzwonkiem.

– Czyżby go nie było?

– Zawsze o tej porze był. Ilekroć się dzwoniło, czy przychodziło, zawsze był.

– Może wyszedł do sklepu za róg? Poczekajmy chwilę.

Mężczyzna zadzwonił znowu.

– Nie dzwoń. Na pewno go nie ma.

– A może coś mu się stało? – zaniepokoiła się kobieta.

– Eeee... daj Boże tobie jego zdrowie.

W tym momencie drzwi otworzyły się szeroko i zamknęły.

– Co to było? Widziałaś kogoś za drzwiami?

– Nie.

Po chwili mężczyzna zadzwonił znowu. Drzwi otworzyły się szeroko ukazując na mgnienie puste wnętrze i zatrzasnęły z hukiem. Zbiegali skacząc po trzy stopnie. Na półpiętrze kobieta zgubiła pantofel... dalej uciekała utykając. Zatrzymali się dopiero po drugiej stronie ulicy w pełnym, lipcowym słońcu. Kobieta dyszała szybko i łapiąc się za pierś spytała cicho:

– Co to było?

W kamienicy po drugiej stronie wszystkie okna były zamknięte, tylko z parteru, przez uchylony lufcik, dobiegało rytmiczne łup, łup, łup, łup.

W stosunkach towarzyskich istnieją czasy równoległe, które nakładając się tworzą harmonię współ odczuwania, co daje możliwość dostrzegania siebie. Wiąże się to z uczciwością intencji wobec osoby zaprzyjaźnionej. Pojawienie się subiektywnego spojrzenia na osobę drugą powoduje tapnięcie czasowe. Nazwałbym je klepsydrami zwrotną. Przesunięcie to sprawia, że obraz osoby zaprzyjaźnionej znika z pola widzenia uniemożliwiając, w sposób zasadniczy, wszelką formę porozumienia. Takim czytelnym objawem klepsydry zwrotnej jest zjawisko mowy równoczesnej, gdy ludzie nie słysząc się wzajem ciągną dwa monologi mając wrażenie prowadzenia dialogu.... – zapisał profesor w notatkach.

MAŁGORZATA DOBKOWSKA

Sublokatorka

Nadszedł ukochany przez wszystkich poranek poniedziałkowy. Od kilku dni nie mogłam sobie miejsca znaleźć, łąziłam z kąta w kąt poganiając kota. Do roboty miałam na drugą zmianę, została jeszcze kupa wolnego czasu. Dając upust narastającej frustracji zrobiłam pranie. Nie pomogło. Następnie z przekleństwem na ustach wyszorowałam wannę i podłogę. Też nie pomogło. Porzuciłam zatem frapujące gospodarskie zajęcia na rzecz kulturalnej rozrywki. Nastawiłam Stinga - za smutny, wzięłam do ręki „Lesia” - za śmieszny. Nawet Katharine Hepburn w TV nie pomogła. Poszłam do łazienki umyć przekrwione oczka zimną wodą. Stałam przed lustrem. Policzyłam siwe włosy. Nie opląca się wyrwać. Zrobiłam groźne małpie czoło (działa na bardzo nieletnich). Wziąwszy linijkę do ręki zaczęłam mierzyć kielkujące kurze łapki w oczodołach. Urosły, cholera, o pół milimetra.

- Postępująca erozja gleby - zakomunikowałam kotu, który rozwalony na pralce na wytwornym kaszmirowym swetrze gubił sierść i lizał łapy.

Zaczęłam rozmyślać nad pieskim życiem. Przypomniałam sobie, że onegdaj facet z kolejki po bilet miesięczny spojrział na mnie krytycznie, mały Antosiek skutecznie uatrakcyjnił zajęcia w czytelnym hodowanym przez siebie białym szczurkiem, a w piątek w połowie „Gwiezdných wojen” nastąpiła w mieście poważna awaria prądu i przy pomocy dobrego słowa i służbowej latarki wyrzucono nas z kina. Trzymając się przykrawężnikowych drzew namacałam słupek od przystanku autobusowego i utkwiałam przy nim na półtorej godziny zraszając tabliczkę łzami zawodu. W trakcie tulenia się tabliczka nieoczekiwanie znalazła się wyżej, lekko dotykałam ją czołem, więc słusznie przyszło mi do głowy, że podmyty słupek

poszedł w górę. Dopiero nazajutrz pomyślałam, że może odruchowo odkręcałam i przykręcałam jakieś śrubki i poszłam sprawdzić zjawisko. Kiedy manipulowałam przy tabliczce, zjawił się starszy pan z parasolem i przepędził mnie z przystanku wyzywając od wandalek.

– Życie, ech życie – rzekłam płacząc i szorując twarz zimną wodą.

Trzeba coś zrobić z tą bladą facjatą. Przez łzy otworzyłam puderniczkę i wałęsałam puszkiem w oko. Chmurka pyłu uniosła się i zamigotała w powietrzu. Pokaszując i machając ręką hojnie szafowałam proszkiem, gdy coś mnie tknęło. Pudruję prawy policzek, a odbicie w lustrze też prawy, a powinno lewy, bo to jest jego lewy, a jak ja lewy, to ono prawy, a pudruje lewy. Powinno być na odwrót, jak ja lewy...

– Kiciu – powiedziałam – Pańcia dostaje szmergla.

Podniosłam ołówek i gdy robiłam lewe oko, odbicie robiło też lewe, choć powinno prawe.

– Elegantka – prychnęłam z sarkazmem.

Postanowiłam ignorować odbicie, które uparcie gapiło się z głupawym uśmiechem. Nieco na oślep, starając się nie patrzeć, robiłam prawe oko, kiedy kot powiedział:

– Kochana, doprawdy przesadzasz z pudrowaniem, zetrzyj trochę.

– Coś mówiłeś kociu? – spytałam odwracając się do pralki.

– Ja mówiłam gapiszonku.

Spojrzałam w lustro, a ręka z ołówkiem powędrowała w stronę ucha czyniąc mnie istną Madame Butterfly. Patrzyłam i patrzyłam.

– Przyglądam ci się, stara. Obserwuję. Widzę, że nie masz do kogo gęby utworzyć, z kotem gadasz i wkrótce zupełnie ześwirujesz. Żal mi ciebie, musisz być bardzo samotna.

– Czysta prawda – rozkleiłam się. – W dodatku nikt mnie nie rozumie.

– Uważaj, makijaż się rozmaże. Możemy zostać przyjaciółkami, będziemy jak siostry. Bliźniaczki, chciałybyś?

Zastanawiałam się chwilę,

– Myślę, że tak – powiedziałam poważnie.

– Musisz mi tylko pomóc wyjść.

– Wyjść?

– Tak, lustro jest dość małe i bardzo mi już ścierpły nogi. Chciałabym trochę pochodzić i je rozprostować. Pomożesz?

Myślałam przez chwilę, wahając się.

– Chyba się nie boisz?

– Nie, skądże.

– Podejdź i chwyć mnie za łokieć, a ja przerzucę nogę, uff, nareszcie, jak dobrze.

– Nie masz butów – stwierdziłam.

– Głuptasku, przecież lustro nie obejmowało stóp – zgrabnie się ześlizgnęła.

– Mam zapasowe kapcie, zaraz ci podam – zakrzętnęłam się.

– Może lepiej jakieś pantofle – wyszła z łazienki.

– Jak sobie życzysz.

– Twoje mieszkanie, własne? – zapytała spacerując.

– Tak – odpowiedziałam dumnie.

– Tylko jeden pokój?

– Ale bardzo duży, ma 15 m – dreptałam za nią nieco onieśmielona.

– Gdzie będę spała?

– Jest wersalka, ale mam jeszcze śpiwór i karimatę.

Kiwnęła głową. – Widzę, że jest telewizor i radio, dobrze. Kuchnia? Nieduża, łagodnie mówiąc.

– Ale bardzo przytulna, nieprawdaż? Zrobię ci herbaty.

– Może lepiej kawy.

– Słuchaj, powiedz, jak mam się do ciebie zwracać, jak uważasz?

– Może Rita? Chyba nieźle.

– Dobrze, Rito. Proszę, usiądź, częstuj się i rozgość. Tutaj są różne książki, gazety, nagrania. Muszę już jechać do pracy, będę z powrotem jak najszybciej, za jakieś dziesięć godzin, wtedy sobie posiedzimy i pogadamy, dobrze?

W pracy nie miałam kiedy zastanowić się i przemyśleć nowej, nieoczekiwanej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Cały czas jednak Rita tkwiła gdzieś głęboko w umyśle. Wiedziałam, że teraz wszystko się zmieni i będzie zupełnie inaczej, a chwila przekroczenia cienkiej linii normalności odsuwa się w przyszłość.

Wieczorem biegłam od autobusu szczęśliwa i roześmiana. Gdzieś ktoś robił balangę i głośnie muzyka unosiła się i wibrowała

w chłodnym powietrzu.

Z daleka zobaczyłam rzęsiście oświetlone okna mieszkania. Rita czekała. Odłamałam od daszku sopel lodu i polizałam. Na tej czynności przylapał mnie sąsiad.

– O pani Małgosia, dobrze, że panią widzę.

– Tak – zdziwiłam się uprzejmie.

– Proszę powiedzieć, co się u pani dzieje. Krzyki, tupania, straszny łomot przez cały czas, nie można wytrzymać.

Podniosłam głowę i stwierdziłam, że bálanga odbywa się u mnie.

– Rodzina z prowincji – wyjaśniłam sąsiadowi. – Pierwszy raz w mieście wojewódzkim.

– Proszę ich uspokoić – powiedział z dezaprobatą. – Bo pójdę na policję. Myślałam, że to poprzednio była pani, ale nie zareagowała. Kuzynka zapewne?

– Tak, bardzo podobna. Postaram się ich uspokoić – obiecałam i w tym momencie z uchylonego okna coś wypadło. Na poziomie pierwszego piętra zamigotało oko i już wiedziałam, że to misiek Barnaba wpada w zaspę. Misiek Barnaba, którym tylko ja mogłam rzucać i poniewierać. Rąbnęłam torbą o chodnik i z dziarskim okrzykiem wpadłam w kępę miękkiego puchu. Pracowicie rozkopując zaspę wydobyłam Barnabę. Sąsiada już nie było. Wdrapałam się na górę, nikt nie słyszał, że dzwonię, więc otworzyłam z klucza. Od drzwi targnęła mną potężna fala hip-hopu i dance nadawana ze stacji radiowej. Po lokalu krążyło mnóstwo ludzi, po chwili zdałam sobie sprawę, że to same dziewczyny, w dodatku wszystkie bardzo podobne. Straszne. Dotknęłam czoła, czy nie dostaję gorączki. Dziewczyny były ubrane w zmodyfikowane nożyczkami ciuchy, z dekolami i w mini, stół zastawiony szkłem i resztkami zawartości z lodówki, a w kątach wałyły się puste butelki po podrabianej szkockiej czyli słynnym porzeczkowym winie tatusia.

Jedna z dziewcząt, w szlafroku, kiwając się na odnóżach weszła do łazienki, by po chwili wychynąć stamtąd w dwóch osobach; druga odziana była w duży kąpielowy ręcznik.

Na TV leżała kupka nie przejrzanych dokładnie prac plastycznych pt. „Biblioteka dzisiaj – luksus czy przymus”. Na wierzchu pysznił się rysunek pupila Antośka z kratami, alarmem i szcze-

kającym owczarkiem alzackim. Ręcznikowa uderła sobie z niej kawałek i zaczęła skręcać papiloty.

Schowałam Barnabę do pawlacza i usiadłam, żeby się zastanowić. Po chwili byłam dziewczyną w szlafroku i z zacięciem piłowałam paznokcie, a zaraz potem przeniosłam się pod regał, gdzie ubrana w stare szorty i zapomnianą przez szwagra koszulkę z językiem płakałam do pustej butelki. Czy ja jestem ja, czy już nie? Czy one są mną, a ja nimi? Czy jestem którąś? Może wcale mnie nie ma, nigdy nie istniałam? Odwieczny problem tożsamości. Za moment eksploduję z wściekłości. Rzuciłam butelką i z całej siły wrzasnęłam:

– Rita!!!

Odrobinę przycichło i podeszła dziewczyna wbita w starą studniówkową sukienkę. Spojrzałam na kieckę z rozrzwinięciem i spytałam łagodnie:

– Czy możesz wyjaśnić sytuację?

Rita nieco się zmieszała.

– Cóż, poszłaś na tak długo i nie wracałaś...

– Pojechałam do pracy, mówiłam, muszę zarabiać pieniądze na czynsz i na papu.

– Pojechałaś, byłaś sama i bardzo mi się nudziło. Poszłam do łazienki i...

– Sprowadziłaś nową koleżankę.

– Tylko nie bądź zazdrosna. Później ona się spiła i...

– Przestałaś kontrolować sytuację.

– Dokładnie. Ale jest bardzo wesoło. Przyznaj, że jeszcze takiej imprezy nie było, a radość jest potrzebna duszy.

– Istotnie. Zawiodłaś mnie, Rito.

Nie odważyłam się zostawać z nimi dłużej. Otworzyłam szafę. Kot siedział w środku, wciśnięty między prochowiec a służbową garsonkę, na którą słusznie nikt się nie połaścił. Umościł sobie wygodne legowisko z szalików i rękawiczek. Weszłam do szafy, zamknęłam drzwi.

– Posuń się trochę.

Z niechęcią odstąpił czapkę, połowę szalika i rękawiczkę z palcem. Ta zagubiona? Gdzie jest w takim razie pierwsza, co została, jeżeli druga się znalazła? Czyli druga jest pierwszą i nadal nie

mam pełnej pary. Radość ze mnie wyparowała. Pamiętałam jednak o rękawiczce. Zaraz. Powinnam pamiętać jeszcze inne rzeczy. Wy-
mienię trzynaście filmów Allena z Mią Farrow, dobrze. Najwyższa
góra w Irlandii? Carrantuohill. Bitwa pod Płowcami? 1331. Co ma-
ły Antosiek lubi najbardziej? Białe szczurki, myszy i inne gryzonie.
Ostatnio pożyczał mini atlas o jadowitych węzach świata. W ce-
lach hodowli. Odetchnęłam. Chyba wszystko w porządku. Musia-
łam zyskać pewność. Pogrzebałam w torbie.

– Mam chleb z whiskasikiem – zakomunikowałam kotu.

Zero reakcji.

– I szprotki – dodałam. – Chodź do pani, poproś ładnie.

Przeciągnął się niespiesznie. Podeszedł, otarł się o kolana i dał się
pogłaskać trzy razy.

Jedliśmy w milczeniu świecąc oczami.

Ubrana w ręcznik zadrzałam do szafy i wyciągnęłam prochowiec.
Kot był w środku. Jadł szprotki. Obok siedziała jakaś bździa-gwa w
szortach i wsuwała chleb z pasztetem.

– Macie żarcie? – spytałam uprzejmie. – Dajcie kawałek.

Wzięłam kromkę i zamknęłam drzwi.

Wyciągnęłam prochowiec?!

– Behemot – powiedziałam. – Mógłbyś naprawdę coś zrobić. Nie
po to nazwałam ciebie Behemot, żeby nie mieć z tego żadnego po-
żytku.

Spojrzał na mnie, zrobił koci grzbiet, błysnął oczyma.

– Masz problem – rzekł. – Wiesz jaki?

– Zapewne zaraz mnie oświecisz – prychnęłam.

– Siedzisz w szafie, a nikt poza tobą nie opanuje sytuacji na ze-
wnątrz. Wiesz co znoszę od rana słuchając rapu?

Kocio lubił Sade, Stonesów i kołysanki Mozarta.

– I jak się ubierasz? Co to za szmaty?

– Po pierwsze – odparłam z godnością – jak dobrze wiesz, byłam
w pracy. Zarabiałam na chleb z whiskasikiem. A szmatą jest ulu-
biona służbowa koszula szwagra, więc nie pyskuj. Mógłbyś mi do-
prawdy pomóc samolubie.

Młasnął, oblizał się szeroko.

– Hm, jestem dobry w krańcowych przypadkach. Jeżeli sobie nie
poradzisz, obiecuję, że zmienię się w krwiożerczą bestię, choć

trudno urosnąć na żarciu, którym mnie karmisz.

– Nie narzekaj – powiedziałam zastanawiając się.

Przez moment siedzieliśmy w milczeniu. Sięgnęłam ręką w głąb szafy, pomacałam. Trafiłam na zakurzone druty od wiecznej robotki. Wyjęłam je. Przykucnęłam w bezruchu. Pewna myśl zaświtała mi w głowie. Czy walcząc z nimi walczę ze sobą? Taką, jaką jestem? Jeżeli je zranie, czy będę również poraniona? Nie popełnię błędu, może przebiję siebie jak Dorian portret? Zrobiło mi się słabo. Uchyliłam drzwi. Impreza trwała nadal, weszła właśnie w fazę dekadencji. Nie mogłam się już wycofać. Z samurajskim okrzykiem wypadłam na zewnątrz. Tocząc dookoła wściekłym wzrokiem i gubiąc ślinę, rzuciłam się w bój, kłając i siekąc drutami. Z zaskoczenia wzięłam kilka pierwszych facetek. Poczułam ból w ręku, na ciele, spojrzałam, krew leciała. Miałam rację, beznadzieja. Ale z uszkodzonych dziewczyn jak z balonów z sykiem zaczęło uchodzić powietrze i wkrótce rozpląszczyły się na podłodze. Nie zwracając już uwagi na rany z zapalem przystąpiłam do dzieła zniszczenia. Napatoczyła się Rita. W ręku trzymała odwróconą zbitą butelkę. Oczy miała granatowe z gniewu. Wahałam się tylko chwilę. Ugodziłam ją drutem, uskoczyłam przed butelką, poprawiłam z drugiej strony. Ze straszliwym krzykiem Rita zaczęła się kurczyć.

– Głupia – dyszała z wściekłością. – Beznadziejnie głupia. Zostaniesz sama. Już zawsze zostaniesz sama...

Odwróciłam się i zobaczyłam jeszcze jedną, ubraną w kostium, w którym byłam dzisiaj w pracy. Plamka z atramentu, którą rano zrobiłam, zdobiła kieszonkę. Dziewczyna patrzyła na mnie poważnie, bez uśmiechu. Zawahałam się, a wtedy ona wyjęła rękę zza pleców. Błysnęło ostrze finki. Uchyliłam się i ugodziłam ją z boku. Westchnęła, upuściła nóż. Umierała bez słowa.

Rzuciłam druty i osunęłam się na podłogę. Rozplakałam się. Płakałam tak, jak chyba jeszcze nigdy w życiu, wylewając cały nagromadzony żal i smutek. Poczułam, że coś mnie szturcha w plecy. Odwróciłam się. To była czarna pantera. Z jednej strony pyska zwisał jej jakby balon, z drugiej szprotka. Przytuliła się. Poglaskałam lśniące, skołtunionie futro. Czułam, że dzieli się ze mną swoją siłą.

– Nie chciałbym poganiać, ale zupełnie zniszczymy dywan – rzekł po chwili kot.

Spojrzałam. Przez dziurawą koszulkę sączyły się małe strumyczki krwi, ściekały i wsiąkały w dywan. Behemot był ranny w ogon.

– Masz rację – powiedziałam.

Wstałam obolała i kulejąc poszłam do łazienki. W ostatniej sekundzie cofnęłam rękę z klamki.

– Poczekaj – poprosiłam kota.

Ściągnęłam narzutę z kanapy, zgasiłam światło. Kucając, na oślep podeszłam do lustra i okręciłam je w kape.

– Dosyć mizdrzenia się i kokietowania – ogłosiłam.

Opatrywaliśmy siebie nawzajem. Wyczerpaliśmy cały zapas apteczki. Owinęłam ogon fachowym kłosem. Behemot smarował mi maścią plecy.

– Masz za duże plecy jak dla mnie – narzekał. – Powinnaś wynająć masażystę.

– Właśnie wynajęłam. Bardzo przystojny i miły, czarny jak heban plus zielone oczy. Zjesz coś kociu? Tylko wytrzyj łapki.

– Nie trzeba mi dwa razy powtarzać.

Mięso w tym domu jadał kot. Był stworzeniem luksusowym i wybrednym.

– Podroby? Jutro zabierzesz mnie do mięsnego i sam wybiorę.

– Dobrze – zgodziłam się potulnie. – A później pójdziemy do rybnego i wymienię cię na małego delfina.

– Cha, cha, jakie śmieszne.

– Cha, cha.

Mieszkanie przypominało pobojowisko. Chwyciłam szczotkę. Wymiatając z kątów szczątki sublokatorek, zebrałam je szufelką do kubła i spuściłam zsytem w ostatnią podróż. Lustro było za duże, musiałam wynieść je na śmietnik. Zebrałam butelki i inne śmieci do wiadra, lustro zawinięte w kokon wzięłam pod pachę. Przy kontenerze na szkło dogonił mnie sąsiad. Towarzyszył mu administrator domu i dzielnicowy. Dzielnicowy był młody, przystojny i trochę niepewny. Uśmiechnęłam się do niego dodając otuchy.

– Pani Hempolińska? – zapytał.

– Tak jakby, to zależy – odrzekłam, wdzięcznie opierając się o po-

jemnik.

– Od czego? – spytał odruchowo.

– Wkrótce zmieniam nazwisko.

– Wychodzi pani za mąż – ucieszył się sąsiad.

– Za kogo? – dodał po chwili z niepokojem.

Mogłam powiedzieć, że za muzyka rockowego, ale pożałowałam sąsiada.

– Waham się pomiędzy Kareninem a Bovarym. Dwóch wchodzi w rachubę. Właśnie bili się między sobą, stąd hałasy, w sprawie których zapewne panowie do mnie przyszli.

– Tak, tak – władza uśmiechnęła się dziarsko służbową miną nr dwa. Przebiłam ją belferską za pięć punktów.

– Myślałam, że jest u pani rodzina?

– Wynieśli się po angielsku. Poszli łapać ostatni osobowy.

– Tak... rzekł wolno dzielnicowy kartkując nieduży notes. – Adres lokalu... Mam... Zawód pani?

– Hobbysta – powiedziałam odruchowo.

– Słucham?

– Bibliotekarz – odpowiedziałam.

– Pierwsze mi się podobało. Proszę niech pani wrzuca śmieci, nie krępuje się.

– Poczekam – powiedziałam, dyskretnie wsuwając butelki po szkockiej za połę płaszcza.

– Chciałbym jeszcze zapytać... Który z nich panią pobił?

– Słucham?

– No, który z kochanków panią pobił i czy chce pani wnieść skargę? - wydukał zaczerwieniony dzielnicowy wskazując na moje since, podbite oczy i czepiec Hipokratesa.

– Prędzej by im ręka uschła – zachichotałam nerwowo. – Kot mnie podrapał. Chciał pomarcować. Broniał drzwi i okien.

– Co to? – dzielnicowy zainteresował się narzutą.

– Prezent od rodziny. Ozdobna rama ze szkłem na portret ślubny. Tradycyjny rodzinny żart.

– Żart – powtórzył. Wyjął służbową granatową chustkę w groszki i otarł nią czoło.

– Uhm. Też uważam, że w nie najlepszym guście, więc...

– Proszę pokazać – zażądał i zdecydowanym ruchem chwycił za-

słonę.

Zostawiłam lustro, kubek i padłam na ziemię. Zaskoczony dzielnicowy wypuścił z rąk pakunek i krzycząc „padnij” wykonał to samo, a za nim sąsiad i gospodarz domu. Zwierciadło w pustym kontenerze poszło w drobny mak.

Podniosłam się i otrzepałam.

– Mysz po mnie przebiegła, a obrzydliwa jestem – wyjaśniłam zgromadzonym.

Bez słowa wstali i patrząc dziwnym wzrokiem, zaczęli szybko się oddalać, po drodze strzepując resztki śmieci, główki szprotek itp.

– „Dziwny jest ten świat” – zaintonowałam w drodze do domu, dzwoniąc kubelkiem po płocie.

Ulepiłam bałwanka, wstawiłam do lodówki. Nazywa się Charlie, od czasu do czasu zmieniam mu marchewki. Behemot jest trochę zazdrosny, choć próbuje go ignorować. W trójkę czekamy wiosny. Pewnego dnia ktoś zastukał do drzwi.

– Pani do kogo? – uprzejmie spytałam otwierając.

Kobieta spojrzała zdumiona.

– Jestem przecież twoją matką, przyjechałam z wizytą.

– Jest pani pewna, że nie zamieniono pani dziecka w kolebce?

– Małgosia, nie wygłupiaj się – odrzekła ze zniecierpliwieniem kobieta i weszła do środka.

VIII 97



Lukasz Gireń

Ostap Łapski

przekład z języka ukraińskiego

Tadeusz Karabowicz

Porzucenie
ziemi ojcowskiej
mój tato przeżywał:
nadzwyczaj boleśnie?!

Bo wiedział
że tutaj zupełnie:
zaginię bezpamięci?!

Tak przeżywać,
takich przeżyć,
takiego żywota
uczony byłem: uczyć się od ojca

opus 133

Wyznaj

Jesteś starcem
i dzieckiem: zmieszany
w jednej osobie?!

Nie ma już środka
mąż – mężczyzna – nie istnieje
Już go: nie wspominasz?!

Jeszcze, jeszcze, jeszcze
i będziesz duchem marnotrawnym
który: wyłania się z grobu?!

9 II 2003, W, OJ/122

Największe szczęście

Większego nie znam
siedząc w chacie,
której już dawno
nie ma,

myślami błądzić
po świecie
którego we mnie
za chwilę: nie będzie?!

8 IV 2003, W, OJ/196

Będzie

Po policzku
łza płynie,
wielka?!

Nie płakać
uczę się:
u życia kresu ?!

Nie wołam
śmierci nagłej
było: już wołałem?!

6 V 2003, W, OJ/214

Stąd

Przez gąszcze lat,
ściany deszczów,
przez zaćmy śnieżne
widzę: dom ojcowski?!

Duch jego kolujący
dla mnie: dalekiego
przeszłością drogi?!

Tę spójność z domem
w samotni głębokiej
przeżywam tutaj?!

Hermann Hesse

przekład z języka niemieckiego

Dorota Milanowska

Czerwiec

z: „Piła marmurowa”, 1904 r.

To był chyba najbujniejszy czerwiec, jaki przeżyłem do tej pory i najwyższy już czas, żeby znów taki nadszedł. Mały ogród kwiatowy przed domem mego kuzyna pachniał wtedy i kwitł, jak nieposkromiony: georginie zasłaniające uszkodzony płot stały grube, wysokie, z mocnymi, okrągłymi pąkami, z których szparek wyglądały żółte, czerwone i fioletowe młode płatki. Smolinos palił przesadną miodową żółtością i pachniał tak spokojnie, tęskniąc, jak gdyby wiedział, że zbliża się koniec jego dni, że musi niedługo przekwitnąć i ustąpić miejsca innym. Cicho, jakby medytując, na grubych, szklistych łodygach stały wyprostowane balsaminy, szczupłe i zamyślane lilie, radośnie jasnoczerwone, lekko zdziczałe krzaki róży. Jak na wyciągnięcie ręki prawie nie można było dostrzec ziemi, jak gdyby cały ten ogród był jedynie dużym, kolorowym, radosnym bukietem wylewającym się zza małego wazonu, na którego brzegach prawie dusiły się róże, a w środku brutalnie i odważnie prezentował się dumny, płonący bukiet turków ze swymi dużymi, wybujałymi kwiatami.

Od dwóch tygodni nad ziemią stało nieruchomo gorące, błękitne niebo. Rankiem czyste i uśmiechnięte, po południu otoczone niskimi, powoli rosnącymi, stłumionymi piłkami chmur. Nocą, to z bliska, to z oddali przychodziły burze. Ale każdego poranka, kiedy budziłem się, a w uchu grzmiał jeszcze piorun, niebo znów błyszczało niebiesko i słonecznie i całe było przesiąknięte światłem i gorącem.

W tych dniach, z radością i bez pośpiechu zaczynałem mój własny sposób na letnie życie: krótkie przechadzki po żarzących się i spragnionych wody drogach polnych, przez ciepło oddychające łąny zbóż, z których śmiały się maki i chabry, kąkole i powoje.

Potem, długie odpoczynki w wysokiej trawie na krawędzi lasu, nade mną brzęczenie żuków, śpiew pszczół, cichutkie bzykanie w wysokim niebie. Wieczorem powrót do domu przez słoneczny kurz i czerwone złoto łąnów, przez powietrze pełne dojrzałości, zmęczenia i utęsknionego muczenia krów. Wreszcie długie, ciepłe godziny aż do północy spędzone pod klonem lub lipą, w samotności bądź towarzystwie znajomego, przy szklaneczce żółtawego wina. Luźne i radosne gaworzenie przy powiewach ciepłej nocy, nim gdzieś z daleka nie nadejdą pierwsze odgłosy burzy, a spod wystraszzonego, wzburzonego nagle wiatru ciężko, miękko i prawie niesłyszalnie wpadną w kurz polnych dróg pierwsze, powolne krople deszczu...

Było mi tak dobrze, jak jeszcze nigdy. Cicho i powoli przechadzałem się po polach i łąkach, szedłem przez zboża, trawy i wysoki szalej, leżałem bez ruchu, jak wąż w tym pięknym cieple, oddychając i delektując się cichymi, medytującymi godzinami.

I te odgłosy lata! Dźwięki, które uwielbiam, przy których człowiek staje się i szczęśliwy, i smutny zarazem: to nieskończone, aż sięgające północy cykanie świerszczy, w którym tak jak w spojrzeniu na morze, można zupełnie zatonać; ten szum chylących się zbóż; te ciche, w oddali czatujące odgłosy burzy; wieczorem bzyk komarów, nocą nabrzmiały, ciepły wiatr i namiętne uderzenia naglej ulewy.

Jak w tych krótkich, dumnych tygodniach wszystko żarliwie kwitnie i oddycha, żyje mocniej, pachnie, płonie. Jak ten przeobfity zapach lip w miękkich pokosach wypełnia całą dolinę. Obok zmęczonych, dojrzałych kłosów, kolorowe kwiaty polne pełne pożądania żyją, chępią się, żarzą i gorączkują w pośpiechu chwili, zanim, o wiele dla nich za wcześnie, usłyszają szemranie kosy!

Lipiec

z: „Między latem a jesienią”, 1930 r.

Pomimo niecznośnego gorąca tych dni dużo czasu spędzam na zewnątrz. Zbyt dobrze bowiem wiem, jak ulotne jest to piękno, jak szybko trzeba się z nim pożegnać, jak nagle jego słodka dojrze-

łość wędnie i umiera.

Tak jestem skąpy a zarazem pożądlivy tego piękna późnego lata! Chciałbym nie tylko zobaczyć, poczuć, powąchać, skosztować wszystkiego, co ta pełnia lata oferuje moim zmysłom. Chciałbym, ogarnięty nagłą żądzą posiadania, wszystko to zatrzymać i zachować na zimę, na nadchodzące dni i lata, na zbliżającą się starość. Nie jestem szczególnie ambitny, jeśli chodzi o posiadanie, łatwo rozstaje się z rzeczami, bez trudu potrafię je oddać. Ale teraz opanowuje mnie nagła chęć, by to wszystko zatrzymać, chęć, z której sam czasami muszę się śmiać.

Raptem stałem się bardzo pracowity. Dzień w dzień prześiaduję z ołówkiem, piórem, pędzlem i farbami w ogrodzie, na tarasie, na wieżyczce pod chorągiewką na dachu i próbuję zachować to i owo z tego kwitnącego, powoli znikającego bogactwa. Z trudem szkicuję poranny cień na schodach prowadzących do ogrodu, zwoje grubych łodyg glicynii. Pod wieczór próbuję imitować szkliste barwy rozpostartych w oddali gór, tak cienkich, jak podmuch, a zarazem promienistych, jak klejnoty. A kiedy zmęczony, bardzo zmęczony przychodzę wieczorem do domu i wkładam moje kartki do teczki, robi mi się smutno, gdy widzę, jak niewiele udało mi się uchwycić i zatrzymać.

Sierpień

z: „Akwarela” 1926 r.

W tych dniach powoli chylącego się lata unosi się w powietrzu szczególna przejrzystość, którą nazwałbym malowniczą, ale pod warunkiem, że słowo „malownicza” nie oznacza czegoś, co daje się łatwo namalować. Owa przejrzystość jest niezwykle trudna do wyrażenia, kusi jednak nieskończenie, by podjąć ten trud i zarazem rozstawić ją pędzlem. Tylko o tej porze roku kolory mają magiczną – niby klejnoty – pełną blasku siłę. Nigdy cienie nie są bardziej czułe, nie stają się przy tym nadmiernie chudymi. Nigdy nie ma świat roślin piękniejszych barw. Tylko teraz, kiedy wszystko musnięte jest już jesiennym przeczuciem, ale nie posiada jeszcze tej jaskrawej i wyrazistej uciechy kolorów prawdziwej jesieni.

Właśnie teraz w ogrodach stoją najjaskrawsze i najbardziej lśniące kwiaty roku. Tu i ówdzie palącą czerwienią kwitną granaty, tam dalej, tam znów georginie, cynie, wczesne astry, czarujące korallowe fuksje! Jednak prawdziwym wcieleniem tej późnoletniej, a zarazem wczesnojesiennej radości kolorów są ponad wszystko cynie!

W owym czasie kwiaty te często goszczą w moim pokoju. Na szczęście są bardzo trwałe. Z uczuciem niepowtarzalnego szczęścia i ciekawości śledzę metamorfozę takiego bukietu cynii od jego pierwszej świeżości aż do przekwitnięcia. Nie ma w świecie kwiatów nic bardziej promiennego i zdrowszego nad tuzin kolorowych, świeżo ściętych cynii. Trzaska on światłem i krzyczy z radości. Dosadna żółtość i pomarańcza, śmiejąca się czerwień, zdziczały fiolet, często przypominające kolory wstążek na niedzielnych strojach prostych, wiejskich dziewcząt - zawsze można postawić obok siebie nieposkromione barwy, zmieszać je wedle woli, a i tak pozostaną zachwycająco piękne. Nie tylko błyszczą gwałtownie, ale też troszczą się o siebie, podtrzymują ze sobą znajomość, wspierają się nawzajem.



Łukasz Gireń

TADEUSZ DAWIDEJT

ZABIŁEM

Najpierw muzyka – Grantchester Meadows Pink Floyd nadawana od pierwszych taktów. Po pewnym czasie skrzypienie drzwi, a potem ich gwałtowne zamknięcie zakończone głośnym klaśnięciem o framugę. Potem kroki, już bez muzyki, ta urywa się z zamknięciem drzwi. Kroki są drobne jak szuranie, delikatne jak tupot myszy. Potem skrzyp krzesła i szelest kartki papieru, podobny do odwracania kartki w książce. Dalej cisza i na to wchodzi zdyszany głos.

GAMUŚ (przyciszonym głosem i z trudnością, którą sprawia niedawny duży wysiłek, bardzo intensywny bieg): Zabiłem...

GŁOS (stanowczy i przywołujący do porządku): Zaraz. zaraz! Po kolei.

GAMUŚ (niepewnie): Ale?!

GŁOS (dalej stanowczo): Najpierw trzeba...

GAMUŚ: Ale ja ...

GŁOS: Spokój! Powiedziałem, spokój! Najpierw personalia.

GAMUŚ: Nazywają mnie Gamuś.

GŁOS: Gamuś?

GAMUŚ: Gamuś Krasnal.

GŁOS: Krasnal. Tak.

GAMUŚ: Pan chyba wierzy ?

GŁOS: Tak, tak. Dlaczegoż by nie. Od Alaski po Antarktydę, wszędzie, jest pełno krasnali. Nigdy nie miałem przywidzeń. Nie dam się na nic nabrać. Gamuś jest, skoro go widzę. A że jest mały, zatem musi być krasnałem.

GAMUŚ: Niecałe trzy cale, jeżeli to coś mówi.

GŁOS: Co?

GAMUŚ: Niecałe trzy cale. Mierzyłem się niedawno.

GŁOS: Nie wolno się przyznawać do żadnych halucynacji. Halucynacja na służbie to wylanie na pysk.

GAMUŚ: Proszę pana, ja, zabiłem...

GŁOS: Cicho! Spokój! Wszystko po kolei. Najpierw...

GAMUŚ: Nazywają mnie Gamuś. Jestem...

GŁOS: To już wiadomo. Krasnal. I że to właśnie na mnie musiało...

GAMUŚ: Zacznę może od początku, jak pan pewnie chce. Pierwszego kwietnia...

GŁOS: Ach tak! Prima aprilis, a na pewno się omylisz... Albo coś w tym stylu.

GAMUŚ: Proszę pana, ja wcale nie pomyślałem, że to będzie można inaczej interpretować. Nie zastanawiałem się, kiedy wychodziłem z domu, że to pierwszego kwietnia. Niczego nie planowałem.

GŁOS: Tak, tak. Działanie w afekcie. Tylko czy to coś usprawiedliwi?

GAMUŚ: Było słonecznie i ciepło wyгнаło mnie z domu. Po-
stanowiłem przewietrzyć się po zimie. I coś mnie podkusiło...

GŁOS: Co takiego znów?

GAMUŚ: Ale to nieważne. Zobaczyłem samochód. Stał na po-
lanie ze wszystkimi drzwiami otwartymi na przestrzał. Chyba go wie-
trzyli.

GŁOS: Samochód? Jaki? Marka, kolor, numery rejestracyjne.

GAMUŚ: Był srebrny. I chyba opel. Ale dokładnie nie wiem. Nie znam się na samochodach. Nawet nie pomyślałem, że to będzie miało jakieś znaczenie. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że zabiję...

GŁOS: Spokój! Po kolei, dobrze?

GAMUŚ: Ale?!

GŁOS: Zajmijmy się tym samochodem.

GAMUŚ: Nawet mu się nie przyglądałem dokładnie. Coś mnie podkusiło, żeby wleźć do środka. Chciałem tylko na chwilę, ale zaraz z zarośli wyszło tamtych dwóch mężczyzn i musiałem wiać przed nimi, a nie było gdzie.

GŁOS: A jak wyglądali tamci dwaj mężczyźni?

GAMUŚ: To naprawdę nie ma znaczenia. Tak jak samochód...

GŁOS: Wszystko może mieć znaczenie. Każda osoba i każdy przedmiot.

GAMUŚ: Ależ to żadni świadkowie. Nie widzieli mnie wcale. Jak zatem mogliby zaświadczyć. I o niczym nie wiedzą. Pozamykali wszystkie drzwi, wsiedli na pierwsze siedzenia i wyjechali na asfalt. Gonili przed siebie, a ja nie miałem pojęcia, jak z tej kłopotliwej sytuacji się wygrzebię. Długo myślałem, aż wreszcie znalazłem młotek i

kawałek rury.

GŁOS: I wtedy...

GAMUŚ: Nie, jeszcze nie wtedy. Zabiłem potem. A wtedy chciałem tylko zatrzymać samochód. Waliłem od czasu do czasu młotkiem w rurę, żeby tamci mogli to usłyszeć. Aż jeden z mężczyzn zapytał: czy słyszysz, jak coś stuka? A gdzie? – zapytał drugi i chwilę słuchali. Postukałem jeszcze kilka razy, a jeden z nich powiedział, że to może tylny most. I zatrzymali się, żeby sprawdzić. A wtedy ukradkiem opuściłem samochód i ukryłem się za dużym kamieniem.

GŁOS: Żeby stamtąd zaatakować?

GAMUŚ: Nie, jeszcze nie! Samochód zaraz odjechał, a ja mogłem sprawdzić, że wysiadłem akurat na przystanku autobusowym koło Cisowej Góry.

GŁOS: W Gulbieniszkach.

GAMUŚ: Dokładnie. I jak na złość zaczęła się psuć pogoda. Śniegowe chmury szybko zakryły słońce. Najpierw tylko prószyło, ale potem zerwała się prawdziwa zamięć.

GŁOS: Kwiecień – plecień.

GAMUŚ: Właśnie. Ale chociaż śnieg nie powinien zaskakiwać o tej porze roku, porządnie mnie zaskoczył. Rozglądałem się przezornie dookoła. Blisko stały pojedyncze zabudowania, obora, jakieś klatki z ptactwem. Pobiegłem i wślizgnąłem się do obory, żeby tam przeczekać nawałnicę. A tam zaraz odurzyły mnie owe wszystkie ciężkie zapachy inwentarza i przestałem się kontrolować. Zamiast spokojnie przeczekać, wyciągnąłem z zanadru swój cienki rapier, złożyłem się i zaatakowałem.

GŁOS: Co?

GAMUŚ: Muchę.

GŁOS: Muchę?!

GAMUŚ: Tak, muchę! Trafiłem od razu i zabiłem na miejscu. Zabiłem. Rozumie już pan?

GŁOS: Muchę?! A potem co?

GAMUŚ: Mówię przecież wyraźnie! Zabiłem muchę. Muchę!

GŁOS: Nie rozumiem.

GAMUŚ: My krasnale jemy muszki, zabie łapki i...

GŁOS: Jak w piosence.

GAMUŚ: Tak. Ale muchy mają swoje okresy ochronne. I nie wolno ich wtedy w żaden sposób napastować ani tym bardziej zabijać. Jednak pech chciał, że zabiłem muchę, kiedy jej okres ochronny jeszcze się nie skończył.

GŁOS: A co mnie tam obchodzą jakieś polowania na muchy! Chyba wolno mi ze spokojem stwierdzić, że cały czas halucynowałem i spasować z tym wszystkim. Czy to takie trudne, żeby powiedzieć sobie, że nie ma krasnali i basta? Nie ma żadnych krasnali...

GAMUŚ: Ale proszę pana! Ja specjalnie przyszedłem o tym zawiadomić. Zabiłem muchę i ...

GŁOS: I co z tego?

Milczenie. Cicha muzyka Pink Floyd, fragmenty pierwszej części The Narrow Way.

GAMUŚ (po przerwie): Proszę mnie dobrze zrozumieć. Skoro tylko do tego doszło, zaraz rozpętało się istne piekło. Nie wiadomo skąd wyszedł jakiś świerszcz i przywołał jeszcze dwa leniwe o tej porze roku chrabąszcze. Wszyscy oni chcieli świadczyć przeciwko mnie. I skoro niczego nie dało się ukryć czy zatuszować, musiałem uciekać. Ale im więcej czasu upływało, tym więcej prześladowców deptało mi po piętach.

GŁOS: A co mnie to wszystko...

GAMUŚ: Ale niech pan posłucha. Uciekałem w stronę Turtula, bo na Smolniki odcięto mi drogę już na samym początku. Od kamyka do kamienia, od miedzy do miedzy. Byle dalej i byle jak najdłużej być nieuchwytnym. I miałem szczęście, bo pogoń ruszyła nie w moim kierunku. Nie przewidzieli widać, że wybiorę gorszą i dłuższą drogę. Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej i coraz więcej pożywienia polatywało nad światem. I byłoby całkiem dobrze, gdyby nie ciągła obawa, że kiedyś to całe tałatajstwo dopadnie mnie wreszcie i po swojemu osądzi.

GŁOS: Ale to przecież tylko halucynacja. Halucynuję, bo nie ma żadnych Gamusiów. Od Alaski po Antarktydę...

GAMUŚ: Ja proszę, żeby mi nie przerywać. Teraz ja mówię i o żadnej halucynacji nie może być mowy. Skoro zabiłem i gonią mnie, to nie można wymawiać się halucynacjami. Proszę pisać protokół. Domagam się tego i proszę. Czy pan mnie rozumie?

GŁOS: Tak. Spisać protokół, ale... tak, papier... nawet dla świętego spokoju...

Szelest papieru, potem dźwięk papieru wkręcanego do maszyny.

GŁOS (monotonnym i mrukliwym tonem): Krasnal Gamuś zabił...

Muzyka początku Syzyfa Pink Floyd i wyciszenie.

APOLONIUSZ CIOŁKIEWICZ

FILETY Z DOWCIPU

Smakowicie się zaczyna...

Dzisiaj się to na szczęście już raczej nie zdarza:
Ludożercy złapali raz fraszkopisarza,
na początku ze skóry obdarli rzetelnie,
pokroili w paseczki, no i na patelnię!

A kucharz prosi: Ruszcie teraz wszyscy głową,
bo jakoś trzeba nazwać tę potrawę nową!

Zwyciężył taki pomysł (spośród wielu typów):
Potrawa zwać się będzie „filety z dowcipu”...

Idealne małżeństwo

Od wielu lat (daję słowo!)
w harmonii trwamy niezmiennie:
Ja - nastawiony pokojowo,
a moja żona – kuchennie....

O szybie

Patrząc na szybę, pani spytała zdumiona:
- Dlaczego tak się chwiejesz? – Bo jestem wstawiona...

Życie literackie

Sięgnął, gdzie wzrok nie sięga, chciał posłuchać wieszczu
i w tym oto tragedia jego dziś się streszcza,
że za kratą więzienia srogo osadzony
miłośnik Mickiewicza cierpi za miliony...

Historyjka

Popatrzcie tylko na wołu:
Rozbiera się do rosółu!
Mówicie, że to jest blaga?
Rzeźnik trochę mu pomaga...

Krótki wykład

Dla żądnych awansu
daję wykład krótki:
Im wyższe są stolki,
tym niższe pobudki...

Ryzykant

Pograża się w zadumie,
choć nie umie myśleć...

Pocieszanka

Gdy nie może darować moich wrogów tłuszcza,
że poczucie humoru wciąż mnie nie opuszcza
i krytykuję wszystko ponad zwykłą miarę,
pocieszam: Ja to wszystko mam właśnie za karę...

Asekurantka

Pewna panna z miasta Jaworzna
do przesady była ostrożna.
Nigdy nigdzie się nie śpieszyła,
tak, że nawet się nie urodziła,
bo ryzyka wszak podjąć nie można...

Niekiedy

Starszy człowiek niekiedy wybiega przed szereg,
kiedy na drogowskizie nie widzi literek...

Szablon

Nieprzeciętnych wycina... Zawzięty, jak diabli!
A może on naprawdę jest kuzynem szabli?...

KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI

AFORYZMY

Żeby ważyć słowa, trzeba czuć ich ciężar gatunkowy.

*

Dziwne to pogranicze kultur. Zwłaszcza kultury materialnej z duchową.

*

Nowa miotła wcale nie oznacza, że sabat nie pozostał ten sam.

*

Ludzka małość w eleganckim opakowaniu lepiej się sprzedaje.

*

Skleroza potrafi ovladnąć człowiekiem bez opamiętania.

*

Instynkt stadny pobudza w nas owczy pęd za baranem.

*

Kobieta bez wad byłaby istotą wadliwą.

*

Pomiędzy snieniem i olśnieniem trzeba się czasem przebudzić.

*

Ludzie prawi mogą nie mieć szczęścia do prawa.

W człowieku z charakterem charakter nie powinien klócić się z człowiekiem.

*

Lepiej nie uszczęśliwiać ludzkości, wystarczy nie okradać jej ze szczęścia.

*

W muszli wyrzuconej na brzeg morze długo nie może się wysumieć.

*

Przy stopie życiowej widzę miejsce dla pucybuta.

*

Dzisiaj umywa się ręce w wodzie robionej ludziom z mózgu.

*

Nawet dla Robespierre'a rewolucja okazała się marzeniem ściętej głowy.

*

Aferzyści potrafią żyć pełnią nadużycia.

*

Karty historii najczęściej rozdają szulerzy.

*

U nas jak prawo, to obowiązkowo nie bez kaduka.

*

Dzisiaj głowa przychodzi po rozum do telewizora.

*

Co się w życiu liczy? Na przykład barany przed snem.



Łukasz Gireń

Stanisław Ślusarek

OBOWIĄZEK PAMIĘCI

Stanisław Ślusarek – ur. 26.08.1928, Strzelcowizna n. Czarną Hańczą. Rodzice Lucjan i Julia z d. Żłobińska. Ojciec był kolejno gajowym, starszym gajowym, po wojnie – leśniczym na terenach Suwałskiego i Augustowskiego. Rodzina mieszkała w Lipowie, po wojnie – w Tobołowie, w którym mieściło się leśnictwo. Szkoła powszechna w Czerwonym Krzyżu; naukę przerwała wojna, później we wsi Macharce. Gimnazjum Mechaniczne w Suwałkach. Z II klasy zabrany na trzy lata do wojska /1946-48/; dokończenie nauki w Technikum Mechanicznym w Suwałkach. W trakcie matury dyrektor Ryłski /przedwojenny oficer/ zaproponował pozostanie w szkole – rok pracy w Biurze Technicznym, w warsztatach. Studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej, po pół roku przeniesienie się na studia zaoczne na Politechnice Warszawskiej, jednocześnie studia i praca nauczyciela zawodu w Technikum Mechanicznym w Białymstoku. Udzielanie się w NOT /funkcja przewodniczącego Stow. Inżynierów i Techników w Technikum Mechanicznym przez kilka kadencji/, sukcesy wychowanków na polu ogólnopolskim: wielu zwyciężało w konkursach organizowanych w województwie przez NOT i na szczeblu centralnym, w Naczelnej Organizacji Technicznej w Warszawie, co dawało wstęp bez egzaminu na studia politechniczne. Po 30 latach pracy w jednej szkole - emerytura i 4 lata Wyższego Seminarium Duchownego w Białymstoku. Świecenia kapłańskie w 1988 r. Ksiądz Stanisław mieszka w Białymstoku.

1933–1863 Uroczystość patriotyczna w Puszczy Augustowskiej

W 1933 z inicjatywy ówczesnego proboszcza Mońkiń oraz pracowników Nadleśnictwa Głęboki Bród przygotowano wielką uroczystość poświęcenia krzyża w miejscu, w którym modlili się powstańcy 1863 roku. Uczestniczyli w niej wszyscy uczniowie dookólnych szkół i okoliczni mieszkańcy. Krzyż stanął w środku potężnej puszczy, o dwa kilometry od naszego Lipowa. Wyświęcenia



Powstańczy krzyż
pod koniec XX w.

dokonał ks. Mieszko z Mońkiń, kapelan z I wojny św. W tym miejscu zrobiono wcześniej, w trakcie przygotowań, ogromne, amfiteatralnie umieszczone w naturalnie ukształtowanym terenie, drewniane schody. Dobrego materiału dostarczył tartak w pobliskim Płocicznie. Wiekowe mocarne dęby, podniebne sosny, ten imponująco wysoki krzyż, panująca patriotyczna atmosfera – słowem, była to podniosła uroczystość.

A w naszym domu miało być przyjęcie. Z dużego pokoju wyniesiono łóżka, stały długie prowizoryczne stoły, ponakrywane w części białymi obrusami, w części

prześcieradłami. Mama coś tam przygotowywała w kuchni. I przyszedł do niej, dobrze pamiętam, taki staruszeczek, bielutka głowa, nazywał się Adeszko /ktoś utrzymuje, że raczej Koronkiewicz/, przysiadł na stołeczku i opowiadał mamie – a ja słuchałem z przejęciem, o powstańcach – że jako chłopak on im służył, coś im przynosił, z Sarnetek, bo tam mieszkał. A ja jeszcze do szkoły nie chodziłem – i tak słucham! Taki żywy język słyszałem, język świadka – nie mogłem od niego oczu oderwać.

Po tym poświęceniu krzyża upamiętniającego Powstanie Styczniowe i jego bohaterów dyrekcja lasów państwowych zmieniła nazwę z „Lipowo” na „Powstańczy Wał”. Umieszczono tablicę z nową nazwą i polskiego orła.

Pamiętam i taki drobiazg: przed wojną mieszkał u nas na letnisku jakiś inżynier czy kolejarz. Raz, w niedzielę, zrobiliśmy z nim wycieczkę drogą powstańców; było nas kilkoro dzieciarni, i on. Nie mogliśmy przejść spokojnie przy tych potężnych dębach, próbowaliśmy je objąć i chyba trzech – czterech nie było w stanie, tak miały ogromne rozmiary. Zapamiętałem, że ten inżynier bar-

dzo nas strofował, że tak się niestosownie zachowujemy, że tak nie wolno, bo to brak szacunku wobec bohaterów narodowych. „W takim miejscu tak się zachowujecie!... W takim miejscu!” - pamiętam jego zgorszony ton.

Podczas okupacji

W 1940 wróciliśmy z Polesia, dokąd tato pojechał, razem z leśniczym Wierzbickim, jako opiekun rodzin leśniczych. Mężowie po podpisaniu przez Polskę z Rosją paktu o nieagresji zostali zmobilizowani. Po 1 IX 39 niektórzy, jak nasz sąsiad Giedroń, wrócili do domu, inni, np. nadleśniczy Osmelak, przeszli na Litwę.

Mieszkaliśmy we wsi Stara Strzelna, tam jeszcze przed 17 IX rozbroiła nas sowiecka partyzantka; całą noc trwała strzelanina w pobliskim nadleśnictwie, ale ponieważ nie zostały przecięte druty telefoniczne, zadzwoniono do Janowa Poleskiego. Tam było polskie wojsko i już rano zjawili się w tej wsi. Wyznaczyli podwozy i pojechaliśmy do Janowa Poleskiego. Stamtąd pociągiem, chyba do Brześcia. Widziałem, jak ludzie wszystko – pistolet, dubeltówkę, karabin, lornetkę, co kto miał – wyrzucali w bagna, wzdłuż których pociąg jechał. A na lokomotywie – już wywieszona biała flaga... Do Grodna, następnie chyba po tygodniu – różnymi podwodami – do Krasnego Boru. Tam został pan Wierzbicki, bo miał tam rodzinę, a my po kilku dniach – do Sajenka.

W pobliskiej Studzienicznej przebiegała granica sowiecko-niemiecka. Chyba wiosną 40 r., kiedy ukazały się obwieszczenia, że ci co pochodzą z terenów zajętych przez Niemców mogą wracać do siebie, ojciec z bratem napisali podanie. Na Lipowcu koło Augustowa załadowali nas w bydlęce wagony. I już jechaliśmy... z Augustowa do Suwałk... ponad dwa tygodnie, przez Brześć n. Bugiem /tu była komisja niemiecko-sowiecka/, Białą Podlaską, Pabianice, Łódź. W Białej Podlaskiej Żydzi jeszcze chodzili po mieście, mieli tylko gwiazdę Dawida, a już w Pabianicach – byli za drutami, i my byliśmy za drutami, tuż obok.

Wreszcie załadowano nas w pociąg do Suwałk. W Giżycku stał kilka godzin, Niemcy pozwolili pójść do miasta po chleb /u Niemców chleb był na kartki/, a my całą dobę nie mieliśmy ani kropli wody, ani kruszynki chleba.

Pewnego razu natrafili na krzyż Niemcy. Była w lesie tzw. trzebież: chodzą leśniczy, gajowi, leśniczy niemiecki Biman /później został zabity przez partyzantów/, jeszcze tam ktoś i znakuje drzewa do wycinki. No i natrafili na ten krzyż, ogrodzenie, te potężne schody w środku puszczy... Niemiecki leśniczy pyta: „Co tu jest?! Co tu jest?!” A mój tato mówi, że tu się kiedyś powstańcy modlili, że walczyli z ruskimi. A Niemcy wtedy już też byli w wojnie z Rosjanami. Ten tylko machnął ręką: „Ganze egal” i poszli dalej.

Ale później Niemcy kazali orły pozdejmować. Ojciec z bratem zdjęli „Powstańczy Wal” i na powrót przykręcili „Lipowo”; tę zdjętą tablicę tato schował w dużej skrzyni ze zbożem na strychu, ale – obie spały się później w pożarze. W 44 r., kiedy nadchodził front, nocowaliśmy w lesie; któreś nocy poczulśmy dym – Niemcy odchodząc podpalili nasze domy, tzn. nasz i sąsiada.

Historyczne miejsce w wolnej Polsce

Kiedy zostałem księdzem, zamyślałem to miejsce upamiętnić. Bo ten krzyż z 1934 r. i był już zniszczony, i miejsce zupełnie zginęło wśród nowego lasu, jakichś dzikich zakrzewień, znikła dawna droga, którą chodzili w tamto miejsce powstańcy styczniowi... To już był początek lat 90. Odnalazłem Dyрекcję Wigierskiego Parku Krajobrazowego, wybrałem się z wizytą do dyrektora, przedstawiam sprawę. A on tylko machnął ręką i z jakąś irytacją czy złością powiada:

– A kto to będzie robić!

– To wrogowie tłamsili naszą historię i w dalszym ciągu będziemy ją tłumić? – odpowiedziałem mu i z dużą przykrością wyjechałem stamtąd.

Ale tego dyrektora chyba po roku zwolniono, a nowy chętnie tę myśl podjął. A ponieważ powstanie jest związane z wojskiem, to – mówi – nawiążemy łączność z jednostką wojskową w Suwałkach i za kilka miesięcy, na jesieni, nowy krzyż, jakąś kaplicę mieli wyświęcać. Obiecali mnie zawiadomić, zaprosić.

I za jakiś czas przychodzi kolejna wiadomość: że jednostkę wojskową zabrano w inne miejsce, a nowy dowódca nie chce sobie sprawą historycznego krzyża głowy zawracać...

Kiedy zamiar się ziści?

Minęło sporo lat, nastał wiek XXI – dowiaduję się, że mój dawny uczeń z Technikum Mechanicznego, który jest księdzem, Edward Kamiński, został mianowany pomocnikiem ks. biskupa elckiego. Pomyślałem sobie: „Jest okazja, żeby się tym zajął.”

W czerwcu tego roku /2005/ z zaprzyjaźnionym ks. Jerzym Kolnerem, który mnie zawiózł, wybraliśmy się do Mońkiń. Później pojechalśmy na Lipowo i z leśniczym mieliśmy pójść przez Sarnetki w to miejsce krzyża. Powstańcy drogę mieli od nas, prosto z Lipowa. Teraz tamtej drogi już nie ma, samo się zalesiło, żadnych śladów drogi.

Przez lata krzyż był trochę uszkodzony, ale stał. Teraz leży, spróchniały, mimo że dębowy.

Noszę się z zamiarem utworzenia szlaku. Od Czerwonego Krzyża, przez Lipowo i takiego miejsca, co się nazywało Kopańki, dróżka prowadziła do polany, która nazywała się Wierstawek /Wierstawka?/ i stamtąd szło się do krzyża, omijając Sarnetki. Harcerze mieliby szansę poznawania historii ojczystej, urządzania wycieczek, uroczystych zbiórek itp. Ale – potrzebne jest zainteresowanie nie tylko moje...

Ksiądz bp Kamiński to jeszcze nie wie, o co chcę Go prosić. Na razie przez pośrednictwo trzeciej osoby przekazałem mu zdjęcie z figurą Matki Bożej; to jest moje wotum za ocalenie od rozstrzelania, i niecierpliwie czekam na jakiś kontakt. I mocno wierzę, że na tym historycznym miejscu, o które mamy obowiązek się troszczyć, wkrótce wzniesie się krzyż, nowy, w którym znajdą się elementy tamtego z 1933 roku.

O AK w Puszczy Augustowskiej i moim ocaleniu w 1943

A to historia z drugiej wojny światowej. W miejscu, w którym stał mój dom, w 1943, podczas walk gestapo ze sztabem AK, w chwili rozstrzeliwania, Matka Boża uratowała mi życie. Było to w Lipowie, w pobliżu jeziora Wigry.

Niemcy wiedzieli, że Polacy spokojnie nie usiedzą, więc dali swoich ludzi, żeby tworzyli struktury „partyzanckie”. I któreś no-cy – wszystkich aresztowano. To później bardzo uważano i z wiel-

ką ostrożnością odnoszono się do takich działań. Pewnego razu przyszedł do ojca nasz sąsiad, Feliks Giedrojc, że u niego na podwórku jest ktoś w żołnierskim płaszczu, w rogatywce, że chce porozmawiać z gospodarzem.

Poszliśmy wszyscy: ja, brat, ojciec, Giedrojc. Rzeczywiście, stał gdzieś w kącie podwórka taki prawdziwy żołnierz, i pamiętam, na nasz widok powiedział: „Hooo, czterech na jednego!...” Prosił, żeby ojciec dał znać gajowemu Grabowskiemu, że chce się z nim spotkać, no i chciał u nas przenocować. Raniutko ojciec pojechał rowerem... /Niemcy zaraz na początku okupacji przyszli po Grabowskiego, to były pierwsze aresztowania. Mieli gotowe listy./

Później przychodził taki młody partyzant, przynosił mel-dunki; nieraz całkiem przemoczony. Przeważnie spał u sąsiadów. To był „prawdziwy partyzant” – też chciałem być takim. Miał pseudonim „Wrona”. Kiedyś mieli za zadanie zdobyć jazy, tam Niemcy zrobili silne umocnienia przeciw partyzantom. On miał ciężki plecak. To sobie pomyślał: „Zginę, to mi nie będzie potrzebny, a jeśli przeżyję, zabiorę go wracając” i zostawił ten plecak gdzieś po drodze. Jazy spalili, czterech czy pięciu zginęło, on przeżył, ale później zapomniał o plecaku... Pamiętam, jak mówił, że gdyby znalazł się w sytuacji bez wyjścia, to nie dałby się wziąć żywcem. Całą wojnę przeżył, a po wojnie cztery lata siedział we Wronkach za miłość do Polski... /Mieszkał później w Głębokim Brodzie i po latach – dowiedziawszy się o tym – odwiedziłem go. Otworzył mi biały staruszek. „Wrona czy nie Wrona?” zawołałem na powitanie i rzuciliśmy się sobie na szyję./

Więc wtedy chyba przez tydzień stał we wsi Sztab AK, obok nas, u tego sąsiada Giedrojcia. Rano Giedrojciowie pojechali do Suwałk, ojciec do lasu, mój brat młócił cepem w stodole. Pies zaszczeakał w kuchni... Otwieram okno – a tam pełno Niemców!

Sam sobie zrobiłem drewniany pistolecik na groch, na gumkę – to pierwsza rzecz: wrzuciłem go w ogień! Gdybym tego nie zrobił, byłoby po mnie... Niemcy okrażają nasz budynek, otwierają bramę, strzały padają od partyzantów, Niemcy otwierają huraganowy ogień, chcą utorować sobie bezpieczne dojście do domu za nami, w którym są partyzanci. Przez sad, chowając się za pnie dębów, głowę w piasek – i ciskają granaty. A ja stoje w kuchni, drzwi

na oścież otwarte, i widzę: od Giedrojciców partyzanci wyskakują i w las, jeden po drugim, jeden po drugim... Jeden stoi przy ogrodzeniu i ostrzeliwuje się, osłaniając uciekających. Gdyby na moim miejscu był Niemiec, to byłaby masakra. I wszystkim udało się uciec. Zostały tylko dzieci, które schowały się do piwnicy. Nasze drzwi frontowe są otwarte – Niemiec ciska w nie granat: drzwi, okna – powyrywane, a ja stoję w tym gęstym dymie. Dym się nieco rozwiął, dopiero wpada gestapowiec /z lotnego Gestapo, mówiliśmy o nich „jachtkomando”/ – przyklęknął na jedno kolano i zgrywa celownik, mierzy do mnie, krzycząc „banditen!”. Nie zdążył nacisnąć, a ja już leżę na ziemi! Wcześniej, w ułamku sekundy pomyślałem, żeby być przyjętym do nieba, do Matki Bożej. Nie wiem, jak to się stało, a raczej – wiem, że to opieka Matki Bożej mnie ocaliła.

Hitlerowiec zrewidował mi kieszenie, na szczęście pistolecik drewniany już był spalony. Jeden mnie kolbą, drugi kopniakami, jak się przewrócę, to znowu obrywam, jak usiłuję wstać, to znowu padam pod razami; skuli mnie na zewnątrz w kajdanki /14-letni chłopak!/. A brat młóci cepem, jak głuchy, wcale nie reaguje na to, co dookoła. Patrzę – prowadzą brata, dokuli do mnie, prowadzą nas do stodoły. Brat jeszcze zdążył zapytać: „Czy nic nie powiedziałeś?! Pamiętaj, nic nie wiesz!” Na krótko zamknęli nas w stodole.

Otwierają drzwi stodoły: „Rrrraus!”... Chyba z sześćdziesięciu chłopca, wszyscy się czołgają, a my idziemy przed nimi. Przypomniały mi się żywe tarcze, spod Legnicy chyba?... „Halt!” Stoimy. Dwaj Niemcy czołgają się i rzucają do mieszkania Giedrojciców granaty; wszystko się rozleciało, a to był niedawno, w 37 r. budowany dom, zdrowe drewno. Jak mówiłem, rodziców nie było, a dzieci i ten, co u nich krowy pasł, uciekli do piwnicy. Naokoło stoją z wymierzonymi karabinami, każą wychodzić z piwnicy – a tu zamiast „polskich bandytów” wychodzą dzieci... Giedrojciewicz mieli kilkoro dzieci /Wanda, Marianna, Henryka, Tadeusz, Genia. Później ich razem z matką wywieźli do Prus na roboty/. Nas rozkuli. Koło stodoły był stóg słomy – widzę, idzie stamtąd jeden i mówi po polsku, pokazując karabin: „Ooo, byli bandyci, karabin zostawili”.

Prowokator, żadnego karabinu nie było /jak Księdzu Popieluszcze podrzucili, co chcieli, to potem znaleźli – te same metody/. A Niemcy wszystko, co im wpadnie w ręce, i ubrania, i żywność, ładują na wozy.

I patrzymy: ojca gonia. Tato był dwa razy ranny, raz pod Lwowem, a raz polował na kaczki, łódka się chybotnęła, i śrut poszedł w łydkę – to nie chodził dobrze, zawsze z laseczką. A Niemiec kopniakami – co tato wstanie, to od kopniaka się przewróci, co wstanie, to się przewróci, co wstanie, to upadnie... Tak go przykopali przed dom:

– Tu u ciebie bandyci byli!

– Do mnie nikt nie przychodził – mówi ojciec. – Usłyszałem strzały, zostawiłem w lesie robotników i siedłem na przełaj do domu.

– A gdzie twój sąsiad!

– Wiem, że miał jechać do miasta.

– Macie się zgłosić na posterunek, z sąsiadem /posterunek był w Suchej Rzecze/.

Odjechali. Nadchodzi wieczór. Przychodzą znowu partyzanci; jest narada.

– Musiał ktoś udać, donieść. Przecież to środek puszczy. Inaczej by się nie dowiedzieli...

Dowódca, pseudonim „Zaręba”, Józef Chiliński, mówi do ojca:

– Czy to nie ty?!

– Strzelaj! – powiedział ojciec, rozrywając koszulę na piersiach.

– To jak nie ty, to cię przeproszę...

I co się później okazało: jakiś pułkownik był aresztowany przez Niemców. Jego żona, chcąc go ratować, obiecała im, że za uwolnienie męża naprowadzi ich na sztab AK. Niemcy dotrzymali słowa i pułkownika wypuścili, mimo że partyzantów nie złapali. Podobno, kiedy w 39 r. polskie wojsko miało kapitulować, on zbierał porzuconą broń, konserwował, kazał zakopywać po lasach – szykował do przyszłej walki. A po tym uwolnieniu oboje poszli do lasu.

Tamtego dnia Niemcy postawili patrole, wszędzie – od Augustowa, od Suwałk, od Sejna, i wszystkich po kolei sprawdzali, każdą przejeżdżającą furmankę. Czekali na Giedrojcia. Jego córka, Wanda /koleżanka moja ze szkoły/ powiedziała mi po latach:

„Stasiu, czy to nie był cud? Nikogo nie przepuszczali bez kontroli dokumentów. I – zachciało się im cygara zapalić.” Odeszli na bok, a w tym czasie Giedrońc sobie spokojnie przejechał – ten, na którego czekali!

Pamiętam, że w 43, może w 44 r. partyzanci przygotowali dużą akcję – mieli rozbijać więzienie w Suwałkach. Nocą przeprawiali się przez Wigry. Było stamtąd najbliższej do klasztoru wigerskiego i w tym miejscu Czarna Hańcza przepływała przez jezioro, a przy brzegu cumowały duże łodzie rybackie. Musieli wyciągać potężne pale, do których były na kłódkę przymocowane łodzie, wrzucali te pale z łańcuchem i kłódką do łodzi, namordowali się, bo całą operację „logistyczną” musieli – jeszcze raz. A rano wszystko musiało być na swoim miejscu, łódki przy palach, bez żadnych śladów. Ojciec mówił, że gdy się partyzanci przed akcją zbierali u nas na podwórku, Omilianowicz też był wśród nich – a najpewniej nigdy nie był autentycznym partyzantem... Skąd tato go znał i czy w ogóle znał? Przypuszczam, że Omilianowicz mógł być rozpoznawany jako autor wierszyków okolicznościowych, związanych z okupacją i partyzantką. Pamiętam jakiś dwuwiersz, nie wiem, czy jego autorstwa:

»Jedzie chłop do gminy z kontyngentem

robią chłopu niespodziankę zaraz za zakrętem...«

/Chodziło o to, że leśni odebrali masło komuś, kto wioził je na obowiązkowe dostawy Niemcom. Chłopcy nie mieli jednak chleba i musieli jeść po trosze samo masło./

Jednak tę akcję na więzienie w Suwałkach w ostatniej chwili odwołano; partyzanci zostali po tamtej stronie, i nie wiem, co z nimi było potem.

Późnym wieczorem przed tą akcją, z gajowym Grabowskim, nieśliśmy leśnym bigos /w wiadrze/, kazał mi wyczuwać dróżkę nogami, wokół ciemności egipskie. Doszliśmy do ogromnego świerku, obok paliło się wielkie, wysokie ognisko ze szczap, a oni odwracają się ku ogniovi – raz przodem, raz plecami, żeby się trochę ogrzać. Było pod jesień, zimno. Nagle ten, który stał na czatach, zawołał: „Stój, kto idzie?” „Swoj”. „Co za swój!?” „To Ludwik” – zawołałem, rozpoznawszy po głosie tego, który u nas i u Giedrońcia pasł krowy. Ludwik przyszedł od partyzantów zebra-

nych u nas na podwórku i przyniósł rozkaz, żeby zwijali obóz i dołączyli do grupy, która miała rozbić więzienie w Suwałkach. Chcieli uwolnić dużą grupę aresztowanych Akowców, m.in. leśniczego z Tobołowa, Szeliskiego, który też zakładał pierwsze struktury AK i kontaktował się z ojcem. (Tego leśniczego powieszono w grupie 14 skazańców, na rynku w Suwałkach.)

Niemcy mieli metodę: najpierw rannego wyleczyć, potem – na tortury, przesłuchania. W Suwałkach była łączniczka AK. Powiadomiła o rannym partyzancie w szpitalu. Akowcy, ubrani w gestapowskie mundury, idą tam, obok bloku Ukraińców, bo on stał w pobliżu szpitala; Ukraińcy zasalutowali, widząc wyższą szarżę niemiecką. Szpital zamknięty. „Gestapo!” – naturalnie, drzwi się otworzyły. Cały personel zamknęli w jednym pomieszczeniu. Z drugiej strony, za rzeką, czekały sanie. Był wśród nich Julek Wierzbicki, ze swoim oddziałem, syn taty kolegi – leśnika. Julek Wierzbicki zginął później w walce z Niemcami.

Jego ojciec po wojnie siedział więcej niż rok w więzieniu. Wśród partyzantów był szpicel, pracował jako leśniczy. Wierzbicki na przykład mówił, że kiedy pracowali razem i ktoś przechodził, szpicel się zaraz interesował, kto to. Naturalnie, wtedy jeszcze nie mieli pewności co do tego, kim był.

Więc wracając do tamtego cudownego ocalenia – chciałem w tym miejscu postawić kapliczkę z figurą Matki Bożej, jako wotum wdzięczności. Pomogli mi dawni znajomi, Statkiewiczowie, z Tobołowa. Ich nieżyjący już ojciec, Witold, był moim kolegą ze szkoły. Przygotowaliśmy cementowy fundament, postument, do tego tablicę ze stali kwasoodpornej. Literę pomogła mi wypisać Beata, dzielna osoba. I w latach dziewięćdziesiątych ta kapliczka stała w Lipowie, dawnym Powstańczym Wale, między Sarnetkami a Czerwonym Krzyżem, a w uroczystym jej poświęceniu uczestniczyli: ksiądz Jan Skibis z Mońkiń, leśniczy Bronisław Bednarek z rodziną, no i ja.

A nawiązując do początku tych wspomnień, do puszczańskiego powstańczego krzyża: w roku 2004 minęła 70. rocznica jego postawienia, a rok wcześniej – 140. wybuchu Powstania Styczniowego. Wciąż żyję nadzieją, że to święte miejsce naszej przeszłości już wkrótce zostanie godnie uczczone.

Jadwiga Bogumiła Cichońska

NA KANWIE PEWNEGO LISTU - OPOWIEŚĆ

Bogumiła Cichońska - ur. 1927 r., Białystok. Rodzinnie związana z kilkoma postaciami, o których m.in. opowiada (siostra Maurycego Klima, właściciela Żuchowa; bratanica ks. prałata Antoniego Cichońskiego, prof. Seminarium Duchownego w Wilnie, po wojnie w Białymstoku, więźnia Workuty, skąd powrócił w 1946 r. Z zawodu ekonomistka.

Kazachstan

*/.../U NAS JUŻ TAKŻE WIOSNA. STEP SIĘ ZAZIELENIŁ /.../
IRTYSZ RUSZYŁ, ROZLAŁ SWE WODY NA KILKANAŚCIE KM DO-
KOŁA, WYGLĄDA TO JAK MORZE. MIESZKAMY NAD SAMYM JE-
GO BRZEGIEM, BIELIZNĘ W NIM PŁUCZEMY!.../*

Ten list – od pani Lucyny Musiałowej, z Kazachstanu, datowany 19 V 1941 r. – trafił do mnie od córki pani Repelowskiej, Klimci. Państwo Repelowscy byli nauczycielami w Chodorówce, on był kierownikiem szkoły. Przed samą wojną przeniesiono ich, chyba do Dąbrowy Białostockiej czy Starej Kamiennej /na trasie Grodno – Białystok/, a do Chodorówki przyjechali na ich miejsce państwo Musiałowie.

Starobielsk

On poszedł na wojnę – i przepadł. Pani Lusia pisze w tym liście:

*MARTWI MNIE JESZCZE TO, ŻE OD MĘŻA NIE MAM DO
TEJ PORY WIADOMOŚCI. SOBOLEWSKA Z SUCHOWOLI OTRZY-
MAŁA JUŻ OD MĘŻA TRZY LISTY, JEST ON KOŁO URALU!.../*

Nie znam losów państwa Sobolewskich z Suchowoli. Co do męża pani Musiałowej, po latach okazało się, że zginął w Starobielsku. Ona z dwójką dzieci została w 40. roku wywieziona do Rosji. Tym samym transportem wywieziono i moją ciocię. To była bratowa mamy, Helena Klim. Do niej tamtego dnia akurat przyszły siostrzenice /jedna może 15-letnia, druga 14-letnia/, a ciocia powiedziała: „Zostańcie na noc”. A

nad ranem przyszli sowieci.

I razem je zabrali: panią Musiałową z dziećmi, a ciocię – z siostrzenicami. W jednym transporcie zostały wywiezione, do Kazachstanu, koło Pawłodaru.

Kamieniołom za sen

Ciocię Helenę aresztowali jeszcze nawet tam! Za co? Za sen. Jedna z Polek, żona podobno jakiegoś notariusza, była szpiclówką i doniosła NKWD. Zebrało się kilka kobiet i ciocia opowiadała, jak śniło się jej, że nad tym budynkiem, w którym był urząd NKWD, powiewała polska flaga. Sąd był i – nie pamiętam, na ile – skazano ją do kamieniołomów. Została zwolniona dopiero po umowie Sikorski – Majski, kiedy dla Polaków zrobiono „amnestię”. I w 46 r. wróciła do Polski.

A te dziewczynki Wandzia i Jadzia Mączyńskie, nie wróciły.

Jeszcze kiedy ciocia siedziała w więzieniu, zaczęto zabierać dzieci sieroty. Jedna z nich pojechała właśnie jako dziecko – sierota, druga, starsza, jako opiekunka dzieci, czy z wojskiem /dokładnie nie pamiętam/. Rozdzielono je i każda tę daleką drogę, przez Persję, do Afryki i Anglii, musiała przebyć sama. Spotkały się dopiero w Anglii.

Do Polski nie wróciły. Jedna mieszka w Kanadzie, koło Montrealu, druga, w Stanach Zjednoczonych, w okolicach Nowego Jorku. I właśnie wtedy, kiedy ciocię posadzili do więzienia i dziewczynki zostały same, to pani Musiałowa - pisze o tym w liście - wzięła je do siebie.

NIEDAWNO ZMIENIŁAM MIESZKANIE. WYNAJĘŁYŚMY WSPÓLNIE Z BEDNARCZYKOWĄ STARY DOMEK, PÓLZIEMIANKĘ, GDZIE ZIMĄ STAŁA KROWA. OKNA SĄ PRZY SAMEJ ZIEMI, DO DACHU DOSTAJE SIĘ ŚMIAŁO GŁOWĄ. DACHY SĄ TU PŁASKIE NA CHATACH, BO STRYCHÓW NIGDZIE NIE MA, MAZANE GLINĄ, ZMIESZANĄ ZE SŁOMĄ. NA DACHU SUSZYMY POŚCIEL OD WILGOCI I OPAŁ, DRZEWO I „KIZIAKI” SŁAWETNE, KTÓRYMI TU SIĘ PALI /JEST TO KROWI NAWÓZ, PRZEROBIONY ZE SŁOMĄ I WYSUSZONY/. BEZ TEGO TU ŻYĆ NIE MOŻNA. SAMI MUSIELIŚMY PRZEPROWADZIĆ TU REMONT CHATY, WYMAZAĆ JĄ GLINĄ, WYBIELIĆ I WYBUDOWAĆ PIECYK DO GOTOWANIA /.../ WEJŚCIE PRZEZ CHLEWIK. WYSOKOŚĆ TAKA, ŻE RĘKĄ MOŻNA DOSTAĆ DO SUFITU, A ZAMIAST PODŁOGI MAMY UBITĄ ZIEMIĘ/.../ WZIĘŁYŚMY DO SIEBIE DZIEWCZYNKI MĄCZYŃSKIEJ, BO ONE ZOSTAŁY TU SAME, BEZ ŻADNEJ OPIEKI/.../

One, przed wojną mieszkały w Warszawie. Ich mama, Zofia, była siostrą Maurycego. Zawsze przyjeżdżały na wakacje do babci.

Babcia mieszkała niedaleko syna. A Maurycy i Helena Klimowie byli właścicielami majątku Żuchowo /to był spory majątek, ponad 90 hektarów/. Wojna je zaskoczyła, już nie wróciły do Warszawy. Nastąpiła okupacja sowiecka. I trzeba trafu, że tamtego dnia, kiedy przyszły do ciotki, ona powiedziała „Zostańcie na noc.” Dlaczego tak powiedziała? Przecież z dnia na dzień spodziewano się, że mogą ciotkę wywieźć. A była tam jeszcze najmłodsza siostra mojej mamy, żona oficera, Wanda Woycikiewiczowa. Ich mężowie byli po stronie niemieckiej, w Warszawie.

Archangielsk

Wujek Maurycy dowiedział się o wywózkach i usiłował wrócić, przejść przez zieloną granicę. Był już niedaleko Białegostoku, gdzieś chyba koło Czeremchy – i wpadł w łapy bolszewików. Wsadzili go do więzienia w Białymstoku, osadzili na trzy lata i zesłali do Archangielska, do tajgi. I przepadł bez śladu. Mam jego ostatni list pisany do mamy. Był tam pod obcym nazwiskiem /za swoje pewnie dostałby znacznie więcej/. Pisałam do ambasady rosyjskiej; dostałam kilka adresów, w tym do Memoriału rosyjskiego, i w inne miejsca – nic. Pytałam o prawdziwe nazwisko – nigdzie nie mieli. Później dostałam to obce, posłałam odpis listu, i wtedy znaleźli. Dostałam odpowiedź, że tak, że był skazany na trzy lata; amnestionowany w 41 r. /42?/, zwolniony z łagru, wyjechał „w stronę Uralu”. Czy do miejscowości, gdzie formowało się wojsko polskie? A może, bo pisało się między wierszami, że Helena jest w Kazachstanie, może jechał jej szukać? I ślad zginął. Mógł nawet po drodze z głodu umrzeć. Dowiadywałam się w spisie zaginionych żołnierzy polskich w Anglii /dostałam z Londynu/ - nie mieli takiego nazwiska.

Wywózka

...Więc, kiedy przyjechali w nocy po obie ciotki /jak mówili „porucznice” i „pomieszczice”/, one uciekły drugimi drzwiami do ogrodu. Ciotka Wanda przybiegła do nas /bo myśmy blisko mieszkali/, bosiutko. To w kwietniu było. Szron był na kładce. Na koszulę nocną tylko futro narzuciła, i tak uciekła. Tata szybko się ubrał. Wiedział, że przyjdą szukać, bo to bliska rodzina. Dali ciotki buty i szybko wyprowadził ją daleko, do lasu /było umówione miejsce/. I udało się ją ocalić przed wywózką. Ciotka Helena uciekła w inną stronę; za ogrodem rosła olszyna, schowała się pod krzakami. A własny pies za nią przybiegł i pies ciotki wydał. Do nas też, oczywiście, przybiegli. Wpadli,

zaczęli szukać pod łózkami. Całe szczęście, że nie pytali, gdzie tata. To pamiętam jak dziś, taki Żyd Rabow z Suchowoli chodził z tymi ruskimi i szukał. I mówi:

- Parucznicy zdzieś nie było? - Mama udała, że o niczym nie wie:

- A co się stało?!

- Udrała, swołocz - tak powiedział. Mama na to:

- A dzieci?! Tam były dzieci!

- Noo, zostały.

Mama nie czekając ubrała się i pobiegła. Odważna: przecież mogli i ją zabrać. A one, biedne, już się zaczęły pakować. Za chwilę mama pa-trzy przez okno - prowadzą Helenę: ręce nad głową, bolszewik z wy-celowanym karabinem za plecami, bagnet nastawiony...

Pożegnanie

Powieźli je trzy, ciocię i te dziewczynki. Wozami do Chodo-rówki, a tam też panią Musiałową z dziećmi, Jurkiem i Danusią, zapa-kowali na furmankę. Tata wyszedł na szosę, gdy cały sznur furmanek jechał - bo i z Korycina zabierali, i z innych miejscowości - pożegnać się. Też odważny - podziwiam, przecież sami mieli ośmioro dzieci! Potem jedna z dziewcząt, Wanda, pisała w liście z zesłania: „...pamiętam, że wyszedł, koło cmentarza, na górkę, pożegnać się. I powiedział:

Pamiętajcie: „Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju

czy w tajgach Sybiru nam zgnić,

z trudu naszego i znoju

Polska powstanie, by żyć!”

Miałam więcej listów, ale dużo poginęło w czasie frontu, jak odchodzili Niemcy, a szli bolszewicy. Sowieci urzędowali przez dwa tygodnie; poniszczyli dużo rzeczy. W krzakach - przepraszam - załatwiali się na świadectwo maturalne. To siostra musiała czyścić, skro-bać - bo dokument był przecież potrzebny. O, taka hołota szła. Strasz-na.

Więzienie w Grodnie

Ciocia Wanda Woycikiewiczowa po ucieczce ukrywała się, a potem zamierzała dotrzeć do męża Witolda, do Warszawy. Była przygotowa-na przeprawa przez zieloną granicę, umówiony przewodnik. Zebrali się kilka rodzin, które chciały się dostać na niemiecką stronę. Furman koniowi kopyta szmatami pookręcał. A w okolicy Ornety, za Suwałka-mi, wydał ich bolszewikom. /Później, kiedy przyszli Niemcy, uciekł ze

Sztabina. Nazywał się Czapla/. Wanda znalazła się w więzieniu w Grodnie. Więziono ją aż do wybuchu niemiecko-rosyjskiej wojny. Więzienie znajdowało się blisko farnego kościoła. Raz pojechałam z mamą, żeby podać paczkę. Kilka godzin stałyśmy w kolejce; to była zima, nogi sobie poodmrażałam. Ciocia Wanda podała fałszywe nazwisko /Wanda Janicka/, inaczej znalazłaby się na Syberii. Warunki w więzieniu były okropne. Po uwolnieniu, przez siostry Nazaretanki zawiadomiła nas /mama moja i ona były ich uczennicami/ i tato pojechał po nią rowerem. Wychudzona, cała w bliznach, ranach; zęby wyjmowała ot, tak. Po drodze do domu, w Skidlu, białoruskiej wiosce, strzelano do nich! Jej mężowi udało się później przyjechać do Żuchowa. Niemcy prowadzili tu gospodarstwo – u nich pracował. I znowu uciekali, kiedy w 45 roku szli sowietci. Ciocia bała się, że „predsiedatiel” z Chodorówki, ten, który sporządzał listę na wywózkę w 41, znowu ją wyda sowietom. Ten człowiek w 46 r., kiedy parcelowali Żuchowo, powiedział do ludzi: „Razniesti ich po kusu”.

W tym więzieniu, nie znając jej wcześniej, Wanda spotkała żonę mego stryja, Kazimierza Cichońskiego, Zulę. Na tydzień przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej Zula zmarła w tym więzieniu na dyzenterię. /Jej mąż był inwalidą wojennym. W 20. roku, rannemu, bolszewik chciał odciąć palec z sygnetem – nie mógł ściągnąć, bo ręka była spuchnięta. Ocaliła go polska odsiecz.

„Tak jak te bociany...”

Jak mówiłam, nie wróciły te Mączyńskie po wojnie do ojczyzny. Wanda przyjeżdżała może 2 – 3 razy, dopóki żyła ich mama. Ale Jadzia nie była ani razu. Kiedy po wojnie niektórzy powracali, matka napisała: „Wracajcie.” A one odpisały jej tak: „Mamo, żebyś Ty wiedziała, jak nas ciągnie do Polski. Tak jak te bociany lecą wiosną do Polski, tak i my byśmy wracały na skrzydłach. Ale – czy Ty nam zagwarantujesz, że nas to samo drugi raz nie spotka?” I pozostały na Zachodzie.

Paczki na Wschód i na Zachód

Pani Musiałowa pisała do tych państwa Repelowskich takie tragiczne listy, że nie mają co jeść. I wiem, że dzieci ze szkoły, te, które uczyła w Chodorówce, zbierały, co mogły, i robiły paczki. O, tu pisze: *WSZYSCY MARZĄ O URODZAJU I OBIECUJĄ SOBIE, ŻE WTEDY NAJEDZĄ SIĘ CHLEBA DO SYTA. DUŻO CHORUJE TU NA CYNGĘ, JEST TO CHOROBA DZIAŚEŁ I NÓG OD ZŁEGO ODŻYWIANIA*

*I BRAKU WITAMIN. RATOWAŁAM SIEBIE I DZIECI OD NIEJ JE-
DZĄC CHLEB ZE SŁONINĄ, KTÓRĄ NAM PRZYSYŁAŁY DZIECI Z
CHODORÓWKI, I GOTUJĄC ŻUR KISZONY Z ŻYTNIEJ MĄKI.
WCZESNĄ WIOSNĄ ZBIERAJĄ DZIECI CEBULĘ NA STEPIE I
SZCZAW. INNYCH WITAMIN NIE MAMY. DLATEGO WŁAŚNIE
WSZYSTKICH PROSIŁAM O CEBULĘ, CZOSNEK, FASOLĘ,
GROCH, KRUPY.*

I jeszcze na początku:

*WDZIĘCZNOŚĆ MOJA I WZRUSZENIE BYŁY BARDZO
WIELKIE. PACZKĘ OTRZYMAŁAM W TRAGICZNYM JUŻ MOMEN-
CIE, BO OPRÓCZ PARU KILOGRAMÓW ŻYTNIEJ MĄKI I KG
CHLEBA, KTÓRY OTRZYMUJEMY NA ROBOCIE, NIC WIĘCEJ NIE
MIAŁAM/.../*

A Florcia /moja siostra/, którą wspomina w dopisku, że „...za jej pośrednictwem można coś załatwić...” pracowała w Sztabinie w aptece, u znajomych. Też jak mogła, wraz z tymi ludźmi, przygotowywała i posyłała paczki. Pani Musiałowa widocznie o tym wiedziała, stąd ten dopisek.

Z paczkami za niemieckiej okupacji był i taki przypadek: napisał żołnierz polski z oflagu, przez kolegę, z prośbą o paczkę. Na kopercie był adres: „wieś Krzywa”. Krzywa jest koło Chodorówki, jak się jedzie do Augustowa. Ale w tej wsi takiego nazwiska nie było. Siostra akurat poszła po coś tam na pocztę i Niemiec tam pracujący pytał ją o to nazwisko i chciał list wyrzucić do kosza. Siostra powiedziała: „Proszę mi dać ten list. Zobaczę, może kogoś znajdzie.” No i zaraz zaczęła zbierać to to, to owo; poszła też po pomoc do księdza. I wysłała paczkę. Tak nawiązał się kontakt z tym żołnierzem i później nieraz wysyłała mu paczki. On pisał z tego obozu, jak obchodzą Boże Narodzenie, jak ubierają choinkę – ale te listy nie zachowały się, bolszewicy poniszczyli. On i fotografie przysyłał i tylko one w albumie siostry się zachowały, choć też nie wszystkie. A on prawdopodobnie pisał do Krzywej koło Łap, bo na kopercie /którą widziałam/ był dopisek „woj. Białystok”.

Klimcię, córkę państwa Repelowskich, spotkałam kiedyś przy okazji zjazdu wychowanków gimnazjum w Augustowie. Z jakiejś rozmowy z księdzem Wacławem Chilmonem (który pochodzi z Dąbrowy i zna Repelowskich z tamtych lat, kiedy w Dąbrowie mieszkali) dowiedziałam się, że jej ojciec pracował na kolei, sprawdzał stan szyn, i informował Akowców o transportach niemieckich. No i po latach powiedziałam jej o tym, na co się zdziwiła.

„Nie musiałaś o tym wiedzieć. Ja też dopiero teraz się dowiaduję, że mój tato był w AK i że podobno pełnił odpowiedzialną funkcję. Ale nie znam pseudonimu i nie wiem, czy uda mi się dowiedzieć. Ci, co wiedzieli więcej, już nie żyją”.

Dziesięć lat za walkę o Polskę

Znam tylko pseudonim swego brata, Zdzisława: „Sikora”. Siedział w PRL 4 lata i kilka miesięcy. Byłam na rozprawie sądowej na Mickiewicza. UB go aresztowało. Był w kopalni, był w obozie koło Nakła, w Potulicach. Na 10 lat go skazali. Tylko amnestia sprawiła, że wyszedł na wolność wcześniej.

A pani Lusia wróciła z dziećmi. Była po powrocie nauczycielką w szkole podstawowej w Suchowoli. Jej córka Danusia skończyła studia i też była nauczycielką. Syn Jerzy, ten OTLICZNIK, został lekarzem. Pani Musiałowa już nie żyje. Była blondynką o niebieskich oczach; chesała się gładko, w koszyczek. Nieraz z nią rozmawiałam /jeszcze mnie wtedy uczyła, bo ja pracując w Suchowoli kończyłam wieczorową podstawówkę, w której ona też uczyła/, ale o wywózce i Kazachstanie – nie rozmawialiśmy. Wyjechała później do Dąbrowy Górniczej, w rodzinne strony.

...no i właśnie Klimcia /obecnie Kwiatkowska, mieszka w Słupsku/, z którą jesteśmy w kontakcie telefonicznym, któregoś razu mi powiedziała przez telefon:

- Wiesz, mam taki list pani Musiałowej, z Syberii. Tam jest wzmianka o Twojej siostrze – przysłę Ci ksero.

19. X. 1941 r.

Kochani Mów Rodacy!

Piszę do Was Kochani razie, bardzo mocno i serdecznie drżąc
tęskniąc za wami. Prawdę o Was otrzymałam 16. X. Wierzę, że moja
i wasze były bardzo wielkie. Prawdę otrzymałam w tragicznym
momencie, że spóś parę kilogramów wagi, męski i kg. ci
ba, który otrzymał na robocie, nie mógł nie umierać. A
Danusia była chora od dwóch tygodni, lekarz z tego na gar
to chora, uszy i języczka komplikacje, o której trudno pi
sac. Hozile, ona chorowała i wyglądała od furka, że to choruje.
Byłam rozpaczała jej chorobą, bo niedawno umarła u nas
paleka drewniana, Genia Misiek, 10 lat jej było, ładna, młoda
rumiana, zdrowa. Matkę jej aresztowano w listopadzie jesieni.
to ona, kiedy ona umarła, było się Dusi, że stała, z nią i k
Fragment listu Lucyny Musiałowej z zesłania, Krasnokuck, 1941 r.

Stanisław Marian Marczuk

XXV— LECIE NADZIEI „SOLIDARNOŚCI”

Inżynier mechanik, długoletni konstruktor Fabryki Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku. W latach 1981–1991 Przewodniczący NSZZ „Solidarność” Region Białystok. Członek Komisji Krajowej Związku, delegat trzech pierwszych Zjazdów Krajowych. Kawaler Orderu Polonia Restituta od Prezydenta RP na Uchodźctwie w Londynie – „Za zasługi na rzecz odzyskania niepodległości Polski w okresie stanu wojennego”. W latach 1994–1998 Radny Rady Miejskiej w Białymstoku; senator RP IV kadencji.

Fala strajków, poza tymi dwoma w sierpniu, rozpoczęła się zaraz od początku września. Żądania miały charakter przede wszystkim płacowy, ale też pojawiały się już żądania wolnych związków zawodowych. Jako pierwsze zarejestrowały się dwa małe zakłady, Bujwickiego zakład Wodrol w Starosielcach i Michała Pietkiewicza, Eltor. Były to dwa sąsiadujące ze sobą zakładziki, tam takich nacisków jak w Uchwytach nie było specjalnie i oni pojechali do Gdańska i stworzyli już MKZ – Międzyzakładowy Komitet Założycielski Związków Zawodowych. Uchwyty, trzeba powiedzieć, miały tradycje strajkowe /z roku 1976/. Wówczas, razem z Fastami, jako załoga zostaliśmy potępieni. Z Uchwytów zwolniono wtedy represyjnie kilkanaście osób, z Fast również. Po-tem, jak powstała Solidarność walczyliśmy o przywrócenie ich do pracy.

Komitet Wojewódzki PZPR szczególnie czuwał nad Uchwytami: po 76 r. zawsze pierwszy sekretarz KW był honorowym przewodniczącym naszej zakładowej POP /podstawowej organizacji partyjnej/. W związku z tym kiedy Solidarność w Uchwytach zaczęła powstawać, to przez jakieś dwa tygodnie nie mieliśmy spokoju; wzywano nas codziennie, nigdzie nie mogłem się ruszyć, ponieważ byłem sekretarzem. Przewodniczącym był Sacharczuk,

robotnik. Ja się tam pojawiłem na tym strajku, zacząłem im podpowiadać i dlatego „ogłosili” mnie sekretarzem. No więc w czasie tworzenia się Solidarności dyrekcja widziała, że jej motorem są robotnicy, ale mimo to nie miałem żadnych możliwości pojechać do Gdańska, tak mnie pilnowano. A to robota jakaś pilna, to znowu coś, i tak dalej. Dyrektor wzywał nas codziennie; przychodziła pani z Komitetu Wojewódzkiego /nazwiska nie pamiętam/ i całe te „nasze” władze pilnowały nas, a w tym czasie powstały szybko związki branżowe. Przeczytałem ten statut, owszem, był w nim zapis o strajku, lecz do tego strajku praktycznie droga była niemożliwa, taką wymyślono drabinę różnych przeszkód, a to pozwolenia aż gdzieś z centrali...

Nasz natomiast statut zakładał możliwość strajku. Oczywiście, ten nasz statut nie był zatwierdzony, więc – nielegalny. Wtedy krajowe władze wprowadziły, wśród chyba 11 punktów, walkę o prawo do strajku. My już mieliśmy jakieś kontakty z tą Komisją Krajową ówczesną - ona się nazywała wtedy nieco inaczej – i nawet pogotowia strajkowe były ogłaszane; była to forma nacisku na władze, by zgodziły się na prawo do strajku.

Przystępowaliśmy, rzecz jasna, do tego pogotowia strajkowego, co nie zmienia faktu, że w tym czasie nasz statut był tymczasowy i nielegalny. Dyrekcja usiłowała nas zniechęcić, aż wreszcie ten przewodniczący zakładowej Solidarności, Sacharczuk, pięścią walał: „Solidarność u nas musi być i basta”, no i wtedy się skończyły te codzienne rozmowy-naciski. To co mówię, dotyczy drugiego zakładu Uchwytów, Cetów, przy Szosie Północno-Obwodowej. Tam najpierw powstała Solidarność, a przy ulicy Łąkowej, przy dyrekcji, nastąpiło to w jakiś czas potem, może po dwu tygodniach. No więc w tych Cetach robotnicy zdali mi książeczki CRZZ i trzymałem je w szafie pod kluczem jako dowód, że oni nie chcą mieć nic wspólnego z tymi związkami, tylko chcą wszyscy należeć do Solidarności.

Zdołałem się jakoś skontaktować wreszcie z panem Michałem Pietkiewiczem. To była cała historia: atmosfera niepewności, trochę strachu, trudno się było dowiedzieć, jak dotrzeć do tych dwu małych zakładów, w których Związek już był zarejestrowany. I nagle się dowiaduję, że nowy dyrektor Eltoru jest moim sąsiadem, i

mieszkają piętro niżej! Schodzę, dzwonię – otwiera żona. To było małżeństwo mieszane pod względem wyznaniowym, on był katolik, ona prawosławna. Powiada, że mąż w Warszawie. Sądziłem, że on w sprawie Solidarności do Warszawy pojechał. Otworzyłem się przed nią, że u nas w Uchwytach Solidarność działa, a ona tak słucha, słucha, a później jak krzyknie:

– Co? Dostaliście w Uchwytach wszystko! Czego jeszcze chcecie! Jak nie skoczy na mnie! Więcej się w tym mieszkaniu nie pojawiłem po prostu. Dotarłem wreszcie na spotkanie do Pietkiewicza i on wyjaśnił, że ten dyrektor jest w porządku i że się z poglądami żony co do wolnych związków zawodowych nie identyfikuje. Nawiazaliśmy wówczas jako Uchwyt kontakt z nimi; podpisaliśmy porozumienie z MKZ – i wtedy w skład MKZ wchodziły już trzy zakłady, a liczebność Związku bardzo wzrosła; przecież Uchwyt były potęgą, robotniczą potęgą.

Druga grupa zawiązała się w Białecie, przewodniczył Feliks Gołębiewski. Pamiętam, spotkałem się z nimi w pierwszych dniach, zaraz po tym, jak usłyszałem, że tam też coś się dzieje. Z kolegą Mogielnickim /?/ również inżynierem – przez płot, po cichu, żeby dyrektor o nas nie wiedział, by nie dopilnował, dokąd idziemy. W roboczych ubraniach, dotarliśmy tam, spotkaliśmy się z Gołębiewskim. I już wówczas nieufność pomiędzy nami była; Gołębiewski nas potraktował, że „no, wiadomo, kto do niego przychodzi...”; próbowaliśmy się dogadać, nic z tego nie wyszło. Dopiero teraz, kiedy nie udało się porozumieć z Białetem, zacząłem szukać możliwości skontaktowania się z panem Michałem Pietkiewiczem i z Bernardem Bujwickim, o czym wcześniej wspominałem.

Wkrótce okazało się, że Gołębiewski zarejestrował swoją komisję, Białetu, w Gdańsku, no i wokół tego Białetu powstał drugi jakby MKZ. Grupował Politechnikę, jakąś spółdzielnię budowlaną, Zakłady Graficzne /ich przedstawicielem, „Drukarni”, jak mówiliśmy, był Przestrzelski/. No i w związku z tym działały dwie niezależne grupy, we wzajemnej nieufności. My robiliśmy swoje, oni swoje, te kontakty nie były takie jak być powinny. Wspominałem już, że walczyliśmy o statut Solidarności, ten gdański, z prawem do strajku /dostaliśmy z Gdańska projekt/.

Mam tu bardzo ważny dokument. Krajówka walczyła o przyjęcie pełnego zapisu, jaki stworzyła Solidarność. Władze miały chyba aż 12 zastrzeżeń. Pamiętam, ogłoszono pogotowie strajkowe; jeżeli sobie dobrze przypominam, był chyba nawet godzinny strajk. Uchwyty przystąpiły i Biazet – to był chyba koniec września lub października. Spotyka się ze mną Pietkiewicz i powiada: „Panie Stanisławie, ja ten dokument mam. Dostałem list, jako przewodniczący, że Wałęsa odwołuje. Powinniśmy się dostosować.” I my odwołaliśmy to pogotowie strajkowe /czy ten godzinny strajk, dokładnie nie pamiętam/, a Biazet nie odwołał. To stało się dodatkowym powodem podejrzewania nas o jakieś nieczne sprawy, jeszcze powiększało nieufność. Tymczasem ten list od Wałęsy do pana Pietkiewicza, odwołujący akcję protestacyjną, mam tu gdzieś w swoich dokumentach,

No i – działały dwa niezależne MKZy, słowem – sytuacja nienormalna. Takim pośrednikiem, doradcą chyba jednej i drugiej grupy był Prutis. Działał tu i tam, miał informacje, co się dzieje, jakoś nas integrował. Ale w końcu te dwie grupy spotkały się w Gdańsku, przypadkowo. W tym czasie powstała również Solidarność w Uchwytach przy ul. Łąkowej. To była dziwna sytuacja: my działamy w tym zakładzie przy Szosie Północno-Obwodowej, już od dwóch tygodni, dyrekcja nas potępia – a tam cisza – i nagle jest i tam Solidarność, i nikt tego nikomu nie ma za złe... W jakimś okresie przy Łąkowej też pracowałem, więc ludzi trochę znałem, próbowałem coś zorganizować i nie udało mi się, a tu naraz – „wybucha” tam Solidarność i od razu dyrektor... daje samochód na wyjazd do Gdańska! Ja wtedy nie pojechałem, pojechała większość z tego zakładu przy Łąkowej, on był większy; pracowało w nim ludzi chyba trzykrotnie więcej niż przy Szosie Półn.-Obwodowej. Też powstała pomiędzy nami nieufność, chyba niebezzasadna?

Wszyscy spotkali się w Gdańsku – i Biazet, i ta nasza grupa pod przewodnictwem pana Pietkiewicza, i ci z Łąkowej. Co szczególnie, przypadkowo się spotkali. Ci z panem Michałem na czele twardo powiedzieli: „Nie ma mowy, musicie się między sobą dogadać i utworzyć jeden związek zawodowy.” I rzeczywiście, wtedy się spotkalismy, została ustalona data, że to będzie /pamiętam dokładnie/ 12 października. Mieliśmy się spotkać w ówczesnym

Paxie, obecnie Civitas Christiana.

W związku z tym przygotowywaliśmy to spotkanie. Jest u mnie Bujwicky, przygotowujemy porządek obrad na to zjednoczeniowe zebranie. Przychodzi do nas Prutis i mówi, że on ma informacje, że druga grupa pracuje nad własnym porządkiem przebiegu spotkania i wygląda na to, że do ugody nie dojdzie. – Musimy znaleźć adres Gołębiowskiego – powiadam – i jechać tam. Adres był w książce telefonicznej. Ulica Piastowska. A tu już późno; w październiku po godzinie 20 to już głucha noc. Pojechał Bujwicky, Prutis i ja. Wchodzimy, a tam – cała grupa przedstawicieli tamtego MKZ.

Gołębiowski znowu oświadcza, że nie mamy szans, że jesteśmy podejrzani... „Esbecja, Uchwyty to esbecja! Nie ma mowy o was!” I macha na nas ręką. Absolutnie nie możemy się dogadać.

I powiada w ten sposób:

– Nie możecie być reprezentowani, nie jesteście wiarygodni. Co mi pan mówi, że u was dużo pracowników się zapisało! U mnie prawie cała załoga się zapisała, a jak zażądałem, żeby złożyli rezygnację z przynależności do OPZZ, to się okazało, że niewielu ponad połowę się zdecydowało. Reszta myślała, że można należeć do obu związków naraz.

– Ja tego nie robiłem – odpowiadam – ale mam u siebie legitymacje, które mi ludzie zdali; to jest dowód, że chcą należeć do Solidarności. Pojedziemy i pokażę, bo trzymam to wszystko pod kłuczem.

Nie, to go wcale nie przekonuje, i koniec, kropka.

Po długiej rozmowie wreszcie się zgadza, że „Uchwyty, no, niech będą, ale tych dwóch – mówi – co to za zakłady! On tam ich nie widzi, absolutnie nie!”

- Albo wszyscy – ja na to – muszą należeć, albo i Uchwyty – nie.

A Gołębiowski nadal się upiera, że ich nie dopuści, nie ma mowy.

Prutis przysłuchiwał się temu od dłuższego czasu i nagle powiada: „Zadzwońmy do profesora Stelmachowskiego. Profesor był w Stoczni w sierpniu. Może on pana przekona.” A Prutis, wiem, bardzo dobrze znał profesora Stelmachowskiego. Jest już koło 23 w nocy. Zadzwoił do Warszawy, obudził go i przedstawia problem – że przetargi się nie kończą, że nazajutrz ma się od-

być zebranie zjednoczeniowe, że prosi o pomoc.

Gołębiewski został poproszony do telefonu przez pana profesora i ta rozmowa trwała z 15 minut, zanim Gołębiewski został przekonany i skapitulował. Takim sposobem około północy uczciliśmy osiągniętą jedność.

12 października spotkaliśmy się na tym zebraniu zjednoczeniowym. Ktoś próbował jego przebieg nagrywać – zaraz odezwały się protesty: „Zgasić natychmiast, bo to SB”... W takich warunkach pracowaliśmy. Pamiętam pierwsze spotkanie z Księdzem Biskupem Kisielem – poszliśmy po prostu nocą. Konspiracja była w tamtym czasie, i to było nie bez przyczyny przecież.

Na tym zebraniu, sposobem salomonowym, wybrano trzech równorzędnych przewodniczących: Jerzego Prajznera z Białetu, Stanisława Przestrzelskiego – z Zakładów Graficznych – i przedstawiciela Uchwyków, który był również w tym Komitecie Strajkowym, Jana Wołowskiego.

Podziękowałem za propozycje jakichś tam funkcji, mówiąc, że chcę zająć się swoim zakładem, bo to ogromny zakład, rozbudowany. Natomiast ustaliliśmy, że z Bernardem Bujwickim będziemy delegatami do Gdańska, i nie czekając na zakończenie zebrania, wyszliśmy wcześniej, żeby pojechać do Gdańska.

Do dzisiaj zachowałem bilet tamtego przejazdu. Spotkanie w Gdańsku było 13 października. Dla mnie to było ogromne przeżycie, spotkanie z legendą – kiedy rozmawialiśmy z Wałęsą, z Jurczykiem, jako przedstawiciele naszego MKS do kontaktów z Gdańskiem. Ale nasza sytuacja nie była typowa: trzech przewodniczących, żadnego wiceprzewodniczącego! Nieoczekiwanie, choć w Białymstoku przez dwa tygodnie nie udało nam się nawiązać kontaktu, pojawił się Jan Wołowski, reprezentujący Uchwyty z Łąkowej. Później, po powrocie z Gdańska, ludzie zrezygnowali z jego osoby, z jakichś tam powodów.

Bardzo zaangażowali się w działalność związkową państwo Cywińscy. Po jakimś czasie zebraliśmy się u mnie w mieszkaniu, byliśmy sąsiadami, ja przy Konopnickiej, oni z Orzeszkowej, jeszcze Przestrzelski. Przecież Polska będzie się z nas śmiała! Przestrzelski zrezygnował z funkcji, Wołowski już wtedy był odwołany. I wreszcie był, jak należy, jeden przewodniczący – Jerzy Prajz-

ner z Białetu. Od nas do prezydium wszedł Zenon Bujwicki.

Dla Gołębiewskiego jednak ciągle te Uchwyty to był podejrzany zakład, nawet kiedy walczyliśmy o wolne soboty, wciąż byliśmy u niego na indeksie. A Gołębiewski, mimo że nie objął funkcji przewodniczącego, to tak naprawdę nimi kierował. Wydaliśmy taką instrukcję, jak poruszać się w nowych związkach zawodowych – i znowu naraziliśmy się Gołębiewskiemu. Ale przyjechał do nas Marian Jurczyk. Kiedy zobaczył tę moją instrukcję, powiedział, że to pożyteczna sprawa, że zrobi ksero dla Stoczni Szczecińskiej. Rozmawialiśmy długo i przedstawiłem mu, co się u nas dzieje. Zawołał Gołębiewskiego i mówi:

- Proszę pana, proszę składać rezygnację, a jeśli nie, to ja pana wyrzucę.

I ten tak właśnie zrobił, nawet nikt chyba nie wiedział, jak to się stało.

Nasze „nasiadówki” odbywały się wtedy w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego, często się tam zbieraliśmy, czas był gorący, więc raz w tygodniu – to obowiązkowo chyba nawet. Na najbliższym zebraniu Gołębiewski oficjalnie zrezygnował, a wybraliśmy – chociaż to jeszcze nie były wybory proporcjonalne, to był ciągle MKZ, jeszcze nie było statutu – Przestrzelskiego. I aż do czasu wyborów statutowych, które się odbyły w czerwcu 81, pełnił tę funkcję.

A Feliks Gołębiewski jakoś zniknął, przestał się pojawiać na zebraniach, i aż przed samym stanem wojennym pojawił się u mnie. Byłem wtenczas przewodniczącym Regionu, on przyszedł jako przewodniczący Komisji Zakładowej Białetu. Wtedy porozmawialiśmy sobie wreszcie normalnie.

O czasie polowania na mnie

Byłem dosyć ostrożny. Miałem m.in. lokum w okolicach Domku Napoleona. Spotkania robiłem nawet w nocy, na łące; miałem takie miejsce, a nigdy w mieszkaniu, z którego korzystałem.

Raz uciekałem z jakiegoś domu, nagle. Pamiętam dokładnie, to był 16 października. Na mnie zrobiono nalot. Przypadkowo udało mi się nie wpaść w ich łapy: cały w błocie, mokry, przebiegłem się tamtej nocy tak, że kaszlałem przez całą zimę.

Tam, kiedy się znalazłem, zacząłem swobodnie oddychać. Domek znajdował się w dolinie Białki, rano wychodziłem z psem na spacer, wieczorami biegałem dla kondycji. Nawet tam się opalałem, we wrześniu opaliłem się jak Murzyn – miałem taką kryjówkę w sitowiu /.../

Tego wieczoru też biegałem z tym psem; robiłem dwie rundy, od jednej szosy do drugiej. A pies miał specjalność taką, że musiał obszczekać każdy przejeżdżający samochód. Miałem umówione spotkanie, z kuzynką i z człowiekiem, który później wyjechał do Australii, na godzinę 18. Zrobiłem jedną rundę – i tym razem piesek wyjątkowo się zbuntował: nie chciał mi dalej towarzyszyć, zawrócił i pobiegł sobie. Wołałem go, nie usłuchał. Biegnę i nagle widzę samochód, który zatrzymał się i zgasił światła. Wydało mi się to podejrzane, zawróciłem. Tam była taka dosłownie „Amazonia” – potężne doły po moczeniu lnu, po roszarni, oddzielone od doliny Białki gęstą, wysoką ścianą łożyny. Tylko minąłem tę ścianę łożyny, jestem przed tymi dołami, na górze był ten domek, w którym się ukrywałem. Nagle widzę – na łąkę wjeżdża z ostrymi reflektorami milicyjny samochód. Natychmiast padłem na ziemię. Oni przejechali taką ścieżyną, tam było bezludzie – w pobliżu mnie. Gdyby piesek wcześniej się nie zbuntował, teraz na pewno by mnie zdradził szczekaniem. Zacząłem się czołgać, wpadłem w tę „amazonię”; zaczął padać deszcz, tu błoto, glina... Te długie reflektory omiatają ciemność nade mną... Przypomniałem sobie, że to trzecia rocznica wyboru Jana Pawła II, i zacząłem mówić Różaniec. Jestem już cały mokry, otarzały w błocie, i końca temu nie ma...

Nagle cisza; zacząłem po takiej skarpie się czołgać – domek był o jakieś 50 m. Patrzę, a tam nie ma światła. A byłem na 18 umówiony z ludźmi. Podszedłem po cichu i jednak postanowiłem zapukać. Otworzyli mi, przerażeni. Gospodarz powiada, że ponieważ nie pojawiałem się długo, wyszedł i natknął się na ten samochód. Wylegitymowali go, ale nie zabrali mu dowodu. Moja decyzja: uciekać szybko. Tamci ludzie, ciężko wystraszeni, też prysnęli. Trudność stanowiło przejście przez szosę. Gospodyni postanowiła mnie przeprowadzić do Starosielc, do księdza Stefana Giersztuna. Szła 50 metrów przede mną, żebym ją mógł zobaczyć. Zawiadomio-

no zaraz księdza Jerzego Giształowicza.

Z tego miejsca także musiałem później nagle uciekać... ale to inna historia. Dwadzieścia trzy razy zmieniałem mieszkanie, a raz uciekałem razem z księdzem Lewkowiczem. On był naszym kapłanem, kapłanem najtrudniejszego okresu. Dbał o nas jak mógł, przywoził nam konserwy, utrzymywał kontakty z ukrywającymi się, kto potrzebował pieniędzy, też próbował zaradzić. Mianował go Ksiądz Biskup Kisiel? przed samym stanem wojennym.

Co myślę teraz o „Solidarności”?

Zawsze i wszystkim powtarzam, przy jakichś spotkaniach, że – niezależnie od tego, co przeżyłem, czego doświadczyłem nawet od samej Solidarności – to nie żałuję. Dla mnie Solidarność jest świętością. Cieszę się z przemian, które dzięki niej nastąpiły, i cieszę się, że żyjemy w ojczyźnie suwerennej, wolnej i niepodległej. To dla mnie jest największą zapłatą za to, co robiłem. I tylko od nas zależy, jak z tej wolności będziemy korzystać.

Widzę w gruncie rzeczy jedyny błąd Solidarności. Zaraz po przełomie 1989 r. miała możliwości, by te konieczne obciążenia, wyrzeczenia, związane z transformacją ustrojową rozłożyć sprawiedliwie. Przeprowadziliśmy w 1989 debatę o przyszłości. Przecież w tamtym czasie rządziła Solidarność i to, uważam, było możliwe do urzeczywistnienia. Podczas tej debaty na temat reformy państwa ja to w swoim sprawozdaniu zapisałem, ale nie pozwolono mi tego wypowiedzieć. Podniosłem wzrok na salę i zobaczyłem, że delegaci machają kartkami – nie pozwalali mi nawet skończyć wystąpienia. To było na Komisji Krajowej w Gdańsku, autorytety różne, dużo dziennikarzy – cóż ja, skromny delegat z Białogostoku. Powiedziałem wówczas, że mamy świadomość konieczności „zaciśnięcia pasa”; chodzi o to, by nastąpiło ono w miarę sprawiedliwie. A już wtedy powstawały te spółki nomenklaturowe. Taki Stokłosa był razem ze mną w Senacie – mówiono, że komuś, za jakieś tam złodziejstwo, uciął palec. I cisza, o tym się nie mówi. I mówiłem, że w przeciwnym wypadku możemy stać się jakąś republiką bananową. Proponowałem na okres najbliższych 10 lat ustalić specjalne progi, proporcje – od sprzątaczkę do prezydenta, żeby całych kosztów nie ponosili ci, którym te zmiany zawdzięcza-

my, czyli jedynie ludzie ciężkiej pracy, najbiedniejsi /a tamci, w 35-
% po wyborach, byli wówczas w parlamencie cisi i pokorni,
wszystko mogła wtedy Solidarność przeprowadzić/. Przejrzałem
wówczas gazety – nie było o tym ani słowa. Za to usłyszałem w
trakcie tej debaty, że to propozycja skrajnie populistyczna...

A tym, którzy atakują „okrągły stół” mówię, że byłiby inne-
go zdania, gdyby mieli coś wspólnego z sytuacją ówczesną taką jak
moja: siedem lat nie pracowałem, bez ubezpieczenia, żyłem z dnia
na dzień i byłem na utrzymaniu rodziców. Kupowałem litr mleka.
Mama robiła z niego dwa duże sery, i przez cały stan wojenny: bez
przerwy rewizje. Kiedy przeczytałem w „Tygodniku Mazowsze”,
że zaczęły się podpalania mieszkań, przed położeniem się spać
ubezpieczałem najpierw progi, żeby się nie dać zaczadzić. I w ta-
kiej atmosferze – przez siedem lat prowadziłem działalność. Toteż
„okrągły stół” przyjąłem z ogromną ulgą. A takich jak ja, były ty-
siące ludzi. Natomiast później, np. za rok, Wałęsa jako prezydent
mógł wypowiedzieć te okrągłostołowe ustalenia. Nie zrobił tego.

No, a dzisiaj Solidarność już nic nie znaczy, nic nie może
zrobić/..../



Lukasz Gireń

Bez złudzeń

Długo wahałam się, czy o tym tomiku napisać. Jest to bowiem tylko na pozór książka o ludziach i stworzonych na wzór człowieka bogach, przede wszystkim przez Greków. Z dużą znajomością psychologii i dużą dozą sympatii opowiada historie boskie i ludzkie, osiągając tu sceptyczną wiedzę o człowieku w ogóle – starożytnym i współczesnym. Ale dla mnie jest to przede wszystkim przekaz o bezlitosnej logice przeznaczenia, która nad nami panuje. Człowiek szukający piękna, miłości, szczęścia, wyroczni na temat przyszłych dni, jest tylko igraszką w rękę bogów, innych ludzi i losu. Poetka, moim zdaniem, mierzy się tu z nieuchronnym. Robi to z odwagą, broniąc się tym, co dostępne cywilizowanemu człowiekowi – wiedzą, sarkazmem, ironią.

„*Nikt nie lubi Kasandry*” Anny Markowej to książka będąca wyrazem nieklamanej samoświadomości, a jej podmiot – to tytułowa Kasandra. Dlaczego używam tak wielkich słów na temat tego, co zostało w mitach „oswojone”, co w sugestywnie prostym sposobie opowiadania Anny Markowej wydaje się tak oczywiste – przywar bogów i ludzi? Może dlatego, że oprócz bogów greckich wspomniany jest i Bóg starotestamentowy. Tak znajomo ludzkie są postęпки bogów, którymi bronimy się przed losem, i tak bardzo przekraczają nowsze normy – dobra i zła. Autorka pisze w wierszu „Przestań”:

*Przestań wieszczyć
Kłęski i rozpacz
Schowaj je pod korcem
Spal jak fotografie
Nieobecnych
Uśpij jak zbędne szczenię
Utop w ciemnej wodzie
Okrucieństwo
Być może
Ale ocalejesz*

Jedno, co wynika z mitów, oprócz samolubnych postępków bogów, to okrutna bezwzględność losu. Miecz Damoklesa wciąż wisi nad każdym z nas. Parki przędą i przecinają dowolnie nić naszego ży-

cia, zmęczony Charon łaknie, tak jak ludzie, wolności. Los ludzki jest jednak dla starożytnych i współczesnych – dawny Diogenes to dzisiejszy bezdomny. Ikar to dzisiejszy samobójca. Losy ludzi i bogów spletają się w dzieje bogatych i poniżonych tego świata, to co piękne w postępkach bogów (np. gdy Prometeusz wykrada ogień, Orfeusz zstępuje do piekieł po Eurydykę) wydaje się podejrzane. Podejrzana jest też wiara w dobre intencje człowieka. Ale artysta Pigmalion zakochał się w wyrzeźbionym przez siebie posągu, wybrał ożywiony posąg – nieobliczalną żywą kobietę. A więc to, co niepokojące w człowieku, stanowi też jego wartość, dla mnie ta wiara ocala i książkę, i karkołomną logikę przeznaczenia.

Obok bogów starożytnych wspomniany jest też:

*Łagodny Syn Boży
Głosił królestwo
Nie z tego świata*

*A ten świat płonie
Od tysięcy lat
Ogień
Nigdy nie zgaśnie*

Autorka wątpi, przynajmniej dla mnie, w dobre przesłanie tego świata. Ale, że wątpi, to nie znaczy, że nie wierzy. Ta książka ma za zadanie obnażyć nasze człowieczeństwo, obnażyć nasze mitotwórstwo i zadać (w domyśle) podstawowe pytanie: a jeżeli potykamy się z tym, przed czym kruszeją ludzkie sposoby postępowania i pojmowania, to co wtedy? A odpowiedź? Sądzę, że do niej każdy dochodzi sam.

To bardzo mądra książka, napisana pięknym, klarownym językiem. A że to wyraz zwątpienia? Sądzę, że autorka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Podziwiam ją za odwagę, odwagę stawiania trudnych pytań.

Irena Słomińska

Anna Markowa. Nikt nie lubi Kasandry. Wydawca: Stowarzyszenie na Rzecz Twórców Niepełnosprawnych NIKE, Białystok 2005.

Pamięć-niepamięć

*nie po to wytyczono mi drogę by uryną
ciemnych słów oznaczać trwanie*

Najnowszy tomik Jana Leończuka „Uczę się niepamięci”, jak mogłoby się wydawać, najprościej byłoby rozumieć poprzez antytezę: pamięć – niepamięć. Już pierwsze słowo rozpoczynającego tomik wiersza „Zapamiętaj” wskazuje na to, że treścią i sensem naszego życia jest pamiętanie, wybiórcze, bo tylko tego, co dobre – serdeczności, ciepła, rozmowy, tęsknoty. Symbolem tego wszystkiego staje się „stół”, chyba najważniejszy – z tego punktu widzenia – sprzęt domowy. Na życie przyszło, jak się wydaje, wieczne, potrzebna jest pamięć „stołu”. Niepamięcią trzeba ogarnąć to, co było złe w stosunkach międzyludzkich: *moi bliźni jak i ja noszą blizny / uczę się więc niepamięci / trudnej sztuki wybaczenia.*

Albo może głębiej. Śmierć to także domena niepamięci: *zaledwie drzwi i próg / powiadasz / ażeby zapomnieć oddech łąk i lasów / i zmęczonego serca nie słuchać.* Ale takiemu stanowisku zdaje się przeczyć i wiara, i instynkt twórczy, i swoiste zrozumienie spraw ostatecznych wyrażone w tym tomiku przez autora. Bo tomik jest poświęcony czemuś o wiele bardziej istotnemu, właśnie „zrozumieniu” i życia, i tego, co ostateczne. W wierszu poświęconym ks. biskupowi Edwardowi Ozorowskiemu twórca pisze:

*dziękuję za coraz bliższą starość
w niej horyzonty zacierają swoje linie
pozostają w pamięci nieskoszone łąki
a wówczas zapach kwiatów przysiadła na brzegu łóżka
żebym lepiej zrozumiał darowane życie
i w bólu nie pakował pośpiesznie walizek
do nowego życia*

To zrozumienie staje się dostępne nie tylko dzięki pracy umysłu, ale i uczuć, utrwalone dzięki wspomnieniom obrazu – i zmysłowego, i będącego przeczcuciem tego, co przyszłe. Niedopowiedzianym, nie dającym się pojąć: *nierozpoznawalne są dni i noce*. Tak pisze poeta. I wbrew temu, w dostępny mu sposób próbuje zrozumieć. Bo prawda kryje się w paradoksach, w godzeniu tego, co sprzeczne. Bo każdemu jest dane to „światelko”, dzięki któremu zbliża się ku boskości. Dlatego w tym tomiku tak wielka jest rola światła. W wierszu poświęconym Mariannie Bocian autor pisze: *ani tym którzy potkną się o Twój promień*. A więc ludzie, tak jak i cały świat, promieniają swoje własne światło: poprzez poezję – *światło Twoich wierszy* - i poprzez wewnętrzne dobro.

Jest też dostępne człowiekowi, chociaż nie zawsze, światło wyższe:

*tylko ból
tak samo niecierpliwie kołacze
i światło dnia i nocy
zatrwożone przystaje
od brzegów narodzin
aż po krańce światła*

*może to światło
które było obok nas
poprowadzi raz jeszcze*

Bardzo wzrusza mnie wiersz o dziewczynce z zapalkami. To co istotne w naszym życiu, to ten chybottliwy płomyk zapalki, który towarzyszy narodzinom i starości: *światło jest w tobie / uwierz / powtarza noc*.

I wreszcie śmierć – „Świtanie”, jak mówi autor: *wszak gniazda tych ptaków / uwite w Świtaniu*.

Bardzo istotny wydaje się wiersz, który mówi o tym, że właśnie drogą uczucia pojmujemy sens życia:

*mała chwila
wystarczy
aby zrozumieć życie*

*wówczas i kartowate drzewo
przemówi wielkością
a kamień będzie znakiem trwania*

tylko przyjmij to maleńkie szczęście

„To maleńkie szczęście” to okrucieństwo boskości – radość istnienia.

Oczywiście, banalizuję zawarte tu treści. One są tu wypowiadane i wprost, i w sposób nieskończenie bardziej subtelny, ledwie sugerowane, poprzez obraz. Kiedyś napisałam, że w twórczości Jana Leończuka, przynajmniej późniejszej, jest dużo pokory. Dziś stwierdziłabym, że jest to dojrzała mądrość, poprzestająca na małym i podstawowym, na pięknym, ulotnym drobiazgu życia i zasadzie. Ten delikatny, nienatrzętny język posiada zadziwiającą moc, wyrastającą ze spokoju i refleksji.

Wydaje mi się, że Jan Leończuk wyczuwa, że granice życia i śmierci, radości i goryczy są pozorne. Pisze w wierszu poświęconym J. J.: *twoje miejsce / okaże się darem*. Gdzie indziej stwierdza z nadzieją: *dziękuję Boże / za życiodajny lęk umierania*.

Ale tomik ten, poza optymizmem, ma też ciemne miejsca. Są tu wiersze mówiące o bólu, związanym z chorobą, o lęku, w „wierszach sztambuchowych” pisze o martyrologii Polski w jej historii, o tym, że „polskich ksiąg” nikt już nie czyta, o polskości wciąż żywej, wbrew kosmopolityzmowi doraźnych interesów, o pozornym dążeniu do pokoju na świecie. Te „wiersze sztambuchowe” to tylko pozorny dysonans, bo tak często tu deklarowana miłość to także odpowiedzialność.

Bardzo poruszył mnie wiersz „*** powtórka z anatomii w londyńskiej galerii...”:

*i tylko skowyt nierozpoznanej formy
w płataninie trzewi
nie pozwala zrozumieć
gestów sztuki
pustych
jak kosze wypełnione
posoczem krwi*

Forma sztuki jest tylko naśladownictwem formy stworzenia, ulotnym jak całe nasze człowieczeństwo. Leończuk wie o tym, kiedy zwraca się do Boga: *naucz mnie milczenia*.

I jak Mickiewiczowskie „Polaty się łyzy me czyste, rześiste”,
będące rozliczeniem się z życiem, jest przypominający je wiersz: „***
roztańczyły się wspomnienia...”: *roztańczyły się wspomnienia / na te
ciągle zapomnienia.*

Słowami tymi jak klamrą wypadałoby zakończyć tę mini recenzję tomiku, którego lektura pozostawia niezatarte wrażenie autentycznego przeżycia, autentycznej sztuki, autentycznego pojednania z ludźmi i Bogiem. I stanowi apoteozę życia w całej jego złożoności, od bólu, goryczy, od przeżycia przyrody i jej piękna do piękna tych uczuć, które nas jednoczą.

Irena Słomińska

Jan Leończuk. *Uczę się niepamięci...* Wydawnictwo PRYMAT, Białystok 2005

Duszna Górką Marcina Kruhleja

Na pytanie, jak znajduję kondycję poezji polskiej, odpowiadam bez wahania: jestem o nią spokojna. Biegnie wciąż, nie odpoczywa, nie zastyga w formie już, czy jedynie uznanej. Różnorodność formy, bogactwo, może nawet rozrzutność nie rozmyja się z treścią. Tomik Marcina Kruhleja „Duszna Górką” przesłany mi przez autora, zawiera właśnie taką poezję. Wydany został w ciekawej szacie graficznej przez Oficynę Wydawniczą Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku. Autor jest licealistą, człowiekiem bardzo młodym, lecz ma już na swoim koncie wiersze drukowane w czasopismach o profilu literackim, jest też laureatem konkursów poetyckich, co samo w sobie określa jego usytuowanie się w przekazie poetyckim.

Tomik „Duszna Górką” nie jest zbiorem indywidualnych utworów, lecz całością, książką poetycką, co podkreśla autor wstępu pt. „Pomiędzy rajem a jutrem”. Ta forma przekazu jest niejako drogą doprowadzającą do powstania tomiku Duszej Górki, niejako rozliczeniem się z ważnym dla autora miejscem. Autor wie, co zawdzięcza tej swojej najmniejszej ojczyźnie, temu jednemu miejscu. Rozlicza się z nim z sentymentem i świadomością, że dla niego – Marcina, to co zostawia minęło, ale było ważne. Stanowi punkt odbicia z ciepłem w sercu niespokojnym, podejmującym nowe, bez przykrego bagażu. W wybranym miejscu i otoczeniu. A to bardzo ważne przy wyborze dalszej drogi. Może stąd ta hojność porównań i przenośni.

Dla poety ważne jest wypowiedzieć kwestię czy istotę rzeczy jednym utworem. Talentem jest stworzyć z przekazu świadomie ukiepunkowanego całość literacką. Z taką twórczością tu się spotykamy. Autor panuje nad równowagą formy i treści. Jeżeli przerysowuje lirykę, to tonuje dawkami ironii. Wszystko spocone zaangażowaniem, które uprawdopodobnia przekaz, przybliża go czytelnikowi, pomaga w przyjęciu do wiadomości. Strof opiewających podmioty liryczne, pewien etap ich życia, nie oddziela wyodrębnionymi tytułami, lecz wchodzi pierwszym wersem, jak gdyby z marszu, a przecież przedstawia statykę, zastój. Omawia stan, a jest w nim miejsce na życie z jego trudami, pokusami, a nawet słowem „raj”, niezależnie jak rozumieli-

byśmy to słowo. Człowiek, element przyrody, wtopiony w nią ziemią i miodem, trybik tajemny, a naturalny.

Marcin jednocześnie opisuje i bada przejawy życia; czasem wyraża je, użyjmy jego przenośni, poprzez druty telegraficzne, czasem niewidzialną nicią, która może posłużyć do takich dokonań, jak: *zszywanie dziurawej tkanki sercowej*. Świętym wyznacza rolę, Boga też widzi po ludzku, jak w „Zapłątanej rzece”, „Bigosie” lub przy różnych rolach panicza Adama. Odbywa z pozycji swoich nastu lat wędrówki z nimi. Równocześnie zwraca uwagę dojrzałość, jak w „Na historii” lub „Obserwowała cień”.

Maciej Kruhlej posiada zapas metafor, szafuje nimi, może powinien trochę oszczędniej. I co ciekawe w tak młodym wieku, tyle odniesień. Czytelnik może je dopasować do siebie, swoich myśli, odczuć. Zauważa się też, że autor chce przekazać świadomą informację. Może nieco za pewnie przebiega po istnieniu napuszczonymi metaforami, jednak widać, że Marcin Kruhlej jest poetą który wciąż dąży do doskonalenia swojej formy wyrazu. Wciąż zaskakuje, nie dając dążyć:

*poprzez podmokły rów
wzdłuż błotnistej rzeki
na przekór zasadzie zapatek*

lub:

*na pokojowej ścianie
równoległe do zegarowej kukułki
wisiąca
Matka Boska Ostrobramska
(...)
babcia lubiła się modlić*

Lubiła też wino, nocną grę na gitarze i spotkania na plotkach z koleżanką śmiercią i jakże po ludzku *prawą ręką gładziła / ostrze kosi / i błagała o moment wieczny*

I ten niby swojski, a jakże tu inny „bigos”:

*nikt nigdy nie mógł znaleźć kluczy
w politycznym bałaganie*

a tysiące światel

*pluło na nowoczesność
wędrownym płomieniem*

Sedno utworów pięknie ujął Waldemar Smaszcz: znalazłszy się w nowej rzeczywistości Marcin Kruhlej odkrył, że jest coś winien Dusznej Górcie i oddał jej, to co ma najcenniejszego – swoją pierwszą książkę.

Zawarł w niej pamięć swojego uczestnictwa w procesie powstawania i trwania opisanego świata. Nie da się być jedynie obserwatorem, nadchodzi czas w którym człowiek staje się obiektem oddziaływania otoczenia, sił nazwanych i nienazwanych. Towarzyszące pocięte emocje mają wpływ na to czy będziemy chcieli poznać stworzony przez niego przekaz. Inną sprawą jest jak odczuwamy ten przekaz. Na to bowiem piszący nie ma pełnego wpływu. Zwłaszcza, że w procesie tworzenia, poza świadomym zamierzeniem piszącego, włącza się jeszcze część nieświadomiona, której rola jest nie do przecenienia.

Lidia A. Kosk

Marcin Kruhlej. *Duszná Górka.* Oficyna Wydawnicza WOAK, Wyd. „Busk”, Białystok 2005



Spis treści

J u b i l e u s z e

Mieczysław Czajkowski	3
<i>(Wiersze)</i>	5
<i>Powrót do korzeni, opowiadanie</i>	14
<i>Myśli i spostrzeżenia. Fragm. dzienników 1955-1957</i>	19
<i>Z opinii i recenzji</i>	29
Wiktor Szwed	37
<i>(Wiersze)</i>	38
Jan Leończuk	42
<i>Z przyjacielskiego spotkania</i>	43
<i>Wystąpienie Waldemara Smaszcz</i>	44
<i>Wywiad z Jubilatem - Dawid Klepadło</i>	49
<i>(Wiersze)</i>	53
<i>Z recenzji i opracowań</i>	56
Tadeusz Karabowicz	63
<i>Twoje imię zna tylko wiatr... Rozmowa z okazji 25-lecia</i> <i>pracy twórczej - Lidia Irena Węglarz, poetka</i>	64
Wiesław Szymański	71
<i>(Wiersze)</i>	72
<i>Nagana. Opowiadanie z czasów minionych</i>	76
<i>Tryptyk jesienny</i>	87
Łukasz Gireń (grafika)	93
Janina Kozak - Pajkert	94
Irena Słomińska	97
Joanna Pisarska	101
Józefa Drozdowska	104
Anita Balejko	107
Małgorzata Dobkowska	109
Justyna Rożko	111
Mirosława Niewińska	113

Anna Tomczyk.....	116
Józef Budziński	118
Tadeusz Golecki	120
Jerzy Binkowski.....	122
Marcin Kruhlej	125

Janina Kozak - Pajkert

<i>Męska rzecz</i>	128
--------------------------	-----

Anna Gniewkowska

<i>Ucieczka z ulicy Złotej (fragment)</i>	133
---	-----

Aleksander Miśkiewicz

<i>„Białystok”</i>	138
--------------------------	-----

<i>Miasto z moich snów</i>	140
----------------------------------	-----

Henryk Kruszyński

<i>Wypadek rowerowy</i>	144
-------------------------------	-----

<i>Świnie</i>	145
---------------------	-----

Barbara Antonowicz
 149 |

Dorota Brańska
 150 |

Krzysztof Dąbrowski.....
 152 |

Dawid Klepadło
 154 |

Ryszard Kondratowicz.....
 156 |

Justyna Korolko
 158 |

Agnieszka Kuklińska
 160 |

Eugeniusz Nowik
 163 |

Elżbieta Skąpska.....
 164 |

Marek Styliński
 166 |

Dariusz Tichoniuk.....
 167 |

Wiersze laureatów II edycji Wakacyjnego Konkursu

Poczty Literackiej
 170 |

Wojciech Załęski

<i>Skamieniały czas</i>	178
-------------------------------	-----

<i>Okruchy weneckiego karnawału</i>	179
---	-----

<i>Wiek Wielkich Wysypisk</i>	181
-------------------------------------	-----

<i>Ostańce</i>	184
----------------------	-----

<i>Klepsydra zwrotna</i>	188
--------------------------------	-----

Małgorzata Dobkowska	
<i>Sublokatorka</i>	191

Ostap Łapski	
<i>Przekład z języka ukraińskiego: Tadeusz Karabowicz</i> ...	202
Herman Hesse	
<i>Przekład z języka niemieckiego: Dorota Milanowska</i>	205

Varia

Tadeusz Dawidejt	
<i>Zabiłem</i>	210
Apoloniusz Ciołkiewicz	
<i>Filety z dorcipu</i>	214
Kazimierz Słomiński	
<i>Aforyzmy</i>	217

Dokument

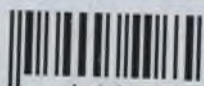
Stanisław Ślusarek	
<i>Obowiązek pamięci</i>	220
Jadwiga Bogumiła Cichońska	
<i>Na kanwie pewnego listu - opowieść</i>	230
Stanisław Marian Marczuk	
<i>XXV-lecie nadziei „Solidarności”</i>	237

Recenzje

Bez złudzeń, Irena Słomińska	
<i>(o: „Nikt nie lubi Kasandry” Anny Markowej)</i>	248
Pamięć - niepamięć, Irena Słomińska	
<i>(o: „Uczę się niepamięci...” Jana Leończuka)</i>	250
„Duszna Góra” Marcina Kruhleja, Lidia A. Kosk	254

Epea T.5

Eo



143537

ISBN 83-88248-97-0